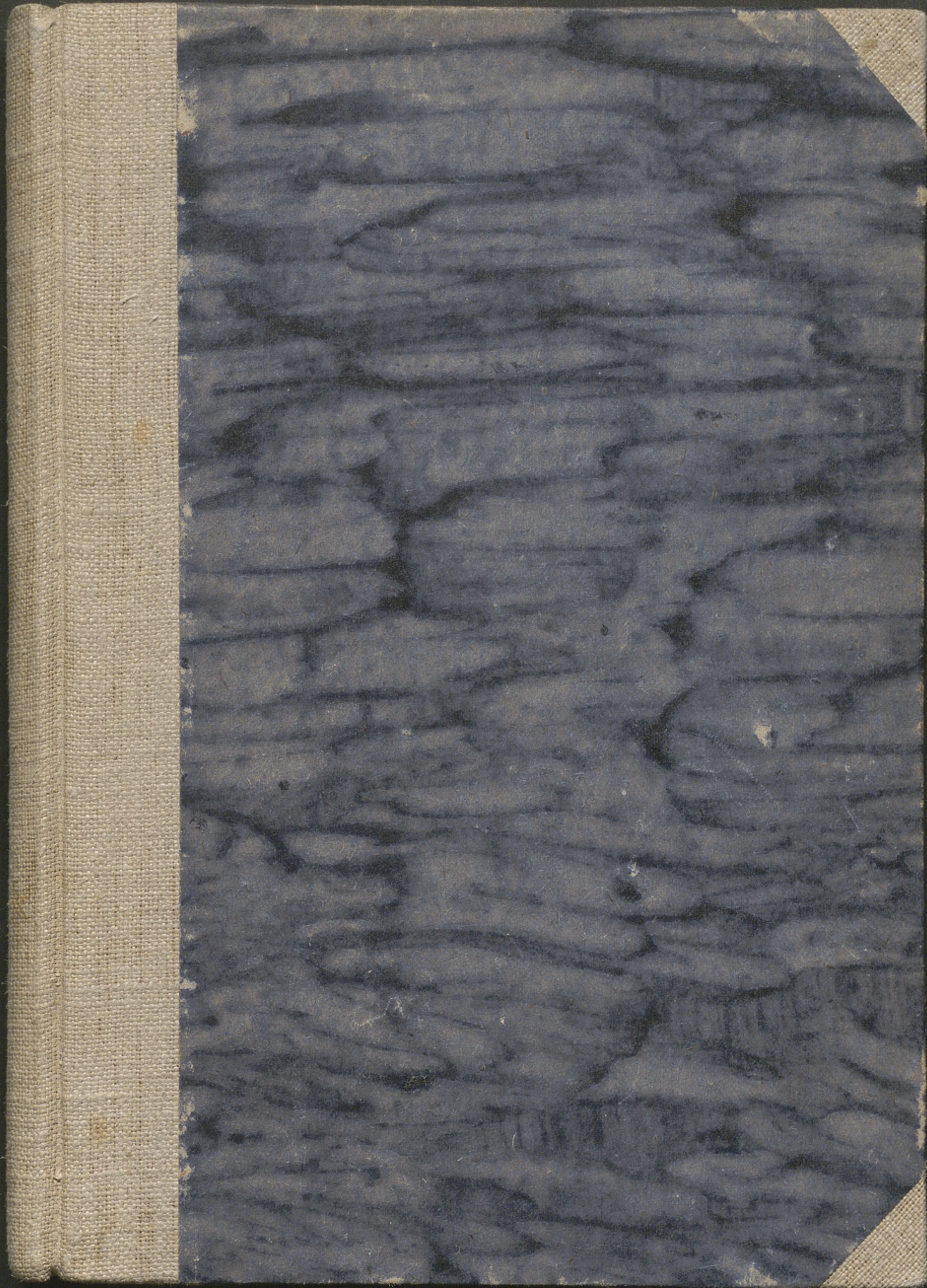


II 2.015.581

PIOTR KROPOTKIN

POMOC WZAJEMNA

JAKO CZYNNIK ROZWOJU

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI SPOŁECZNEJ „KSIĄŻKA“.

PIOTR KROPOTKIN

POMOC WZAJEMNA
JAKO CZYNNIK ROZWOJU

WYDANIE DRUGIE.

Z ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO
PRZEŁOŻYŁ I PRZEDMOWĄ ZAOPATRZYŁ
JAN HEMPEL

WARSZAWA 1921.

80930









II 2.015.581



Druk. R. Olesiński, W. Merkel i S-ka, Chłodna 37.

PRZEDMOWA.

Piotr Kropotkin, jeden z najwybitniejszych teoretyków kierunku, zwanego anarchizmem, urodził się w Moskwie w r. 1842 jako potomek starej, arystokratycznej rodziny rosyjskiej. Ojciec jego był człowiekiem zamożnym, ale nie magnatem. Przyszły rewolucjonista wychował się w środowisku szlachty rosyjskiej starej daty, opierającej swój byt o chłopów pańszczyźnianych i o wpływy na dworze cesarskim.—Dzięki stosunkom dworskim swej rodziny został oddany do „Korpusu paziów“, szkoły przeznaczonej wyłącznie dla synów arystokracji. Skończenie korpusu paziów zapewniało dostęp do najwyższych stanowisk państwowych.

Po skończeniu tej szkoły, która dała mu możność zetknięcia się z niejedną brzydką stroną życia dworskiego, młody Kropotkin wbrew nadziejom rodziny i ku zdumieniu kolegów, zamiast torować sobie drogę do karjery dworskiej udaje się dobrowolnie na bardzo podrzędne stanowisko na Syberję.

Nęciła go tam większa swoboda życia, oddalenie od dworu petersburskiego i pragnienie oddania się samodzielnym badaniom naukowym.—Przedmiotem jego poszukiwań były zarówno szczególne na Syberji zjawiska życia społecznego, jak geologja i geografja. — W dziełach, później pisanych, nie brak śladów tych lat syberyjskich.

Jednym z ważnych wydarzeń jego życia było polskie powstanie zabajkalskie. Wszystkie sympatje Kropotkina były po stronie powstańców, a jednak jako oficer miał być wysłany do stłumienia powstania i ominęło go to tylko dzięki osobistym względom komendanta. — „Dopiero wówczas zrozumiałem — powiada we „Wspomnieniach Rewolucjonisty“ — co to jest należeć do wojska“. — Natychmiast też postanowił z wojska wystąpić; atoli upłynęło jeszcze lat parę, zanim projekt ten mógł urzeczywistnić.

Wróciwszy do Petersburga, oddał się Kropotkin pogłębianiu swej wiedzy i przebywał na uniwersytecie, na wydziale matematycznym do r. 1871. Jednocześnie był sekretarzem Towarzystwa Geograficznego i zajmował się badaniem lodowców finlandzkich i szwedzkich.

W r. 1872 wyjechał do Europy Zachodniej, gdzie zapoznał się bliżej z ówczesnymi prądami socjalistycznymi. W swych „Wspomnieniach Rewolucjonisty" żywo opisuje wrażenia, przeżywane pod wpływem broszur rewolucyjnych. Dotychczasowe nieuświadomione odruchy protestu przeciwko stosunkom panującym nabrały teraz kształtów wyraźnych. Zaczął się krystalizować rewolucjonista. — Po kilkumiesięcznym pobycie zagranicą wraca Kropotkin do Rosji i przystępuje do pracy społecznej w kółku „Czajkowców" (nazwa od Czajkowskiego, który był założycielem). Kółko to posiadało między swymi członkami jednostki, które potem zasłynęły szeroko w rosyjskim ruchu rewolucyjnym — dość wspomnieć Zofję Perowską.

W roku 1874 nastąpiły liczne aresztowania czajkowców i osób z nimi związanych. W ich liczbie znajdował się i Piotr Kropotkin. Osadzony w fortecy Piotra i Pawła zaczął silnie podupadać na zdrowiu i został przeniesiony do szpitala. Tam, wzmocniwszy się i przyszedłszy nieco do siebie, powziął przy pomocy przyjaciół, plan ucieczki, która udała się w zupełności w r. 1876. Ucieczka Kropotkina postawiła na nogi cały Petersburg, sam car Aleksander II pienił się ze złości, jednakże wszelkie poszukiwania spełzły na niczem.

Kropotkin wyjechał do Anglji. W r. 1877 przeniósł się do Szwajcarji, gdzie pozostawał do r. 1881. — W tym okresie rozpoczyna się jego działalność anarchistyczna, przeważnie literacka, która zjednała mu sławę wszechświatową.

W 1881 roku, wydalony ze Szwajcarji, mieszkał to w Anglji, to we Francji. W tym czasie był już żonaty.

W 1883 roku został aresztowany pod pozorem należenia do Międzynarodowego Stowarzyszenia robotników, które wzbronione było we Francji. Właściwą przyczyną jego aresztu był wybuch bomby podczas bezrobocia w jednej miejscowości na południu Francji. Chociaż brak było dowodów jakiegokolwiek związku Kropotkina z tem zajściem, uwięziono go, wytoczono mu proces

i skazano na 5 lat więzienia. Areszt ten oraz bezpodstawny wyrok wywołały oburzenie w Anglji i we Francji: podano do prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej petycję z podpisami wybitnych uczonych i artystów o ułaskawienie go. — Pod naciskiem opinji uczyniono to wreszcie w r. 1886 ku wielkiemu niezadowoleniu cara Aleksandra III.

Po tych wypadkach Kropotkin wyjechał do Anglji, gdzie osiadł na stałe i zajął się pracą publicystyczno-naukową, a oprócz tego geografją i geologją. — Podczas pobytu w Londynie rozwinął działalność w całej pełni i tam napisał swe najwybitniejsze prace anarchistyczne.

Po zwycięstwie rewolucji w Rosji w r. 1917, Kropotkin przeniósł się do tak dawno nieoglądanej ojczyzny, gdzie spotkało go entuzjastyczne ze strony licznych wyznawców.

Rozwój wypadków rewolucyjnych w Rosji bynajmniej nie szedł po myśli Kropotkina. — Przeciwnik wszelkiej władzy, nie mógł uważać za urzeczywistnienie swych ideałów faktu ujęcia władzy przez partję polityczną, choćby ta partja wyrosła z rewolucji i mianowała się partją robotniczą.

Ostatnie lata życia spędził Kropotkin w pracy nad podstawowemi zagadnieniami anarchizmu. — Z listu, pisanego do przyjaciela dn. 2 maja 1920 r., a ogłoszonego w dzień pogrzebu, dowiadujemy się, że Kropotkin oddał się cały pracy nad obszernem teoretycznem uzasadnieniem etyki anarchistycznej.

Zmarł w Dmitrowie dn. 8 lutego 1921 r.

Do głównych prac Kropotkina należą (oprócz bardzo licznych artykułów i oprócz prac poświęconych naukowym zagadnieniom przyrodniczym):

„Słowa rewolucjonisty".—„Anarchizm, jego filozofja i ideał". —„Moralność anarchistyczna". — „Anarchizm w dziejach socjalizmu". — „Więzienia". — „Czasy nowe" — „Prawo i autorytet".— „Pola, fabryki i warsztaty." — „Anarcho-komunizm". — „Państwo i jego rola w dziejach". — „Sprawiedliwość i moralność".

Tytuły prac powyższych podaliśmy w brzmieniu polskiem, jakkolwiek żadna z tych rzeczy na język polski przełożona nie jest. Roku wydania i nakładcy nie podajemy, ponieważ książki te wychodziły w różnych czasach, w różnych językach europejskich. W języku polskim posiadamy tylko prace następujące:

1. „Zdobycie chleba“ — Lwów.
2. „Wspomnienia rewolucjonisty“ (pamiętnik Kropotkina).— Lwów 1903.
3. „Do młodzieży“ (odezwa - broszura). — Warszawa 1919.
4. „Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju“. — (Wyd. pierwsze. — Warszawa 1919. — Wydanie drugie — Warszawa 1921).

Kropotkin, jakem wspomniał, uważany jest zwykle — i słusznie — za najwybitniejszego teoretyka anarchizmu. — Ale co właściwie nazywamy anarchizmem?

Odpowiedzieć krótko i wyczerpująco na to pytanie jest niepodobieństwem, ponieważ nie istnieje żadna jednolita organizacja anarchistyczna, niema ciągłej „szkoły“ anarchistów (jak np. istnieje szkoła marxistów) i pomiędzy poszczególnymi pisarzami anarchistycznymi spotykamy rozbieżności bardzo poważne.

Anarchistą nazywa się i nazywany bywa zarówno Kropotkin, pełen serdecznego idealizmu i opierający się na filozofji materjalistycznej, jak chrześcijański Tołstoj; anarchistą nazywa się także indywidualista krańcowy, głoszący prawo jednostki do nieograniczonego przeciwstawienia się społeczeństwu, typu np. Maxa Stirnera; anarchistami wreszcie nazywają się manjacy rozpaczliwych aktów terorystycznych, albo nawet jednostki zwyrodniałe, załatwiające swe porachunki ze złym ustrojem społecznym na drodze zemsty osobistej.

Sprobujmy zmniejszyć te rozbieżności przez zacieśnienie pola objętego mianem anarchizmu. — W tem znaczeniu, o które tu głównie chodzić może, anarchizmem nazwiemy jeden z kierunków, wiodących ku zasadniczej przebudowie ustroju społecznego przez zniesienie własności prywatnej środków produkcji i wymiany.

Po takiem zacieśnieniu odpadną wszyscy anarchiści indywidualiści, nie interesujący się ładem społecznym lub przeciwstawiający się mu w imię ponad wszelką miarę wyolbrzymionych praw jednostki; odpadną więc zarówno anarchiści filozoficzni w rodzaju Stirnera, jak wyznawcy anarchistycznego czynu jednostkowego; pozostanie nam jedynie anarchizm społeczny, za przedstawicieli którego uważać będziemy takich pisarzy jak: Bakunin, Kropotkin, Tołstoj, S. Faure, El. Reclus, Jan Grave i t. d.

W takiem znaczeniu — pomimo nieco rażącego brzmienia

tych słów — możemy uważać anarchizm za pewien kierunek socjalistyczny: — jeśli socjalizmem wogóle nazwiemy program społeczny, dążący do zniesienia własności prywatnej środków produkcji i wymiany.

Czemże anarchiści różnią się od innych socjalistów?

Różnią się przedewszystkiem metodą działania.

Metody działania socjalistycznego — a z nimi częściowo połączyć można sposoby wyobrażania sobie ładu nowego — podzielić się dają na dwie grupy, pomiędzy któremi — zresztą — istnieje cały szereg stopni pośrednich: — z jednej strony znajdziemy zwolenników działania, opartego na autorytecie, na władzy, względnie na silnej, planowo działającej, organizacji — a z drugiej — zwolenników działania, opartego na właściwościach, tkwiących w głębi każdej jednostki ludzkiej, na właściwościach, ktorym należy tylko zapewnić możność rozwoju, aby samorzutnie przebudowały społeczeństwo.

Kierunek pierwszy znalazł najpełniejszy swój wyraz w marxizmie, który ujmując dzieje, jako szereg zmagań się pomiędzy klasami społecznemi i doszukując się wszędzie działania praw niezmiennych, całkowicie objektywnych, u niektórych swych wyznawców doszedł do zupełnego zapoznania czynników indywidualnych i woli świadomej.

Jednostka, jej pożądania, marzenia i poglądy — są tu czemś niemal całkiem obojętnem: należy tylko tę jednostkę postawić w warunkach stosownych, należy w pewien właściwy sposób ułożyć normy życia gromadzkiego, aby niechybnie doprowadzić do pożądanego rezultatu. — Względnie — jeżeli pierwiastek woli wyeliminujemy jeszcze bardziej, — prawa kierujące przemianami społecznemi w niezłomnem działaniu swojem doprowadzą do ustroju socjalistycznego. A idąc w myśl tych praw niezmiennych, lub też działając w kierunku koniecznego, z góry przewidzianego wyniku, można i należy ujarzmić oporną wolę ludzką, można i należy choćby przymusem do ładu nowego ludzi wprowadzać. Przymus ten oczywiście niekoniecznie musi być bezpośrednim uciskiem prawnym — może to również być przymus zwartej, nadzwyczaj karnej organizacji, idącej niby armja wyćwiczona na zdobycie ładu nowego.

Zrozumiałą jest rzeczą, że w takiem ujęciu wszelkie ideali-

styczne poglądy na dzieje są potępione; t. j. przypisywanie czynnikom ideowym, ludzkim poglądom, mniemaniom, ideałom—wpływu decydującego na bieg wypadków społecznych, uważane jest za błędne, i główny wysiłek działacza i polityka zwrócony jest ku ustaleniu norm prawnych, ku określeniu i utrwaleniu form organizacyjnych, a nie ku jednostce.

Zupełnie odmienną postawę widzimy w kierunku drugim — t. j. w szczególnie nas tu interesującym kierunku anarchistycznym. Upraszczając nieco ujęcia, powiedzieć możemy, że społeczeństwo składa się tu z jednostek, kierujących się pewnymi ideałami, pojęciami, poglądami i jest tem, czem są składające je jednostki. — Aby zmienić społeczeństwo, należy zmienić jednostki — względnie zwrócić ich myśli, dążenia, wysiłki w kierunku odmiennym od dotychczasowego.

Atoli w takiem, nieco karykaturalnem uproszczeniu, całość tego programu działania sprowadzałaby się do jakiegoś racjonalizmu bardzo przesadnego. To też w takiej formie anarchizm bodaj nigdzie nie występuje.—Przemiany społeczne muszą być oparte na czemś innem, na czemś głębszem i mocniejszem niż proste rozumowanie. — Tak też jest rzeczywiście, i jeśli zanalizujemy poglądy takich anarchistów jak Kropotkin i Tołstoj, przekonamy się, że jednostka w ich ujęciu bynajmniej nie jest czemś, co zupełnie dowolnie może zwracać swe rozumowania w różnych kierunkach. I jeden i drugi z tych myślicieli — pomimo dzielących ich różnic — uznają w jednostce pewne podłoże głębsze, jakby istotne, jakiegoś człowieka rzeczywistego, któremu tylko należy pozwolić rozwinąć się, wyzwolić z pod nawału przesądów i nieporozumień.

Ten człowiek głębszy u Kropotkina — to człowiek społeczny, samorzutnie występujący w społeczeństwie pierwotnem (będącem dalszym ciągiem społeczeństwa zwierzęcego) i przebijający się potem w ciągu dziejów poprzez nieustannie narastającą gmatwaninę przesądów, przeżytków, szkodliwych instytucji społecznych, U Tołstoja te sam człowiek głębszy — człowiek istoty — to chrześcijanin, przebijający się przez gmatwaninę błędnych urządzeń społecznych, dzięki nieustannie działającemu w nim metafizycznemu pierwiastkowi boskiemu.

Jak widzimy, różnica pomiędzy Kropotkinem i Tołstojem

sprowadza się do różnicy pomiędzy t. zw. przyrodzonym i t. zw. boskim pochodzeniem pierwiastka etycznego. — Boć ne ulega wątpliwości że tak w jednym, jak w drugim przypadku mamy do czynienia z przemieniającym dzieje pierwiastkiem etycznym. — Różnica to bynajmniej nie poważna, jakkolwiek na pierwszy rzut oka wydaje się niby przepaść nie do przebycia: jest to różnica założeń metafizycznych, do których możemy nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi, skoro w zastosowaniu praktycznem wyznawcy poglądów pozornie sprzecznych schodzą się w spólnem działaniu społecznem.

Socjaliści w ciaśniejszem znaczeniu, czyli marxiści, chcąc tem mocniej potępić i oddzielić od siebie anarchistów, piętnują ich, jako wyznawców poglądów nazwanych burżuazyjnymi i twierdzą, że anarchista jest bliższy chrześcijańskiemu Tołstojowi, niż konsekwentnemu wyznawcy materjalizmu dziejowego.— W tym punkcie zupełnie można się z nimi zgodzić: anarchista — typu np. Kropotkina — rzeczywiście bliższy jest nietylko Tołstojowi, lecz choćby św. Franciszkowi z Asyżu, niż marxistom.

Za główne dzieło Marxa uważana jest krytyka ekonomji burżuazyjnej, głównem dziełem Marxa jest ekonomja. Za główne dzieło Kropotkina uważać można „Pomoc wzajemna", czyli dzieje ludzkie, traktowane ze stanowiska etycznego — i sam Kropotkin w ostatnich czasach swego życia wyraża pogląd, że zadaniem najważniejszem dla niego, dla teoretyka rewolucji jest sformułowanie etyki.

Widzimy więc, że zanim zdołaliśmy określić ściślej różnicę pomiędzy metodą działania anarchistyczną i marxistyczną, znaleźliśmy pomiędzy oby tymi kierunkami różnicę jeszcze inną, a mianowicie bardzo zasadniczą różnicę poglądu na dzieje: — anarchiści nie są materjalistami dziejowymi. Wyznają oni mnej lub bardzej uświadomiony idealizm dziejowy, lub — ściślej mówiąc etyzm dziejowy. — I w tem rzeczywiście mają dużo spólnego z tego rodzaju postaciami, jak np. św. Franciszek z Asyżu.

Co nazywam tu etyzmem dziejowym?

Pogląd, podług którego głównym — dźwigającym, przemieniającym — czynnikiem dziejowym jest tkwiący w nas pierwiastek etyczny, pewnego rodzaju sumienie dziejów, wywołujące prze-

wroty, wiodące ku ładowi coraz sprawiedliwszemu i odczuwane przez jednostkę jako jej sumienie indywidualne.

Czy teraz sumienie to, ten czynnik etyczny, przypiszemy działaniu zewnętrznego (w stosunku do świata) pierwiastka boskiego — jakby powiedział Franciszek z Asyżu i Tołstoj, — czy też działaniu ziemskiego pierwiastka społecznego — jakby powiedział Kropotkin — to sprawa bynajmniej nie ważna. Ostatecznie bowiem wszelka zewnętrzność boska, wszelki transcendentalizm, sprowadza się koniec końców do boskości najbardziej wewnętrznej — czyli boskość utożsamia się z jaźnią najistotniejszą, z przeżyciem czy doświadczeniem najbardziej bezpośredniem; a z drugiej strony — wszelka boskość istotna, odczuwana przez jednostkę, może być ujmowana jako życie społeczeństwa w sercu jednostkowem.

Tak czy inaczej anarchiści — zarówno chrześcijańscy, jak zwolennicy materjalizmu filozoficznego — różnią się zasadniczo od marxistów przez wyznawanie etyzmu dziejowego.

Z tego oczywiście wynikają również poszukiwane różnice w metodach działania: — anarchista nie wierzy w skuteczność siły i przemocy dla osiągnięcia przemian społecznych — on pragnie przemieniać dusze ludzkie. Nawet wyznawcy aktów terorystycznych — jeśli są anarchistami — bynajmniej nie po to usuwają kogoś, władzę dzierżącego, aby samemu — czy samym — na jego miejscu zasiąść i władzę chwycić; jeno akty swe pojmują jako „środek propagandy", jako sposób zdzierania ludziom z oczu łuski przesądów.— Ile w stosowaniu tego rodzaju „środków propagandy" mieści się naiwności, tego wykazywać nie potrzeba; w każdym jednak razie nie jest to walka o władzę. Cały marxizm praktyczny jest walką o władzę: — anarchiści przeciwnie — o władzę nie ubiegają się nigdzie, bo im ona zasadniczo nie potrzebna. Anarchista nie tyle zaprowadza ład, przez siebie obmyślony, ile wyzwala w jednostce i w społeczeństwie to dobro, które tam jest, jeno w warunkach obecnych ujawnić się i działać swobodnie nie może. — To też marxista ma albo pogardliwą postawę względem człowieka, albo uważa człowieka za beznadziejnie złego i pragnie utrzymać go w ramach właściwych przy pomocy pewnej mniej lub więcej przymusowej organizacji społecznej; anarchista zaś wierzy — serdecznie wierzy — w zasadniczą, podstawową dobroć

ludzką i uważa, że nic innego czynić nie potrzeba, jeno wyzwalać, wyzwalać i jeszcze raz wyzwalać.

Skoro tak zasadnicze widzimy różnice pomiędzy marxistami i anarchistami, może powstać tu pytanie, — czemu obejmujemy ich spólnym mianem socjalistów? — Częściowo na pytanie to odpowiedziałem już wyżej, mówiąc, że zarówno jedni jak drudzy dążą do uspołecznienia gospodarki, do zniesienia własności prywatnej, środków produkcji i wymiany. Dodać jednak należy, ze miana socjalistów (a możnaby tu również powiedzieć komunistów) użyłem także dlatego, aby oddzielić się od nazywanych również anarchistami typów, w rodzaju Maxa Stirnera lub Fr. Nitzschego. Stirner to rozpaczliwy krzyk jednostki, samobójczo zbuntowanej przeciwko gromadzie; Nitzsche — to tragiczny żongler i linoskok, namiętnie spragniony powagi i dostojeństwa i nigdy na tym twardym gruncie stanąć nie mogący. — Obydwaj — i im podobni — są przejawem pewnej choroby społecznej, lecz bynajmniej nie punktem wyjścia kierunku życia nowego, czy nowej a płodnej postawy względem zagadnień społecznych. — Mówiłem o anarchistach społecznych i dlatego nazwałem ich anarchistami-socjalistami, lub anarchistami-komunistami.

Wyrazu socjalista lub komunista należy używać tu także dla tego, aby usunąć nieporozumienia, mogące powstać z powodu wspomnienia św. Franciszka z Asyżu, a także z powodu pewnych skojarzeń połączonych z imieniem Tołstoja, który nieraz tak dalece przenosił środek ciężkości do indywidualnego sumienia ludzkiego, że zgoła zapominał o potwornych warunkach społecznych, to sumienie wynaturzających. Dobrze też będzie pamiętać, co Kropotkin pisał na parę miesięcy przed śmiercią (dn. 27 grudnia 1920 roku) i co niewątpliwie było wyrazem poglądów, przez całe życie wyznawanych. Pamiętać także warto, że Kropotkin pisał to w Rosji, przeciwstawiając się jednocześnie t. zw. „dyktaturze proletarjatu".

„Póki istnieć będzie kapitał, póki ludzie nie zrozumieją, że „kapitał" jest jedynie kredytem, udzielanym przez posiadających, wogóle, póki kapitał będzie podstawą wszystkich przedsiębiorstw — póty nie może być mowy o rzeczywistem spółdziałaniu między ludźmi".

Podana tu w języku polskim praca Kropotkina jest doskonałym przykładem tej głębokiej wiary anarchistycznej w zasadniczą dobroć człowieka — nietylko człowieka, lecz całej przyrody ożywionej. Kropotkin instynktowo nie mógł uwierzyć w to, aby ewolucjonizm darwinowski — te cudowne dzieje rozwoju świata żywego — opierał się cały na tryumfie pierwiastku przemocy i walki, a więc pierwastku zła; jego jestestwo etyczne protestowało przeciw takiemu przypuszczeniu. To też póty badał życie zwierząt i ludzi, póty skwapliwie zbierał materjały, rozproszone po dziełach zoologicznych, antropologicznych i historycznych, aż wyśpiewał olbrzymi hymn na cześć pierwiastku dobra społecznego we wszechżyciu. — Z każdej stronicy jego książki tchnie gorąca wiara w dobroć, w serdeczną, braterską słoneczność życia — i wiara ta udziela się czytelnikowi. — To bodaj główna — ale też bynajmniej nie mała — zaleta tej książki: czytając ją stajemy się lepsi, pogodniejsi i ufniejsi.

Być może, sam Kropotkin, usilnie dociągający swe ideały do rusztowań pozytywizmu francuskiego i ewolucjonizmu angielskiego i pragnący za wszelką cenę być ściśle „naukowym" — zaprotestowałby zlekka przeciwko takiemu pobudek jego wykładaniu.— Nie pozostałoby nam nic innego, jeno prosić go o wyrozumiałość i pozwolenie pojmowania jego własnych pobudek nieco inaczej niż on sam to czyni; musielibyśmy prosić go o pozwolenie wzięcia z jego dzieł owego radosnego potwierdzenia życia, owego pokrzepienia, którem są przelewne, pozostawiając jednocześnie na boku jego materjalizm filozoficzny, niosący z sobą mocny posmak objawień racjonalistyczno-mieszczańskich z końca 18-go i z pierwszej połowy 19-go stulecia. Musielibyśmy także zwrócić jego uwagę na fakt, dziwnie pomijany dotąd w nauce, że darwinowska teorja walki o byt i doboru naturalnego jest przeniesieniem na całą przyrodę ożywioną tych ujęć zasadniczych, które jako prawda samonarzucająca się, jako wiara niczem niezachwiana, żyły i działały w podświadomości burżuazji angielskiej, właśnie w czasach Darwina zdobywającej świat dzięki zasadzie wolnego spółzawodnictwa.

Dodać tu należy, że spółdzielczość i spółdzielcze metody działania społecznego szczególnie blizko łączą się z anarchizmem. Zarówno teoretycy ruchu spółdzielczego, jak jego praktycy są

z ducha i sposobów działania bliżsi anarchistom, niż socjalistom typu marxowskiego. — Spółdzielcy — tak samo jak anarchiści bynajmniej o władzę nie walczą ani jej nie pragną; potrzebna im jest jedynie swoboda organizowania się. Spółdzielcy — tak samo jak anarchiści — całe działanie swoje opierają na najlepszych, społeczno-etycznych pierwiastkach duszy ludzkiej, wierzą w zasadniczą dobroć człowieka, i dążąc do organizowania ludzi na najpierwotniejszej podstawie interesów masowych, są przeświadczeni, że w wolnych organizacjach p o m o c y w z a j e m n e j ujawnią się w całej pełni najwyższe etyczne właściwości ludzkie: — ponieważ tylko w środowisku etycznie wysokiem wolne organizacje należycie rozwijać się mogą i ponieważ — z drugiej strony — tylko wolne organizacje mogą wyhodować typ rzeczywiście etycznego, uspołecznionego i samorządnego człowieka-obywatela. — Wszystkie organizacje rzeczywiście spółdzielcze, są doskonałym przejawem spółczesnym tej przepotężnej dążności do p o m o c y w z a j e m n e j, której uwydatnieniu i opiewaniu poświęcona jest praca Kropotkina.— Książka ta dla każdego działacza spółdzielczego może być oparciem, może mu dostarczyć uzasadnienia jego poglądów i metod działania — i to uzasadnienia, sięgającego wstecz aż do najpierwotniejszych społeczeństw zwierzęcych.

Jeśli chodzi o stwierdzenie istotnego pokrewieństwa duchowego pomiędzy anarchistami i spółdzielcami, dość wspomnieć Edwarda Abramowskiego, bodaj jedynego w Polsce samodzielnego teoretyka anarchizmu, który jednocześnie był gorącym zwolennikiem i propagatorem ruchu spółdzielczego. (Swoje prace anarchistyczne ogłaszał Abramowski pod pseudonimami jako Walczewski i jako M. A. Czajkowski).

Przekładu niniejszego dokonano z oryginału angielskiego, zestawiając go tu i owdzie z przejrzanym przez autora przekładem rosyjskim. Jest to przekład niemal całkowity, — skrócono tylko nieco dwa rozdziały ostatnie. — Opuszczono również dodatki, dopiski i bardzo obfity w oryginale materjał bibljograficzny. Do tego ostatniego kroku czuliśmy się uprawnieni dlatego, że bibljografja ta zawiera wyłącznie dzieła w językach obcych — komu zaś znany jest język angielski, francuski,niemiecki, lub rosyjski, ten sięgnąw-



szy do opracowań tej książki w tamtych językach znajdzie całą bibljografję; natomiast podanie tej bibljografji w języku polskim podniosłoby niepotrzebnie cenę książki dla wszystkich tych, którzy i tak z wyliczonych dzieł i czasopism korzystać nie mogą.

Jan Hempel.

WSTĘP.

Podczas podróży, które w młodości odbyłem po Wschodniej Syberji i Północnej Mandżurji, szczególnie uderzyły mnie dwie strony życia zwierzęcego. Jedna z nich — to nadzwyczajna ostrość walki o byt, do której większość gatunków zwierzęcych bezlitośnie zmuszana jest przez przyrodę; to olbrzymie zniszczenie życia, perjodycznie wywoływane przez czynniki naturalne; to wreszcie wynikające z tego nazwyczajne ubóstwo życia na badanych przeze mnie obszarach. Druga zaś strona — to brak tej ostrej walki o byt pomiędzy zwierzętami, należącymi do tego samego gatunku, walki uważanej przez większość darwinistów (ale nie przez samego Darwina) jako znamię główne życia zwierzęcego i podstawowy czynnik rozwoju; podkreślam — walki pomiedzy osobnikami tego samego gatunku nie znajdowałem, jakkolwiek szukałem jej zawzięcie.

W północnej części Eurazji w lutym i w marcu przychodzą olbrzymie burze śnieżne, po których następują nadwyczaj ostre mrozy; mrozy i zawieje powtarzają się potem w drugiej połowie maja, gdy drzewa są już w kwiecie i wszędzie roi się od owadów; wczesną jesienią przychodzą nieraz mrozy, a w lipcu i w sierpniu zdarzają się obfite opady śnieżne, w ciągu jednej godziny niszczące niezliczone mnóstwo owadów łącznie z drugim pomiotem ptaków stepowych; we wrześniu i w sierpniu, z powodu musonów, w okolicach o klimacie bardziej umiarkowanym padają deszcze tak ulewne, że wywołują powodzie w rozmiarach znanych jedynie w Ameryce i w Azji Wschodniej i zatapiające nieraz przestrzenie tak wielkie, jak państwa europejskie; wreszcie w pierwszej połowie października zdarzają się wielkie śniegi, czyniące niemożliwem życie dla zwierząt przeżuwających i zabijające je całemi tysiącami. — Oto warunki, w których obserwowałem walkę życia zwierzęcego z przyrodą w Azji północnej. Dzięki tym obserwacjom bardzo wcześnie doszedłem do należytej oceny tego, co Darwin nazywał „tamą naturalną przeciw przeludnieniu“, a co jest

znacznie potężniejsze, aniżeli walka pomiędzy jednostkami tego samego gatunku, zdarzająca się tu i owdzie, nie wytrzymująca jednak najmniejszego porównania z walką przeciw przyrodzie. Na tych olbrzymich przestrzeniach, które nazywamy Azją Północną, znamieniem szczególnem jest ubóstwo życia, a nie jego nadmiar; doprowadziło to mnie do wątpliwości poważnych — potwierdzonych później przez badania — o rzeczywistości tego srogiego spółzawodnictwa o żywność, które toczyć się ma wewnątrz gatunku, a które było przedmiotem wiary większości darwinistów: słowem — zwątpiłem, czy spółzawodnictwo odgrywa rzeczywiście tę dominującą rolę, jaką przypisywano mu przy powstawaniu nowych gatunków.

Z drugiej znowu strony, gdy obserwowałem życie obfite, jak np. nad brzegami jezior, gdzie gromadzą się dziesiątki gatunków i miljony jednostek w celu wyhodowania potomstwa; w kolonjach gryzoniów; w olbrzymich — iście amerykańskich wędrówkach ptaków nad brzegami Ussuri; szczególnie zaś w wędrówkach danieli, które miałem możność obserwowania nad Amurem, gdzie ogromne stada tych zwierząt rozumnych zbierały się z wielkich obszarów, uciekając przed śniegami i w zamiarze przejścia rzeki w miejscu najwęższem — we wszystkich tych i tym podobnych scenach, rozgrywających się przed mymi oczami, widziałem w świecie zwierzęcym pomoc wzajemną w takich rozmiarach, że doprowadziło mnie to do uznania jej za czynnik pierwszorzędny w utrzymaniu życia, w zachowaniu każdego gatunku i w jego rozwoju.

Z drugiej znowu strony, ilekroć miałem możność obserwować zwierzęta w okresie walki o byt — np. badając pół dzikie bydło i konie w kraju zabajkalskim, zupełnie dzikie zwierzęta przeżuwające, wiewiórki i t. d. — stwierdziłem, że wszędzie tej ostrej walce wewnętrznej towarzyszy obniżenie intensywności życia i gatunki lub ich części, zmuszone do niej, wychodzą z tej próby zdziesiątkowane i znacznie słabsze. To doprowadziło mnie do wniosku, że okresy ostrego spółzawodnictwa bynajmniej nie są okresami rozwijania się gatunku.

To też gdy później zająłem się stosunkiem darwinizmu do socjologji, nie mogłem pogodzić się z żadną z darwinistycznych

rozpraw socjologicznych. Rozprawy te bowiem usiłowały dowieść, że człowiek dzięki swej wiedzy i rozumowi może złagodzić ostrość walki o byt pomiędzy ludźmi; wszystkie jednak przyznawały także, że walka o byt, walka o środki do życia, jest prawem natury, jednako obowiązującem człowieka, jak wszystkie zwierzęta. Poglądu tego nie uznawałem, ponieważ nie widziałem bezlitośnej walki wewnątrz jednego gatunku i nie była ona dla mnie warunkiem postępu.

W styczniu roku 1880 prof. Kessler, dziekan uniwersytetu petersburskiego, ogłosił pracę pod tytułem „Prawo pomocy wzajemnej": praca ta rzuciła nowe światło na cały przedmiot. Pogląd Kesslera streszcza się w tem, że obok prawa walki wzajemnej działa w przyrodzie prawo pomocy wzajemnej, które dla rozwoju gatunku jest dużo ważniejsze, niż prawo walki wzajemnej. Myśl ta — będąca w rzeczywistości jedynie rozwinięciem poglądów Darwina, wyrażonych w „Pochodzeniu człowieka" — wydała mi się tak słuszna i ważna, że od chwili zapoznania się z nią, od roku 1883, począłem zbierać materjały dla uzasadnienia poglądu, który Kessler w swym odczycie tylko zaznaczył, lecz nie rozwinął. Umarł bowiem w r. 1881.

W jednym tylko punkcie nie mogłem całkowicie podpisać się pod poglądami Kesslera. Odwoływał on się mianowicie do „Uczucia rodzicielskiego", do dbałości o swoje potomstwo, jako do źródła przychylności wzajemnej pomiędzy zwierzętami. Trudną wprawdzie byłoby rzeczą określenie, w jakiej mierze uczucia rodzicielskie rzeczywiście przyczyniają się do rozwoju instynktów społecznych w zwierzętach, w jakiej zaś mierze wchodzą tu w grę czynniki inne. Dopiero po ustaleniu faktów pomocy wzajemnej pomiędzy różnymi zwierzętami i po ustaleniu jej wpływu na ewolucję, będziemy mogli zbadać, co w rozwoju uczuć społecznych zawdzięczać należy uczuciom rodzicielskim, co zaś samemu instynktowi społecznemu. — W każdym razie niewątpliwą jest rzeczą, że instynkt społeczny rodzi się już na najniższych stopniach świata zwierzęcego, być może nawet w stadjum kolonji. Zgodnie z tem, usiłowałem przedewszystkiem określić znaczenie pomocy wzajemnej jako czynnika ewolucji, uważając, że badanie źródeł tej pomocy wzajemnej, będzie już zadaniem dalszem.

Znaczenie czynnika pomocy wzajemnej nie uszło uwagi tak

genjalnego przyrodnika, jak Göthe. Kiedy Eckerman opowiadał kiedyś Göthemu (w r. 1827), że znalazł parę piskląt mysich królików, wypadłych z gniazda, i że pisklęta te dnia następnego znalazły się w gnieździe czerwienki (Motacilla rubecula), gdzie żywione były razem z pisklętami, w gnieździe tem urodzonemi, Göthe wyraził z tego powodu zdziwienie i wzruszenie; widział on w tem potwierdzenie swych poglądów panteistycznych i powiedział: „Jeśli to prawda, że żywienie obcego jest czemś powszechnem w przyrodzie, jeśli posiada ono charakter prawa ogólnego — w takim razie niejedna zagadka byłaby rozwiązana". Następnego dnia powrócił do tego przedmiotu i usilnie namawiał Eckermana (który jak wiadomo był zoologiem), aby przedsięwziął specjalne badania w tym kierunku, zapewniając go, że niewątpliwie odkryje skarby prawdziwe. Niestety, badania te nigdy nie były przedsięwzięte, jakkolwiek możliwe jest, że Brehm, który w dziełach swych zebrał tak obfity materjał odnośnie pomocy wzajemnej między zwierzętami, mógł być pobudzony do tego przez uwagę Göthego.

W latach 1872 do 1883 ogłoszono kilka poważnych dzieł, traktujących o inteligencji i umysłowem życiu zwierząt. Trzy z nich zajmują się specjalnie naszym przedmiotem, a mianowicie: Espinas — „Les societes animales", Paris 1887. — J. L. Lanessan — „La lutte pour l'existence et l'association pour la lutte", Paris, April, 181. — L. Büchner — „Liebe und Liebes-Leben in der Thierwelt". Jakkolwiek dzieła te posiadają wartość bardzo dużą, jest obok nich miejsce na pracę, w której pomoc wzajemna byłaby traktowana nie tylko jako argument dowodzący przedludzkiego pochodzenia instynktu moralnego, lecz również jako prawo przyrody i czynnik rozwoju. Espinas zwrócił uwagę na takie społeczeństwa zwierzęce (mrówki, pszczoły), które oparte są na fizjologicznym podziale pracy; dzieło jego pełne jest spostrzeżeń bardzo ciekawych, napisane jednak było w czasie, kiedy rozwój społeczeństwa ludzkiego nie mógł być jeszcze rozpatrywany przy pomocy wiedzy dzisiejszej. Odczyt Lanessan'a posiada raczej charakter pięknego szkicu, w którym pomoc wzajemna traktowana jest poprzez całą przyrodę, poczynając od skał morskich, podnosząc się do świata zwierząt i roślin i dochodząc do człowieka. Co się zaś tyczy dzieła Büchnera, pomimo całego bogactwa faktów w niem zawartych, nie mogę się zgodzić z jego myślą przewodnią. Książka

rozpoczyna się hymnem do miłości i niemal wszystkie jej ilustracje mają na celu udowodnić istnienie pomiędzy zwierzętami uczuć miłości i spółczucia. Sprowadzanie instynktu społecznego w świecie zwierzęcym do miłości i spółczucia wiedzie ku ograniczeniu wogóle jego znaczenia; zupełnie tak samo, jak etyka ludzka, oparta wyłącznie na osobistej miłości i spółczuciu przyczyniła się jedynie do zacieśnienia poczucia moralnego wogóle. To nie miłość do osoby sąsiada mego — którego często zupełnie nie znam — zmusza mnie do chwytania za wiadro i biegnięcia do jego domu, gdy zobaczę, że się pali; działa tu poczucie dużo szersze, jakkolwiek być może bardziej nieokreślone — poczucie czy instynkt ludzkiej solidarności, poczucie łączności społecznej. To samo zachodzi pomiędzy zwierzętami. Nie miłość to, ani nawet spółczucie (w ścisłem znaczeniu tego wyrazu) doprowadza stada przeżuwających lub koni do tworzenia koła w celu obrony przed wilkami; nie miłość doprowadza wilki do tworzenia stada podczas polowania; nie miłość skłania kocięta lub jagnięta do zabawy i nie miłość skłania dziesiątki gatunków młodych ptaków do spólnego spędzania dni jesienią; również nie miłość i spółczucie osobiste doprowadza tysiące danieli, rozrzuconych na przestrzeni tak wielkiej jak Francja, do tworzenia stad, zmierzających wszystkie do jednego miejsca, w celu przeprawienia się przez rzekę. Mamy tu do czynienia z uczuciem nieskończenie szerszem, niż miłość i spółczucie osobiste; — jest to instynkt rozwinięty stopniowo pomiędzy zwierzętami i ludźmi w ciągu nadzwyczajnie długich okresów rozwojowych, instynkt, który nauczył zwierzęta i ludzi oceniać tę siłę, którą czerpać mogą z pomocy wzajemnej, instynkt, który dał im poznać radości, płynące z życia społecznego.

Znaczenie tego rozróżnienia może być bez trudu ocenione przy badaniach psychologji zwierzęcej, a jeszcze bardziej etyki ludzkiej. Miłość, spółczucie i samoofiara rzeczywiście odgrywają olbrzymią rolę w rozwoju naszych uczuć moralnych. Atoli społeczeństwo ludzkie nie na miłości jest oparte i nawet nie na spółczuciu. Oparte jest ono na solidarności ludzkiej — choćby nawet występowała ona na poziomie instynktu. Mamy tu do czynienia z nieświadomem uznaniem tej siły, którą każdy człowiek czerpie z pomocy wzajemnej; mamy do czynienia ze ścisłą zależnością szczęścia każdego od szczęścia wszystkich; wreszcie z poczuciem

sprawiedliwości, które doprowadza jednostkę do stawiania praw każdego ze swych bliźnich na równi z prawami własnymi. Na tej szerokiej i koniecznej podstawie założone są wyższe uczucia moralne. Tutaj jednak wyszlibyśmy już poza granice, zakreślone tej książce i odwołam się tylko do odczytu p. t. „Sprawiedliwość i moralność“, który ogłosiłem w odpowiedzi na etykę Huxley'a i w którym sprawę potraktowałem obszerniej.

Sądzę więc, że książka na temat — pomoc wzajemna, jako prawo przyrody i czynnik rozwoju — wypełni lukę poważną. Kiedy Huxley wydał w r. 1888 swój manifest o walce o byt, który podług mnie był bardzo niedokładnym przedstawieniem tego, co rzeczywiście widzimy w krzach i lasach, wszedłem w porozumienie z wydawcą czasopisma „Nineteenth Century“, pytając go, czy udzieli miejsca na odpowiedź jednemu z najwybitniejszych darwinistów. Propozycja moja została przyjęta bardzo przychylnie. W sprawie tej mówiłem potem z p. W. Batesem, który powiedział: „tak, to właśnie jest darwinizm prawdziwy. Niech pan napisze te artykuły, a gdy wyjdą, przyślę panu list, który będzie można ogłosić“. Niestety, potrzebowałem około 7-iu lat dla napisania tych artykułów i gdy ostatni był ogłoszony, Bates nie żył już oddawna.

Rozpatrzywszy znaczenie pomocy wzajemnej pomiędzy rodzajami zwierząt, zostałem doprowadzony do zbadania tego samego czynnika w rozwoju człowieka. Było to tem konieczniejsze, że wielu ewolucjonistów, którzy zapewne zgodzą się na przyznanie znaczenia pomocy wzajemnej w świecie zwierzęcym, jak np. Herbert Spencer, stanowczo odmówią jej prawa w świecie ludzkim. Twierdzą oni, że w świecie człowieka pierwotnego walka wszystkich przeciw wszystkim jest prawem panującem. W jakiej mierze twierdzenie to nie wytrzymuje krytyki, pomimo tego, że od czasów Hobbes'a było zbyt chętnie powtarzane, postaram się wykazać w rozdziałach, poświęconych ludziom dzikim i barbarzyńcom.

Liczba i znaczenie instytucji pomocy wzajemnej, powołanych do życia i rozwiniętych przez twórczość gromad dzikich lub półdzikich, podczas najwcześniejszego okresu życia klanowego, a jeszcze bardziej w okresie komunistycznej wsi pierwotnej, i wpływ olbrzymi, który te instytucje pierwotne wywarły na cały

późniejszy rozwój ludzkości, aż do naszych czasów włącznie, skłoniły mnie do rozciągnięcia swych poszukiwań również na okresy historyczne. Szczególnie zaś zwróciłem się do badania miast średniowiecznych, przedstawiających okres niezwykle zajmujący, a których wpływ na spółczesną naszą cywilizację jest wciąż jeszcze niedoceniany. Postarałem się wreszcie, choć pokrótce, zwrócić uwagę na znaczenie instynktów pomocy wzajemej, odziedziczonych przez człowieka w nadzwyczaj długim okresie rozwojowym, a odgrywających w naszem społeczeństwie spółczesnem rolę poważną, jakkolwiek mniemamy zwykle, że życie nasze opiera się na zasadzie: „każdy dla siebie, a państwo dla wszystkich".

Przewiduję zarzut, że w książce tej przedstawiłem zarówno zwierzęta, jak ludzi w sposób zbyt przychylny; powiedzą być może, że położyłem nacisk na właściwości społeczne, zaledwie dotykając dążeń antyspołecznych i egoistycznych. Było to jednak nieuniknione. W ostatnich czasach tak dużo słyszymy o bezlitosnej walce o byt, którą ponoć prowadzi każde oddzielne zwierzę przeciwko wszystkim zwierzętom, każdy oddzielny człowiek „dziki" przeciwko wszystkim innym „dzikim" i każdy człowiek cywilizowany przeciwko wszystkim swym spółobywatelom — i twierdzenia te stały się tak dalece przedmiotem wiary — że jest rzeczą konieczną przeciwstawić im przedewszystkiem obszerny szereg faktów, ukazujących życie zwierzęce i ludzkie w swietle odmiennem. Potrzeba było wskazać na to znaczenie olbrzymie, jakie dla rozwoju zarówno zwierząt jak ludzi posiadają w przyrodzie nawyki społeczne; trzeba było udowodnić, że zapewniają one zwierzętom obronę od nieprzyjaciół, często ułatwiają zdobycie pożywienia (zapasy zimowe, wędrówki i t. d.), zabezpieczają żywot dłuższy, a tem samem ułatwiają rozwój zdolności umysłowych; trzeba było dowieść, że instynkty te dają nadto ludziom możność dalszego rozwijania tych instytucji, które zapewniły człowiekowi zwycięstwo w walce przeciko przyrodzie, które dały mu postęp wbrew wszystkim przeszkodom dziejowym. Książka ta jest książką o prawie pomocy wzajemnej, jako o j e d n y m z głównych czynników rozwoju; lecz nie o w s z y s t k i c h czynnikach rozwojowych i o ich względnej wartości. Książkę taką trzeba

było napisać, zanim na drugą z dwóch wymienionych czas nadejdzie.

Niewątpliwie byłbym ostatnim z tych, którzy zaprzeczaliby znaczenia dążnościom do samapotwierdzania się jednostkowego w rozwoju ludzkości. Wydaje mi się tylko, że przedmiot ten zasługuje na traktowanie dużo głębsze, niż to, z którem spotykał się dotychczas. W dziejach ludzkich samopotwierdzanie się jednostkowe było i zawsze jest czemś innem, dużo szerszem i głębszem, niż ten małostkowy i ciasny indywidualizm, o którym rozpisują się tak liczni autorzy. Te rzeczywiście wielkie osobistości, które tworzą dzieje, bynajmniej nie pokrywają się z bohaterami, przez historyków opisywanymi. To też zmierzam ku temu, aby w przyszłości rozpatrzyć oddzielnie rolę samopotwierdzania się jednostkowego w rozwoju ludzkości. Na tem miejscu zaś mogę tylko zrobić uwagę następującą: Kiedy instytucje pomocy wzajemnej— takie, jak klan, spólnota wiejska, gildje i grody średniowieczne — poczęły w ciągu dziejów tracić swój charakter pierwotny, kiedy powstały na nich narośle pasożytnicze i instytucje te stały się już tylko zawadą na drodze postępu, powstał przeciwko nim protest jednostek i przybrał wygląd dwojaki. Jedna część protestujących dążyła do oczyszczenia instytucji dawnych, do wytworzenia wyższej formy spółżycia społecznego, opartej na tych samych zasadach pomocy wzajemnej: tak np. usiłowali oni wprowadzić zasadę rekompensaty zamiast zasady odwetu (lex talionis), potem zasadę przebaczania uraz lub jeszcze wyższy ideał równości ludzkiej na miejsce rekompensaty. Jednocześnie jednak druga część tych protestujących usiłowała obalić instytucje pomocy wzajemnej jedynie w celu odniesienia z tego korzyści osobistych. Walka pomiędzy temi dwoma grupami protestujących wypełnia istotną tragedję dziejową. Aby jednak rzeczywiście poznać tę walkę i uczciwie rozróżnić, jakim czynnikiem w dziejach była każda z wymienionych grup, potrzebaby było poświęcić na to conajmniej tyle samo czasu, ile użyłem na napisanie tej książki.

Bromley (Kent) 1902.

ROZDZIAŁ I.

POMOC WZAJEMNA W ŚWIECIE ZWIERZĄT.

Walka o byt.—Pomoc wzajemna, jako prawo przyrody i główny czynnik rozwoju.—Bezkręgowe.—Pszczoły i mrówki.—Ptaki: zrzeszenia myśliwskie i rybackie.—Uspołecznienie.—Pomoc wzajemna pomiędzy drobnymi ptakami.—Żórawie, papugi.

Pojęcie walki o byt, jako czynnika rozwoju, wprowadzone do nauki przez Darwina i Wallace'a, pozwoliło nam objąć jednem uogólnieniem olbrzymi szereg zjawisk; uogólnienie to wnet stało się podstawą naszych filozoficznych, bjologicznych i socjologicznych rozumowań. Olbrzymia różnorodność faktów: przystosowanie się sposobu życia i budowy organizmu do warunków środowiska; rozwój fizjologiczny i anatomiczny; postęp umysłowy, a nawet moralny, który dotąd przypisywaliśmy tak różnym przyczynom,— wszystko to zostało objęte przez Darwina jednem pojęciem ogólnem. Ujmujemy teraz to wszystko jako szereg wysiłków — jako walkę przeciwko okolicznościom nieprzyjaznym jako rozwój jednostek, ras, gatunków i społeczeństw, dzięki któremu powstaje możliwie największa pełnia, różnorodność i bogactwo życia. Być może, że w początku sam Darwin nie zupełnie zdawał sobie sprawę z tego, jak wielkie obszary ujmuje ten czynnik, który wywołał on dla wytłomaczenia tylko jednego szeregu faktów, związanych z nagromadzeniem zmian indywidualnych w rodzących się do życia gatunkach. Widział jednak, że wprowadzony przez niego termin straciłby swe znaczenie filozoficzne, a tem samem swe jedyne prawdziwe znaczenie, jeśliby używać go w rozumieniu ciasnem— jako walkę pomiędzy oddzielnemi jednostkami o proste środki żywności. To też na samym wstępie do swego znakomitego dzieła położył nacisk, aby terminu tego używać „w znaczeniu szerszem (metaforycznem), obejmując nim również zależność każdej istoty

żywej od pozostałych i — co ważniejsze — nie tylko życie jednostki, lecz również możliwość pozostawienia potomstwa".

Jednocześnie jednak sam posługiwał się tym terminem w znaczeniu ciaśniejszem jak to było konieczne dla jego celów specjalnych i ostrzegał swych następców przed błędem (który sam zdaje się popełnia), przeceniania tego znaczenia ciasnego. W „Pochodzeniu człowieka" dał kilka potężnych stronic, objaśniających właściwe, szersze znaczenie tego terminu. Zwrócił uwagę na to, jak w niezliczonych społeczeństwach zwierzęcych niknie walka pomiędzy oddzielnemi jednostkami o srodki do życia i na jej miejscu jawi się spółdziałanie; jak dalej zamiana ta przynosi rozwój zdolności intelektualnych i moralnych, zapewniających gatunkowi lepsze warunki przeżycia. Mówił, że w tych razach za najzdolniejszych uznani być muszą nie fizycznie najsilniejsi, nie najprzebieglejsi, lecz ci, którzy umieją łączyć się w celu pomocy wzajemnej, wiążąc w jedną całość (i dla dobra tej całości) zarówno silnych, jak słabych. „Te spólnoty, — pisał on,— które zawierają w sobie największą liczbę jednostek zdolnych do spółżycia, rozwijają się najpomyślniej i wyhodowują największą liczbę potomstwa". Widzimy stąd, że termin, zrodzony z ciasnych maltuzjańskich pojęć o spółzawodnictwie wszystkich przeciwko wszystkim, stracił swą ciasnotę w umyśle człowieka, znającego przyrodę.

Niestety, uwagi te, które powinny były stać się podstawą poszukiwań najbardziej owocnych, zostały przesłonięte przez masy faktów, zebranych w celu udowodnienia następstw rzeczywistego spółzawodnictwa. Przytem Darwin nigdy nie przystąpił do ścisłego zbadania dwóch postaci walki o byt, występujących w świecie zwierzęcym i nigdy nie napisał zamierzonego dzieła o naturalnych tamach przeciw przeludnieniu, jakkolwiek dzieło to dałoby podstawy do należytego ocenienia walki jednostkowej. Przeciwnie — pomiędzy temi samemi stronicami, które potępiają ciasne maltuzjańske pojmowanie walki, zjawiają się również i stare maltuzjańskie tony; mianowicie w tych miejscach, gdzie Darwin wspomina o niedogodnościach, wynikających z utrzymywania w naszych społeczeństwach cywilizowanych jednostek słabszych fizycznie lub umysłowo. Jak gdyby tysiące słabych i chorowitych poetów, uczonych, wynalazców i reformatorów

łącznie z tysiącami t. zw. „nienormalnych" i „entuzjastów" nie były najceniejszą bronią ludzkości w walce o byt, bronią intelektualną i moralną, którą Darwin tak wysoko stawiał w tych samych rozdziałach „O pochodzeniu człowieka".

Z teorją Darwina zdarzyło się to samo, co zwykle zdarza się z teorjami, sięgającemi do stosunków międzyludzkich. Następcy, zamiast rozszerzenia jej własnymi spostrzeżeniami, przyczyniali się tylko do zacieśniania myśli pierwotnej. I kiedy Herbert Spencer, rozpoczynając swe rozważania, chciał zastanowić się nad pytaniem „kto jest najzdatniejszy" — szczególnie w dodatku do trzeciego wydania „Etyki" — niezliczeni uczniowie Darwina sprowadzali pojęcie walki o byt do granic możliwie najciaśniejszych. Doszli oni do tego , że widzieli w świecie zwierzęcym jedynie wieczną walkę pomiędzy jednostkami zgłodniałymi, rzucającymi się na siebie wzajem. Pisarze ci wypełnili literaturę spółczesną okrzykiem wojennym: biada zwyciężonym, uważając go za ostatni wyraz bjologji spółczesnej. Podnieśli oni bezlitosną walkę o korzyści osobiste na wyżyny zasady bjologicznej, której podlega zarówno człowiek, jak zwierzę, i głosili, że kto nie stosuje się do tego, ten zginie w tym świecie, którego treścią jest tępienie się wzajemne. Pozostawmy na boku ekonomistów, znających zwykle z nauk przyrodniczych zaledwie kilka terminów, zapożyczonych od popularyzatorów drugiego stopnia; przyznać jednak musimy, że nawet najkompetentniejsi wykładacze darwinizmu zrobili wszystko, co mogli, aby podtrzymać te pojęcia błędne. Oto weźmy np. Huxley'a, uważanego niewątpliwie za jednego z najzdolniejszych wykładaczy teorji rozwoju, a dowiemy się z pracy p. t. „Walka o byt i jej znaczenie dla człowieka", że

„z punktu widzenia moralisty świat zwierzęcy wygląda nie„mal jak zapasy gladjatorów. Istoty żywe są odżywione i zmuszo„ne do walki, z której zwycięzcami wychodzą najsilniejsi, najby„strzejsi i najprzebieglejsi po to, aby nazajutrz znowu stanąć do „walki. Widz nie potrzebuje opuszczać palca na dół na znak dobi„cia pokonanych, ponieważ tu i tak nikogo nie oszczędzają".

Lub niżej w tym samym artykule opowiada on, że pomiędzy zwierzętami tak samo, jak pomiędzy ludźmi pierwotnymi,

„najsłabsi i najgłupsi stawiani są na śmierć pod ścianę, pod„czas gdy najprzebieglejsi, ci, którzy najpomyślniej mogą zmagać

„się z okolicznościami, jakkolwiek być może bynajmniej nie naj„lepsi, pozostają przy życiu. Życie było powszechną i nieustanną „walką; i poza ograniczonymi i przemijającymi stosunkami rodzin„nymi, normalnym stanem bytowania była walka wszystkich prze„ciw wszystkim w znaczeniu, przyjętem przez Hobes'a".

W jakiej mierze ten pogląd odpowiada rzeczywistości, zobaczymy na stronicach następujących, gdzie opiszemy świat zwierzęcy i człowieka pierwotnego. Można tu zauważyć, że Huxley'owski pogląd na przyrodę może być usprawiedliwiony jako przeciwstawienie się poglądom Rousseau, który widział w przyrodzie tylko miłość, pokój i harmonję, zakłócone przez wmieszanie się człowieka. W rzeczywistości dość przechadzki po lesie, dość nieco spostrzeżeń, uczynionych na społeczeństwie zwierzęcem, lub choćby przerzucenia jakiegobądź poważnego dzieła o życiu zwierzęcem (d'Orbigny, Audubon, Le Vaillant), aby zwrócić myśl przyrodnika ku ocenieniu dążności społecznych w życiu zwierzęcem i ujawnić że przyroda jest czemś innem, niż tylko polem walki i mordu; jednocześnie jednak nie może on widzieć w przyrodzie wyłącznie harmonji i pokoju. Rousseau popełnił błąd, wyłączając ze swych myśli walkę na dzioby i pazury; Huxley popełnił błąd wprost przeciwny; atoli ani optymizm Rousseau'a, ani pesymizm Huxley'a nie może być uważany za bezstronne wyjaśnienie tego, co dzieje się w przyrodzie.

Gdy badamy zwierzęta — nietylko w pracowni naukowej lub w muzeum, lecz w lasach, na stepach i w górach — odrazu spostrzegamy, że jakkolwiek istnieje olbrzymia walka pomiędzy różnymi gatunkami, a szczególnie pomiędzy różnymi rodzajami zwierząt, spotykamy również i to bodaj w rozmiarach jeszcze większych — pomoc wzajemną i wzajemną obronę. Dzieje się to pomiędzy zwierzętami, należącymi do tego samego gatunku. Uspołecznienie jest takiem samem prawem przyrody, jak walka. Byłoby zresztą nadzwyczaj trudno ocenić, choćby tylko w przybliżeniu, jakie znaczenie posiada każdy z obu tych czynników. Jeśli jednak zwrócimy się do dowodu pośredniego i zapytamy przyrodę: „którzy są najzdatniejsi — czy ci, którzy walczą nieustannie pomiędzy sobą, czy też ci, którzy podtrzymują się nawzajem?" — zobaczymy odrazu, że zwierzęta, przyzwyczajone do pomagania sobie nawzajem, są niewątpliwie najzdatniejsze. Posiadają one więcej da-

nych do przeżycia i wewnątrz swoich rodzajów osiągają najwyższy rozwój inteligencji i organizacji cielesnej. Gdyby wziąć pod uwagę fakty niezliczone, które możnaby przytoczyć na poparcie tego twierdzenia, niechybnie doszlibyśmy do wniosku, że pomoc wzajemna jest tak samo prawem przyrody, jak walka wzajemna, lecz że jako czynnik rozwoju ma ona znaczenie dużo większe, ponieważ sprzyja rozwojowi takich nawyknień i takich cech charakteru, które zapewniają utrzymanie się i rozkwit gatunku, łącznie z najwyższym poziomem dobrobytu i radości życia dla jednostki przy możliwie najmniejszej stracie energji.

Ile mi wiadomo, z następców Darwina pierwszym, który zrozumiał treść pomocy wzajemnej jako prawa przyrody i głównego czynnika rozwoju, był znany zoolog rosyjski, zmarły dziekan uniwersytetu w Petersburgu, prof. Kessler. Poglądy swoje wyłożył on w odczycie, wypowiedzianym w styczniu r. 1880, na parę miesięcy przed śmiercią, na zjeździe przyrodników rosyjskich. Niestety jednak, jak wiele innych rzeczy, ogłoszonych tylko w języku rosyjskim, odczyt ten pozostał zupełnie nieznanym.

„Jako stary zoolog", czuł się on obowiązany do protestowania przeciwko nadużyciu terminu — walka o byt, zapożyczonemu z zoologji, lub co najmniej przeciwko przecenianiu jego znaczenia. Zoologja, mówił on, i nauki, zajmujące się człowiekiem, nieustannie kładą nacisk na to, co nazywają bezlitosnym prawem walki o byt. Zapominają jednak o istnieniu innego prawa, które może być nazwane prawem pomocy wzajemnej; a prawo to, przynajmniej dla zwierząt, posiada znaczenie dużo większe, niż tamto pierwsze. Wskazał on na to, że chęć pozostawienia potomstwa gromadzi zwierzęta i „im więcej jednostek zbierze się razem, tem bardziej pomogają sobie nawzajem, tem większe dane posiada gatunek dla utrzymania się przy życiu i tem korzystniejsze są jego widoki postępu umysłowego". „Wszystkie rodzaje zwierząt, — mówi dalej, — a szczególnie wyższe, uprawiają pomoc wzajemną".

Myśl swoją ilustrował Kessler przykładami, zaczerpniętymi z życia żuków grabarzy, ze spółczesnego życia ptaków i niektórych ssących. Przykłady były nieliczne, jak tego można było się spodziewać w krótkiem przemówieniu, lecz punkty główne postawione były wyraźnie; i po zaznaczeniu, że w rozwoju ludzkości pomoc

wzajemna była czynnikiem jeszcze bardziej wybitnym, prof. Kessler doszedł do wniosku następującego:

„Oczywiście, bynajmniej nie zaprzeczam walki o byt; twierdzę tylko, że rozwój świata zwierzęcego, a szczególnie ludzkości, „więcej ma do zawdzięczenia spółdziałaniu, niż walce... Wszystkie „istoty organiczne posiadają dwie potrzeby zasadnicze: odżywiania się i rozmnażania. Pierwsza z nich zmusza je do walki i do „wzajemnego wyniszczania się, gdy jednocześnie dążenie do utrzymania gatunku zbliża jednostki nawzajem i doprowadza je do „spółdziałania. Skłonny jednak jestem do mniemania, że rozwój „świata organicznego — zmiany postępowe istot organicznych — „więcej mają do zawdzięczenia pomocy wzajemnej pomiędzy jednostkami niż walce“.

Słuszność tego poglądu uderzyła większość rosyjskich zoologów spółczesnych, a Siewiercow, którego dzieło dobrze jest znane ornitologom i geografom, podtrzymał go i oświetlił jeszcze kilkoma przykładami. Opowiedział on o kilku gatunkach sokołów, które, jakkolwiek doskonale przystosowane są do grabieży, chylą się do upadku, gdy jednocześnie inne gatunki sokołów, uprawiające pomoc wzajemną mnożą się. „Albo weźcie — mówi on — tak spo„łecznego ptaka, jak np. kaczka; z natury jest ona obdarzona bar„dzo ubogo, dzięki jednak pomocy wzajemnej ptaki te zalewają „niemal całą ziemię i posiadają niezliczone mnóstwo odmian i ga„tunków“.

Skłonność zoologów rosyjskich do przyjmowania poglądów Kesslera jest naturalna, ponieważ niemal wszyscy oni mają możność studjowania świata zwierzęcego na olbrzymich niezamieszkanych przestworzach Azji północnej i Rosji wschodniej; studja zaś te muszą doprowadzić do wyłożonych właśnie poglądów. Przypominam sobie wrażenia, które odniosłem z zetknięcia z syberyjskim światem zwierzęcym, kiedy poznałem pogórze Witimskie w towarzystwie takiego głębokiego zoologa, jak mój przyjaciel Polakow. Obadwaj byliśmy właśnie pod świeżym wpływem „Pochodzenia gatunków“; napróżno jednak oglądaliśmy się za zapowiadanem przez Darwina spółzawodnictwem pomiędzy zwierzętami tego samego gatunku. Widzieliśmy niezmiernie dużo przystosowań się do walki, często do walki spólnej, lecz była to walka z klimatem lub

z różnymi nieprzyjaciółmi; i Polakow napisał niejedną piękną stronicę o zależności wzajemnej mięsożernych, przeżuwających i gryzoniów na jednem i tem samem terytorjum. Stwierdziliśmy liczne fakty pomocy wzajemnej — szczególnie podczas wędrówek ptaków lub przeżuwających. Nawet w okolicach Amuru i Ussuri, gdzie spotyka się olbrzymie bogactwo życia zwierzęcego, rzeczywiste spółzawodnictwo i walka pomiędzy zwierzętami wyższymi tego samego gatunku zdarzały się bardzo rzadko, jakkolwiek starannie poszukiwałem ich.

Gdy tylko przystąpiliśmy do badania walki o byt — zarówno w jej znaczeniu bezpośredniem, jak przenośnem, byliśmy przedewszystkiem zdumieni mnóstwem faktów pomocy wzajemnej; i to organizowanej nietylko w celu wychowania potomstwa, co stwierdza większość ewolucjonistów, lecz również w celu zapewnienia bezpieczeństwa jednostce lub w celu zaopatrzenia jej w żywność. Śmiało powiedzieć możemy, że w świecie zwierzęcym pomoc wzajemna jest regułą powszechną. Spotykamy ją nawet pomiędzy zwierzętami najniższemi i należy spodziewać się, że badacze życia mikroskopijnego naszych stawów odsłonią nam kiedyś fakty nieświadomego spółdziałania nawet pomiędzy mikroorganizmami. Prawdę mówiąc, nasza znajomość życia bezkręgowych — z wyjątkiem termitów, pszczół i mrówek — jest bardzo ograniczona; a przecie nawet odnośnie zwierząt niższych zebrać możemy sporo faktów spółdziałania zupełnie niewątpliwego. Olbrzymie zrzeszenia szarańczy, różnych motylów, żuczków, koników i t. d. są zupełnie niezbadane; sam jednak fakt ich istnienia wskazuje, że muszą być założone na zasadach podobnych, jak czasowe organizacje pszczół i mrówek, tworzone podczas wędrówek. Co się tyczy żuków, posiadamy należycie zaobserwowane fakty pomocy wzajemnej pomiędzy grabarzami (Necrophorus). Żuki te muszą posiadać jakieś rozkładające się szczątki organiczne, aby złożyć w nich swoje jajka i w ten sposób zapewnić pożywienie gąsienicom; szczątki te jednak nie mogą rozkładać się zbyt szybko. To też żuki mają zwyczaj zagrzebywać w ziemię ciała najrozmaitszych drobnych zwierzątek, które w wędrówkach swych napotkają przypadkowo. Grabarze żyją zwykle pojedyńczo, skoro jednak któryś z nich znajdzie ciało myszy lub ptaka, którego sam nie zdołałby pocho-

wać, zwołuje 4, 6 lub 10 innych grabarzy w celu dokonania pogrzebu spólnemi siłami; w razie potrzeby przenoszą ciało na grunt miękki i chowają je w pewien szczególny sposób, nie walcząc przytem bynajmniej o to, któremu z nich należy się przywilej złożenia jajek w tej zdobyczy. Kiedy Gleditsch przywiązywał ptaszka do krzyżyka zrobionego z dwóch patyków, lub zawieszał martwą żabę na patyku, wbitym w ziemię, żuki spólnymi wysiłkami zdołały pokonać wybieg człowieka. Takie same łączenie wysiłków stwierdzono pomiędzy żukami gnojowymi.

Nawet pomiędzy zwierzętami, stojącymi na nieco niższym poziomie rozwoju organicznego, spotkać możemy przykłady podobne. Niektóre kraby w Indjach Zachodnich i Ameryce Północnej łączą się w wielkie gromady w celu dojścia do morza i złożenia tam ikry; a każda taka wędrówka wymaga zgody, spółdziałania i pomocy wzajemnej.— W r. 1881 w akwarjum w Brighton miałem możność obserwowania wielkiego kraba (limulus). Zdumiewające jest, do jak daleko posuniętej pomocy wzajemnej zdolne są te zwierzęta niezgrabne. Jeden z nich upadł na wznak w kącie akwarjum, a jego ciężka, podobna do miski, skorupa nie pozwalała mu powrócić do pozycji naturalnej; trudność powiększała jeszcze sztaba żelazna, przecinająca w tem miejscu akwarjum, a pod którą właśnie znalazł się krab. Towarzysze przyszli mu z pomocą i w ciągu godziny przyglądałem się, jak usiłowali oswobodzić go. Przychodzili po dwóch, podpierali go od dołu i po szeregu wielkich wysiłków zdołali postawić go na boku; wówczas jednak oparł się on o sztabę żelazną i znowu upadł na wznak. Po szeregu prób jeden z ratujących udał się w głąb akwarjum i sprowadził jeszcze dwa kraby, które ze świeżymi siłami natychmiast zabrały się do ratowania towarzysza. Przyglądaliśmy się temu w ciągu dwóch godzin, i kiedy wreszcie znużeni odchodziliśmy, sprawa ratowania wciąż jeszcze trwała. — To przekonało mnie, że nie mogę odmawiać wiary spostrzeżeniom d-ra Erazma Darwina, który powiada, że „zwykły „krab podczas lenienia rozstawia dookoła warty z krabów nieleniejących, lub posiadających już skorupę dość twardą, a to w celu „uchronienia przed wrogami morskimi tych jednostek, które właśnie linieją i dzięki temu są szczególnie bezbronne".

Przykłady, ilustrujące pomoc wzajemną pomiędzy termitami, mrówkami i pszczołami są tak znane, szczególnie dzięki dziełom

Romanesa, L. Büchnera i Johna Lubbocka, że mogę ograniczyć się tu do przypomnienia tylko paru spostrzeżeń. Jeśli przyjrzymy się gniazdu mrówek, widzimy, że nietylko każdy rodzaj pracy — wychowywanie potomstwa, budownictwo, hodowla mszyc — jest wykonywany podług zasad dobrowolnej pomocy wzajemnej, lecz musimy również przyznać, wraz z Forelem, że podstawowem znamieniem życia wielu gatunków mrówek jest ciążący nad każdą mrówką obowiązek dzielenia się z innemi pokarmem zebranym, a nawet częściowo strawionym; do udziału dopuszczony jest każdy członek wielkiej spólnoty mrówczej. Gdy spotkają się dwie mrówki, należące do dwóch gatunków odrębnych, lub dwóch gniazd wrogich, unikają siebie nawzajem. Natomiast dwie mrówki, należące do tego samego gniazda, lub do tej samej kolonji gniazd, zbliżają się jedna do drugiej, porozumiewają się nawzajem dotknięciami różków i jeśli jedna z nich jest głodna lub spragniona, szczególnie zaś, gdy jednocześnie druga ma wole pełne, głodna natychmiast domaga się jadła. Jednostka nagabnięta nigdy nie odmawia; natychmiast rozstawia szczęki, przyjmuje pozycję właściwą i oddaje z siebie kroplę płynu przejrzystego, chwytaną przez mrówkę zgłodniałą. Oddawanie jadła na rzecz innych mrówek jest tak wyraźnem znamieniem życia tych owadów (na wolności) i znajduje tak częste zastosowanie zarówno gdy trzeba nakarmić głodnych towarzyszy jak przy odżywianiu gąsienic, że Forel twierdzi, iż narząd trawienia mrówek składa się z dwóch części różnych: z części tylnej, przeznaczonej do użytku jednostki, i z części przedniej, służącej głównie na rzecz spólnoty. Gdyby mrówka, posiadająca pełne wole, była dość samolubna, aby odmówić pożywienia towarzyszce, zostałaby natychmiast potraktowana jako wróg, lub jeszcze gorzej. Jeśli taka odmowa zdarzy się podczas walki całego plemienia z inną grupą, wszystkie spółtowarzyszki rzucają się na buntowniczą jednostkę z namiętnością jeszcze większą, niż na nieprzyjaciół. Jeśli zaś mrówka nie odmawia pokarmu czonkowi gatunku wrogiego, przez gatunek ten natychmiast uważana jest za swojaka i przyjaciela. — Są to fakty potwierdzone przez badania najbardziej ścisłe i doświadczenia zupełnie decydujące.

W tej olbrzymiej grupie, która nazywa się mrówkami, a która obejmuje więcej, niż tysiąc gatunków, i tak jest liczna, że Brazyljanie twierdzą, jakoby Brazylja należała nie do ludzi lecz do

mrówek, spółzawodnictwo pomiędzy członkami tego samego mrowiska, lub tej samej kolonji mrówek jest rzeczą nieznaną. Wojna pomiędzy dwoma odzielnymi gatunkami mrówek jest wprawdzie bardzo zawzięta i okrutna, jednocześnie jednak pomoc wzajemna i oddanie się jednostki na rzecz spólnoty, jest prawidłem powszechnie obowiązującem. Mrówki i termity wyrzekły się walki wzajemnej, o której mówi Hobbes, i dobrze im jest z tem. Ich budowle zadziwiające są stosunkowo znacznie większe, niż budowle ludzkie; znane są ich wspaniałe brukowane drogi i galerje sklepione; ich hale obszerne i śpichlerze; ich pola uprawne, na których zbierają i młócą zboże; ich racjonalne metody hodowania jajak i gąsienic, budowania specjalnych zakładów do hodowli mszyc— obrazowo zwanych przez Lineusza — krowami mrówek; i wreszcie ich odwaga, przedsiębiorczość i niewątpliwie wyższa inteligencja. Wszystko to są rezultaty, osiągnięte dzięki pomocy wzajemnej.

Gdybyśmy nawet ze świata zwierzęcego znali tylko mrówki i termity, mielibyśmy prawo twierdzić, że pomoc wzajemna (prowadząca do zaufania wzajemnego — tej podstawy odwagi) i inicjatywa jednostkowa (zasadniczy warunek rozwoju intelektualnego) są dużo poważniejszymi czynnikami rozwoju, niż walka wzajemna. Rzeczywiście — mrówka rozmnaża się obficie pomimo tego, że nie posiada żadnej z tych właściwości ochronnych, bez których nie mogą się obejść zwierzęta, żyjące w pojedynkę. Jej barwa zdradza ją wobec nieprzyjaciół, a wyniosłe mrowiska, widoczne są zdaleka po łąkach i lasach. Nie posiada ona twardego pancerza, a jej narządy jadowite są wprawdzie niebezpieczne, gdy tysiące mrówek obsiądą zwierzę, nie posiadają jednak wielkiego znaczenia, gdy działa tylko jednostka. Jednocześnie zaś jajka i gąsienice mrówek są smakołykiem dla bardzo wielu mieszkańców lasu. A jednak mrówki więcej wzbudzają strachu w swoich nieprzyjaciołach, często znacznie silniejszych od nich, niż same muszą się obawiać. Gdy Forel wysypał worek mrówek na łąkę, zobaczył, że świerszcze uciekają pośpiesznie, porzucając swe nory na pastwę rabujących mrówek; podobnie koniki polne uciekały we wszystkich kierunkach; pająki i żuki natychmiast opuszczały swą zdobycz, bojąc się, że same staną się zdobyczą. Nawet osy porzucają gniazda wobec napaści mrówek, które giną licznie w tych walkach na rzecz dobra całego mrowiska. Przed pościgiem mrówek nie mogą uciec nawet

najzwinniejsze owady i Forel widział komary, muchy i t. p. chwytane i zabijane przez mrówki. Siła ich tkwi w pomocy wzajemnej i we wzajemnej ufności. Jeśli mrówka, — pomijając szczególnie wysoko rozwinięte termity — stoi na szczycie zdolności intelektualnych wszystkich owadów, jeśli jej odwaga równać się może tylko z odwagą najdzielniejszych kręgowców, jeśli jej mózg — jak mówi Darwin — „jest jednym z najcudniejszych atomów świata, być może cudowniejszym, niż mózg ludzki" — dzieje się to dzięki temu, że pomoc wzajemna pomiędzy mrówkami wyparła całkowicie walkę wzajemną.

To samo powiedzieć można o pszczołach. Ich miód wzbudza pożądliwość wszystkich rodzajów zwierząt — od żuków do niedźwiedzia — przytem pozbawione są one takich środków obrony jak np. mimikri i im podobne, bez których owady żyjące w pojedynkę nie uniknęłyby zupełnego wytępienia; same ptaki łatwo wytępićby mogły pszczoły. A jednak pszczoły, dzięki pomocy wzajemnej, osiągnęły znaną nam liczebność olbrzymią i zdumiewającą inteligencję. Pracując spólnie, pomnażają siły jednostkowe; uciekając się do chwilowego podziału pracy, połączonego ze zdolnością każdej pszczoły do wykonywania w razie potrzeby wszystkich robót, osiągają taki stopień dobrobytu i bezpieczeństwa, jaki niedostępny jest żadnemu najlepiej uzbrojonemu i najwyżej rozwiniętemu zwierzęciu. W pracy swojej osiągają nieraz wyniki większe, niż osiąga je człowiek, skoro zaniedba pomocy wzajemnej. Tak np. gdy nowy rój ma zamiar odlecieć z ula w poszukiwaniu miejsca na osiedle, kilka pszczół udaje się na wywiady w okolicę i skoro znajdą miejsce zdatne do zamieszkania — przypuśćmy stary kosz lub coś w tym rodzaju — zajmują go, czyszczą, pilnują, niekiedy w ciągu całego tygodnia, póki rój nie przyleci i nie osiedli się. — Jak wiele ginie ludzkich osadników w nowych krajach jedynie z tego powodu, że nie umieli spółdziałać solidarnie! — Łącząc swe inteligencje jednostkowe, pszczoły walczą pomyślnie z przeciwieństwami nawet wówczas, gdy te przeciwieństwa są niezwykłe i nieznane; jak to np. zaszło z temi pszczołami na wystawie paryskiej, które przytwierdziły swoim klejem okiennicę zakrywającą szkło wprawione w ścianę ula. Przy tem wszystkiem nie ujawniają one bynajmniej skłonności krwiożerczych i zgoła nie uprawiają walki dla samej walki, jak to o zwierzętach pisze wielu autorów.

Placówki, broniące wejścia do ula, zabijają bezlitośnie rabusiów; jednocześnie nie robią nic złego tym pszczołom obcym, które zalecą tam przez pomyłkę, szczególnie zaś jeśli przylatują obładowane pyłkiem, lub gdy są to osobniki młode, łatwo mogące się zabłąkać. Wojny znajdujemy tam tylko tyle, ile koniecznie potrzeba.

Społeczne skłonności pszczół są tembardziej godne uwagi, że instynkty grabieżcze i lenistwo również istnieją pomiędzy pszczołami i natychmiast ujawniają się, gdy tylko okoliczności temu sprzyjają. Wiadomą jest rzeczą, że pewna liczba pszczół przekłada zawsze grabież nad życie pracowite; wiadomo także, że rozwojowi skłonności grabieżczych sprzyjają jednako okresy głodu, jak okresy obfitości nadmiernej. Gdy żniwa są już ukończone i łąki skoszone, słowem gdy nic już dla pszczół nie pozostaje, rabusie pomiędzy pszczołami trafiają się znacznie częściej, niż w lecie; i z drugiej strony — na plantacjach trzciny cukrowej w Indjach Zachodnich i w sąsiedztwie europejskich rafinerji cukru zauważyć można rozwijającą się pomiędzy pszczołami grabieżczość, lenistwo, a często i pijaństwo. Widzimy z tego, że antyspołeczne skłonności istnieją również i między pszczołami; lecz dobór naturalny nieustannie usuwa je, ponieważ panowanie solidarności zapewnia gatunkowi dużo więcej korzyści, niż rozwój jednostek o skłonnościach rabusiów. Najprzebieglejsi i najsprytniejsi są tu usuwani na rzecz najbardziej uspołecznionych.

Oczywiście, ani mrówki, ani pszczoły, ani nawet termity nie podniosły się do pojęcia solidarności wyższej, obejmującej całość gatunku. Pod tym względem nie osiągnęły one jeszcze tego stopnia rozwoju, którego nie znajdujemy nawet pomiędzy naszemi kierownikami życia politycznego, naukowego lub religijnego. Ich instynkty społeczne ograniczają się do ula, lub mrowiska. Jakkolwiek zaznaczyć należy, że obserwowano kolonje, składające się z nie mniej, niż dwunastu mrowisk, należących do różnych gatunków (Formica exsecta i F. pressilabris). — Forel twierdzi, że każdy członek takiej kolonji rozpoznaje każdego członka swojej kolonji i, w razie potrzeby, walczy przy jego boku. W Pelsynwanji Mac Cook widział cały naród mrówczy, złożony z 1600 do 1700 mrowisk; a Bates opisuje wzgórki termitów, pokrywające ogromne przestrzenie na „kampach" — przyczem niektóre z tych mrowisk służą za schronienie dwóm lub trzem gatunkom i wiele z nich po-

łączone jest nawzajem galerjami sklepionemi lub arkadami. Wi- dzimy więc, że nawet pomiędzy bezkręgowymi działają związki całych gatunków w celu ochrony wzajemnej.

Jeśli przejdziemy do zwierząt wyższych, niewątpliwie znaj- dziemy liczne przykłady pomocy wzajemnej, organizowanej w ce- lach najrozmaitszych — jakkolwiek przyznać musimy, że nasza znajomość życia zwierząt wyższych wciąż jest jeszcze bardzo nie- doskonała. Badacze pierwszorzędni zgromadzili fakty bardzo liczne, wciąż jednak stoimy wobec całych dziedzin świata zwie- rzęcego, o których nie wiemy niemal nic. Tak np. nadzwyczajnie skąpe są nasze wiadomości odnośnie ryb; a wynika to z jednej strony z trudności czynienia spostrzeżeń, a z drugiej strony z po- wodu zbyt małego zainteresowania tym przedmiotem. Co się ty- czy ssących, to już Kessler zwrócił uwagę, że dziwnie mało wiemy o ich zwyczajach. Część z nich żyje tylko w nocy, inne kryją się pod ziemią, przeżuwające zaś, których zwyczaje i wędrówki bu- dzą największe zainteresowanie, nie pozwalają zbliżyć się do swo- ich stad. Najwięcej wiadomości posiadamy o ptakach; i tutaj je- dnak wiele bardzo gatunków jest zupełnie nieznanych. Na brak wszakże faktów zupełnie niewątpliwych uskarżać się nie mo- żemy — jak to w dalszym ciągu się ujawni.

Nie będę kładł nacisku na zrzeszenia samca z samicą, mające na celu wychowanie potomstwa, zapewnienie mu żywności w pierwszych chwilach życia, lub spólne polowanie; jakkolwiek za- znaczyć trzeba, że tego rodzaju zrzeszenia spotkać możemy po- między najmniej uspołecznionymi drapieżnikami i pomiędzy pta- kami mięsożernymi; zrzeszenia te zasługują na uwagę szczególną, jako podłoże, na którem rozwijają się uczucia tkliwe nawet po- między najokrutniejszymi zwykle zwierzętami. Dodać tu musimy, że względna rzadkość zrzeszeń szerszych niż rodzina, pomiędzy ssakami i ptakami drapieżnymi, jakkolwiek w pierwszej linji wy- nika z ich sposobu odżywiania się, może być również wytłuma- czona — przynajmniej w pewnej mierze — jako rezultat zmian, wywołanych w świecie zwierzęcym przez szybki rozwój ludzkości. Tak, czy inaczej, warto pamiętać, że zwierzęta żyją niemal w po- jedynkę w miejscowościach zaludnionych gęsto, gdy jednocześnie gatunki te same — lub ich najbliższe krewniaki — występują sta-

dnie w krajach niezaludnionych. Jako przykład mogą tu służyć wilki, lisy i niektóre ptaki drapieżne.

Zrzeszenia, nie przekraczające granic rodziny, posiadają znaczenie względnie mniejsze, tembardziej, że znamy dużo zrzeszeń, mających na celu polowanie, obronę wzajemną lub nawet prostą zabawę. Audubon powiada, że orły przygodnie zrzeszają się w celach myśliwskich, a jego opis dwóch orłów łysych, samca i samicy, polujących na Missisipi, znany jest dzięki swej sile artystycznej. Atoli najbardziej przekonywające spostrzeżenia pochodzą od Siewiercowa. Badając faunę stepów rosyjskich, zobaczył on pewnego razu orła, należącego do gatunku, żyjącego zwykle w stadzie, jak unosił się wysoko w powietrzu; w ciągu pół godziny orzeł opisywał w górze wielkie koła, gdy nagle wydał ostry krzyk. Krzyk ten powtórzył natychmiast inny orzeł, który przybliżył się; za tym ukazał się trzeci, potem czwarty i t. d. — aż zebrało się dziesięciu orłów, które zniknęły spólnie. Po południu Siewiercow udał się w tę stronę, dokąd poleciały orły; ukryty poza wzgórzem, zbliżył się do nich i zobaczył, że zgromadziły się wokół ciała konia. Stare, zwykle rozpoczynające ucztę — takie panują u nich prawa własności — siedziały już na okolicznych stogach siana i wartowały, młode zaś pożywiały się, otoczone stadem wron. Z takich i tym podobnych spostrzeżeń Siewiercow wywnioskował, że orły białogony (Haliaetos albicilla) łączą się w celu polowania. Gdy wzniosą się na tak znaczną wysokość, że mogą objąć okiem przestrzeń jakichś 25 kilometrów kwadratowych i gdy dostrzegą zdobycz, natychmiast zawiadamiają swych towarzyszy. Możnaby tu wprawdzie powiedzieć, że pierwszy instynktowy okrzyk orła, który zobaczył zdobycz, lub nawet może jego ruchy, mają ten skutek, że sprowadzają inne orły do zdobyczy. Atoli w przytoczonym przez nas przypadku na rzecz pomocy wzajemnej przemawia to, że owe 10 orłów najpierw zgromadziły się, a dopiero potem poleciały ku zdobyczy. Siewiercow później miał niejednokrotnie sposobność stwierdzenia, że orzeł białogon zawsze łącznie obsiada zdobycz i że zawsze, gdy jedne jedzą, drugie (najpierw młodsze) trzymają straż. W rzeczywistości orzeł ten jest jednym z najdzielniejszych i najlepszych myśliwych, a jednocześnie jest to ptak stadny i Brehm powiada, że gdy trzymać go w niewoli, rychło przywiązuje się do swego opiekuna.

Towarzyskość jest zwykłem znamieniem wielu innych ptaków drapieżnych. Kania brazylijska, jeden z najbezczelniejszych rabusiów, jest jednak ptakiem najbardziej towarzyskim. Jej zrzeszenia myśliwskie opisywane były przez Darwina i przez innych przyrodników; i wiadomo jest, że gdy chwyci zdobycz zbyt wielką, przywołuje pięciu lub sześciu towarzyszy, aby unieść ją spólnie. Gdy te kanie po dniu pracowitym udają się na spoczynek nocny pomiędzy gałęzie jakiegoś drzewa lub w krzaki, zawsze gromadzą się w stada, których członkowie przylatują nieraz z odległości kilkunastu kilometrów. Często przyłączają się do nich inne gatunki sępów, a szczególnie ich wierny przyjaciel, jak powiada d'Orbigny, perknopterus. W innej części świata, w stepach Zakaspijskich, jak powiada Zarudnyj, kanie mają ten sam zwyczaj gnieżdżenia się towarzysko. Sęp towarzyski , jeden z najsilniejszych sępów, otrzymał nazwę od swych zwyczajów. Sępy te żyją w stadach bardzo licznych i niewątpliwe lubują się w towarzystwie. Liczne z nich przedsiębiorą wycieczki napowietrzne jedynie w celu spaceru. „Żyją one w wielkiej przyjaźni, — powiada Le Vaillant, — „i w jednej i tej samej pieczarze znajdowałem nieraz po trzy „gniazda, położone blisko jedno drugiego". Sęp, urubu, mieszkający w Brazylji, jest zapewne jednym z najbardziej towarzyskich ptaków zdaje się nawet bardziej towarzyskim, niż gawron. Podobnie — małe sępy egipskie żyją po przyjacielsku. Stadami całemi igrają w powietrzu, spólnie spędzają noc i rankiem spólnie udają się na poszukiwanie pożywienia; nigdy nie zauważono pomiędzy nimi najlżejszej kłótni; tak przynajmniej twierdzi Brehm, który miał niemało okazji do obserwowania ich życia. Sokół o szyi czerwonej (red — troated falcon) również spotyka się w stadach bardzo licznych, a pustułka (Tinnunculus cenchris), gdy opuści Europę i dosięgnie w zimie stepów i lasów azjatyckich, zbiera się w liczne gromady. W stepach Rosji południowej żyje (lub raczej żyła) pustułka tak towarzysko, że Nordman spotykał ten gatunek w stadach bardzo licznych; pomieszane razem z innymi sokołami (Falco tinunculus, F. subuteo, F. oesulon), codziennie po południu około godziny 4-ej latały razem i igrały aż do późna w nocy. Rzucają się one do lotu wszystkie odrazu, lecą prawie po linji prostej, ku jakiemuś z góry określonemu punktowi i, dosięgnąwszy go, natychmiast tą samą drogą wracają; powtarza się to raz po raz.

Latanie stadem dla samej przyjemności latania należy do zwyczaju bardzo wielu ptaków.

Nie byłbym w stanie wyliczyć tu najrozmaitszych ptasich zrzeszeń myśliwskich; powiem tylko parę słów o rybackich stowarzyszeniach pelikanów, niewątpliwie zasługujących na wyróżnienie dla wielkiego porządku i inteligencji, rozwijanej przez te ptaki niezgrabne. Udają się one na połów zawsze liczną gromadą: wybrawszy stosowną zatokę, tworzą półkole otwarte ku brzegowi i, płynąc w stronę ziemi, zacieśniają koło coraz bardziej, aby zamknąć w ten sposób, jakgdyby siecią, wszystkie ryby i przypędzić je do brzegu. Na rzekach wązkich lub kanałach ptaki te rozdzielają się na dwie grupy; każda z nich szykuje się w półkole i obie płyną ku sobie, zupełnie tak samo, jak gdyby dwie grupy ludzi ciągnęły ku sobie dwie sieci w celu zgarnięcia wszystkich ryb. Za zbliżeniem się nocy ptaki odlatują do swoich miejsc spoczynku — a miejsca te są zawsze te same dla całego stada — i nigdy nie widziano, aby walczyły o zatokę lub o nocleg. W Ameryce południowej zbierają się one w stada, liczące po 40 i 50 tysięcy sztuk. Gdy jedna część takiej gromady śpi, inna czuwa, a jeszcze inna udaje się na połów ryb. Byłbym wreszcie niesprawiedliwy względem tak obmawianego zwykle wróbla domowego, gdybym nie wspomniał, jak uczciwie każdy z nich dzieli się znalezionem jadłem ze wszystkimi członkami stowarzyszenia, do którego należy. Fakt ten znany był już Grekom i przeszedł do potomności jako wykrzyknik mówcy (przytaczam z pamięci): „gdy mówię do was, jeden z wróbli opowiedział swym towarzyszom, że niewolnik rozsypał na ziemię worek zboża i natychmiast wszystkie przyleciały do ziarna". To stare spostrzeżenie znajdujemy potwierdzone w małej książeczce spółczesnej, napisanej przez Gurney'a, który bynajmniej nie wątpi, że wróble domowe zawsze powiadamiają się nawzajem o tem, co jest gdzie do ściągnięcia. Mówi on: „ gdy „wymłócono stertę, położoną dość daleko od podwórza, zawsze „przekonywałem się, że wróble na podwórzu miały wola pełne ziar„na". Z drugiej jednak strony wróble nadzwyczajnie dbają o to, aby terytorjum, należące do jakiejś grupy, nie było zajmowane przez obcych; tak np. wróble ogrodu Luksemburskiego w Paryżu zawzięcie zwalczają wszystkie inne wróble, które chciałyby korzystać z tego ogrodu. Atoli wewnątrz własnej gminy uprawiają

pomoc wzajemną, przerywaną tylko od czasu do czasu drobnemi sprzeczkami, jakie zdarzyć się mogą nawet najlepszym przyjaciołom.

Spólne polowanie i żywienie się jest rzeczą tak powszechną w świecie ptasim, że liczniejsze przykłady są bodaj niepotrzebne: musimy to uznać za fakt ustalony. Rozumie się samo przez się, że tego rodzaju zrzeszenia wyzwalają dużą ilość sił: najsilniejsze ptaki drapieżne zmuszone są nieraz ustępować wobec zrzeszeń ptasiego drobiazgu. Nawet orły — potężny i straszny orzeł mogilnik lub orzeł cesarski, dość mocny na to, aby unieść w pazurach zająca lub młodą antylopę, zmuszony bywa do porzucenia zdobyczy, jeśli napadną na niego kanie, walczące z orłami zawzięcie i rzucające się na nie, gdy tylko zauważą zdobycz w ich pazurach. Kanie zwalczają również orła rybołowa i odbierają mu ryby złowione: nikt jednak nie widział, aby walczyły one pomiędzy sobą o zdobycz tak porwaną. Na wyspach Kerguelen Dr. Coues widział Buphagus — t. zw. przez marynarzy kurę morską, jak goniła mewę i zmusiła do oddania zdobyczy, posiadanej w gardle; z drugiej strony mewy łączą się w celu odpędzenia kury morskiej, gdy tylko zbliży się do miejsc, przez nie zajmowanych, szczególniej w czasie wysiadywania jaj. Maleńka, lecz nadzwyczajnie zwinna czajka (Vanellus cristatus) śmiało napada na ptaki drapieżne. Do najbardziej zajmujących widowisk należy przyglądanie się atakowi czajek na myszołowa, kanię, wronę lub orła. Czuje się, że czajki są pewne zwycięstwa i widoczne jest przerażenie ptaka drapieżnego. W takich okolicznościach małe ptaki pomagają sobie nawzajem, i odwaga ich wzrasta wraz z liczbą. Czajka zasłużyła na dane jej przez Greków przezwisko „dobrej matki", ponieważ nigdy nie pominie sposobności obronienia innych ptaków wodnych od napadu nieprzyjaciół. Lecz nawet maleńka biaława pliszka (Motacilla alba), tak dobrze nam znana z ogrodów i nie przerastająca kilku centymetrów, umie zmusić krogulca do wycofania się. „Nieraz podziwiałem ich odwagę i zręczność, — pisał „stary Brehm, — i jestem przekonany, że tylko sokół zdolny jest „uchwycić pliszkę... Gdy gromada pliszek przepędzi drapieżnika, „podnoszą wielki krzyk tryumfu, poczem rozlatują się każda w „swoją stronę". Widzimy więc, że schodzą się one umyślnie w celu obrony przed nieprzyjacielem. Zupełnie w ten sam sposób zacho-

wuje się cała ptasia ludność lasu, gdy poruszy ją wieść, że ptak nocny pojawił się w ciągu dnia; wówczas wszystkie razem, — zarówno drapieżniki, jak drobne śpiewaki niewinne, łączą się w celu wygnania intruza i zmuszenia go do powrotu do kryjówki.

Co za olbrzymia różnica sił pomiędzy kanią, myszołowem i jastrzębiem z jednej strony i tak drobnymi ptaszkami jak pliszka— z drugiej; a przecie te małe ptaszyny, dzięki działaniu łącznemu i odwadze, odnoszą zwycięstwo nad potężnymi rabusiami o skrzydłach olbrzymich, o mocnych dziobach i pazurach. W Europie pliszka nietylko przepędza niebezpieczne dla siebie ptaki drapieżne, lecz umie także zabawiać się napaściami na orła rybołowa. W Indjach, jak opowiada Dr. Jerdon, kawka jedynie dla zabawy rzuca się gromadnie na kanię gowinda. Książe Wied widział brazylijskiego orła urubitinga, otoczonego przez niezliczone gromady tukanów i kassików (ptak pokrewny z naszym gawronem), które drwiły z niego. „Orzeł—dodaje on,—zwykle znosi te zniewagi bardzo spokojnie, od czasu do czasu jednak usiłuje chwytać jednego z psotników". We wszystkich tych wypadkach ptaki drobne odnoszą zwycięstwo nad drapieżnikiem jedynie dzięki działaniu skoordynowanemu.

Atoli najbardziej zdumiewające przykłady zrzeszania się dla zapewnienia bezpieczeństwa jednostce, dla umożliwienia jej pełni życia i rozwoju zdolności intelektualnych, spotykamy w dwóch wielkich rodzinach ptasich, a mianowicie pomiędzy żórawiami i papugami. Żórawie są nadzwyczaj towarzyskie i żyją w najlepszych stosunkach nietylko ze swymi rodakami, lecz również z większą częścią ptaków wodnych. Ich rozwaga i inteligencja jest wprost zdumiewająca: do nowych warunków przystosowują się natychmiastowo i podejmują czyny właściwe. Warty porozstawiane wokół pasącego się, lub odpoczywającego stada, natychmiast podnoszą alarm i myśliwi dobrze wiedzą, jak trudno jest je podejść. Jeśli człowiekowi uda się omylić ich czujność, nie powrócą już na to samo miejsce, nie wysławszy przedtem wywiadowcy, za którym idzie cała grupa wywiadowców; dopiero gdy wszyscy ci wywiadowcy wrócą z wieścią, że niema niebezpieczeństwa, udaje się tam część stada, a za tymi cała reszta. Z gatunkami pokrewnymi zawierają żórawie prawdziwe związki przyjaźni; w niewoli zaś żóraw jest ptakiem, przywiązującym się bardzo do człowieka i pod

tym względem spółzawodniczyć tylko może z bardzo towarzyską i inteligentną papugą. „W człowieku widzi on nie władcę, lecz przyjaciela i stara się okazać to", — do takiego wniosku dochodzi Brehm po długim szeregu doświadczeń. Żóraw jest nieustannie zajęty od wczesnego ranka do późnej nocy; lecz tylko parę godzin rannych poświęca szukaniu pożywienia, głównie roślinnego, oddając całą resztę dnia życiu towarzyskiemu. „Zbiera on małe kawałki „drzewa lub kamyki, rzuca je w górę i usiłuje złapać; przekrzywia „dziób, rozpościera skrzydła, tańczy, podskakuje, biega dookoła „i najrozmaitszymi sposobami stara się ujawnić swą wesołość, „przyczem zawsze jest piękny i pełen wdzięku". Żyjąc towarzysko, niemal niema on nieprzyjaciół, i Brehm twierdzi, że jedynym jego nieprzyjacielem jest krokodyl, któremu zrzadka udaje się schwytać żórawia. Żórawie, dzięki swej ostrożności przysłowiowej, unikają niebezpieczeństw i dosięgają wieku bardzo podeszłego. To też dla utrzymania gatunku bynajmniej nie potrzebuje on posiadać licznego potomstwa i zwykle znosi tylko dwa jaja. Co się tyczy jego wyższej inteligencji, dość będzie powiedzieć, że prawie wszyscy badacze przypisują mu umysłowość, bardzo przypominającą umysłowość ludzką.

Inny, bardzo towarzyski ptak, papuga, stoi, jak wiadomo, na szczycie rozwoju umysłowego w całem królestwie ptasim. Brehm tak doskonale scharakteryzował obyczaje papugi, że nie pozostaje mi nic innego, jak przetłómaczyć odnośny ustęp:

„Z wyjątkiem okresu rui, żyją one w bardzo licznych towa„rzystwach czy stadach. Na stały pobyt obierają sobie w lesie ja„kieś miejsce i stąd co rano udają się na żer. Członkowie każdego „takiego stada wierni są sobie nawzajem i po bratersku dzielą do„brą i złą dolę. Wszystkie razem udają się z rana na pole uprawne, „do ogrodu lub do obranego drzewa owocowego. Dla zapewnienia „bezpieczeństwa rozstawiają warty i pilnie baczą na ich ostrze„żenia. W razie niebezpieczeństwa uciekają wszystkie razem, po„magając sobie nawzajem; razem również wracają do miejsca sta„łego pobytu. Słowem — żyją zawsze w ścisłem zjednoczeniu".

Umieją one również zawierać stosunki towarzyskie z innymi ptakami. W Indjach sroki i wrony zlatują się z okolicy w promieniu kilku kilometrów, aby łącznie z papugami spędzić noc w gęstwinie bambusowej. Podczas wyprawy na żer rozwijają papugi

pomysłowość wprost zdumiewającą i ujawniają zdolność zmagania się z przeciwieństwami. Oto np. stado białych australijskich kakadu. Zanim udadzą się na rabunek pola uprawnego, wysyłają wywiadowców, siadających na najwyższych drzewach w sąsiedztwie pola; jednocześnie zaś inni wywiadowcy przelatują pomiędzy drzewami i dają sygnały. Jeśli wypadnie, że wszystko jest w porządku, odrywa się kilkanaście sztuk od stada i leci na pole w bliskości już obsadzonych drzew. Te znowu badają wszystko dookoła i dopiero po pewnym czasie dają sygnał; potem całe stado w jednej chwili rzuca się na pole i pustoszy je doszczętnie. Osadnicy australijscy tylko z wielkim trudem umieją podejść ostrożność papug. Gdy jednak człowiekowi przy użyciu całego szeregu podstępów uda się zabić kilka ptaków, papugi stają się tak ostrożne, że odtąd obchodzą wszystkie zasadzki.

Jest rzeczą niewątpliwą, że ten niemal ludzki poziom inteligencji zdobyły papugi dzięki życiu towarzyskiemu. To doprowadziło niektórych przyrodników do nazywania papug, a szczególniej papug zielonych, człekoptakiem. Znane jest także ich nadzwyczajne przywiązanie wzajemne: gdy myśliwy zabije papugę, inne latają dookoła ciała zmarłej towarzyszki, wznosząc krzyki rozpaczy i, jak mówi Audubon, nieraz same stają się ofiarami przyjaźni. Hodowcy papug opowiadają, że gdy zaprzyjaźnią się ze sobą dwie papugi, choćby należące do różnych gatunków, i gdy jedna z nich wypadkowo zdechnie, druga tak to odczuwa, że również zdycha ze zmartwienia. Jest rzeczą niewątpliwą, że w zrzeszeniach swoich znajdują one dużo więcej opieki i bezpieczeństwa, niż mogłyby im zapewnić najlepiej rozwinięte dzioby i pazury. Tylko bardzo nieliczne ptaki drapieżne, lub zwierzęta ssące, ośmielają się napastować choćby najmniejsze papugi, i Brehm ma zupełną słuszność, gdy mówi, że papugi, tak samo jak żórawie i małpy towarzyskie, poza człowiekiem prawie, że nie mają wrogów. I dodaje: „według „wszelkiego prawdopodobieństwa, największe papugi umierają raczej ze starości niż od ciosów, zadanych przez nieprzyjaciół". Pokonać je udaje się tylko człowiekowi, posiadającemu jeszcze wyższą inteligencję i broń, co także zawdzięcza życiu społecznemu. Ich długowieczność byłaby więc wynikiem ich obyczajów społecznych. To samo powiedzieć byśmy mogli o ich pamięci zadziwiającej, której rozwojowi sprzyja towarzyskość i długie życie w pełnem zdrowiu.

ROZDZIAŁ II.

POMOC WZAJEMNA W ŚWIECIE ZWIERZĄT.

(Ciąg dalszy).

Przeloty ptaków. — Zrzeszenia wychowawcze. — Zrzeszenia jesienne. — Ssące: mała liczba gatunków nietowarzyskich. — Zrzeszenia myśliwskie wilków, lwów i t. d. — Zrzeszenia gryzoniów, przeżuwających, małp. — Pomoc wzajemna w walce o byt. — Argumenty Darwina, wykazujące walkę o byt wewnątrz gatunku. — Tamy naturalne przeciw przeludnieniu. — Przypuszczalne zanikanie ogniw pośrednich. — Usunięcie spółzawodnictwa w przyrodzie.

Gdy tylko wiosna nadchodzi w strefie umiarkowanej, miljardy ptaków, zgromadzonych w stronach południowych, powracają stadami nizliczonymi i pełne zapału i radości śpieszą na północ, aby odchować potomstwo. Wówczas każdy żywopłot, każdy gaj, każda skała na morzu, każde jezioro lub staw w Ameryce Północnej, w północnej Europie lub Azji opowiada nam o tem, czem jest pomoc wzajemna dla ptaków. Widzimy tam żywe przykłady, ile siły i energji wyzwala ona, ile opieki zapewnia nawet najsłabszym i najbardziej bezbronnym istotom. Weźmy np. jedno z niezliczonych jezior na stepach rosyjskich lub syberyjskich. Jego wybrzeża zaludnione są nieprzeliczonem mnóstwem ptaków wodnych, należących do kilkunastu różnych gatunków, żyjących jednak w zupełnej zgodzie i pomagających sobie nawzajem.

„Wyjrzały czarne plamy wody z pośród piasków żółtawych „i trzcin ciemno-zielonych... roi się tu od ptactwa... w powietrzu „unoszą się rybitwy, wydające swe krzyki ostre. Tysiące kulików „snują się po brzegu i pogwizdują... a dalej niemal na każdej fali „kołysze się kwacząca kaczka. W górze ciągną stada dzikich gęsi, „gdy niżej dzwonniki (A q u i l a c l a n g a) spadają na jezioro,

„a z nimi kobusy (Falco rusticolus, Falco buteo), na „które natychmiast rzuca się wrzaskliwa gromada rybitw... Zdu„miony widz gubi się w tem wszystkiem (Siewiercow)“.

Oto mamy przed sobą rabusiów — najsilniejszych, najprzebieglejszych, idealnie przystosowanych do grabieży. Ale zamiast krzyków tryumfu, słyszymy ich rozpaczliwe wołania i godzinami całemi wyczekują one sposobności chwycenia jakiegoś jednego nieochronionego osobnika. Dość jednak, aby rabusie zbliżyły się, a natychmiast dają się słyszeć ostrzeżenia i setki mew i jaskółek morskich rzucają się na napastnika. Oszalały z głodu rabuś wyrzeka się zwykłych środków ostrożności i gwałtownie rzuca się w żywe rojowisko; napadnięty jednak ze wszystkich stron, rychło zmuszony jest do ucieczki. Zrozpaczony napada na dzikie kaczki, lecz te rozumne ptaki towarzyskie odrazu zbierają się w stado i uciekają, jeśli napastnik jest orłem rybitwą, lub dają nurka, jeśli to sokół; lub wreszcie wznoszą całą chmurę pyłu wodnego i oślepiają napastnika, jeśli to kania. I oto, gdy życie płynie dalej na jeziorze, rabuś musi uciekać z okrzykami złości i szukać padliny lub też zadowolić się pisklęciem, czy myszą polną, która jeszcze nie nauczyła się słuchać ostrzeżeń swych towarzyszy. Wobec nadzwyczaj bogatego życia społecznego, doskonale uzbrojony rozbójnik musi się zadawalać odpadkami tego życia.

Udajmy się dalej na północ, na archipelagi Arktyczne.

„Możemy płynąć dziesiątki kilometrów wzdłuż wybrzeży „i widzieć, jak wszystkie występy, załamy i szczeliny skalne, „wszystkie zbocza gór aż do wysokości 200 do 500 stóp, dosłownie „pokryte są ptakami morskimi, których białe piersi, odbijające od „ciemnych skał, czynią wrażenie, jakby góry obryzgane były „wapnem. Powietrze nad takiemi wybrzeżami jest, że tak powiem, „pełne ptactwa“. (A. E. Nordenskjöld).

Każda z takich gór ptasich jest żywym przykładem pomocy wzajemnej, a także przykładem wielkiej różnorodności charakterów, wielkiej rozmaitości usposobień indywidualnych, rozwijających się w życiu społecznem. Ostrygojad (Haematopus) znany jest ze swej gotowości atakowania ptaków drapieżnych. Nabłotnik (Limosa) tak wyróżnia się swą roztropnością, że łacno staje się wodzem innych spokojniejszych ptaków. Tłumacz (Strepsilas interpres) w otoczeniu towarzyszy jest ptakiem ra-

czej lękliwym; staje się jednak przedsiębiorczym i zabiega o bezpieczeństwo ogólne z chwilą, gdy otoczony jest przez ptaki mniejsze. W okolicach tych można obserwować żądne władzy łabędzie; nadzwyczaj towarzyskie mewy kitiwake, pomiędzy któremi sprzeczki zdarzają się nadzwyczaj rzadko; dalej uprzejme nurzyki polarne (Uria brunnichii), nieustannie pieszczące się nawzajem. Gęsi egoistyczne, które odpędziły od siebie sieroty po zabitej towarzyszce, a obok nich inne samice tego samego gatunku, które przyjęły sieroty i pływają oto otoczone przez 50 lub 60 piskląt, traktowanych zupełnie narówni z dziećmi własnemi. Obok pingwinów, kradnących jajka swym sąsiadom, mamy nurzyki, których stosunki rodzinne są tak pełne tkliwości i uczucia, że nawet najzapaleńsi myśliwi wzdragają się przed zabijaniem samicy, otoczonej przez młode; lub znowu widzimy kaczki edredonowe, siedzące kolejno na tym samym gnieździe. To samo wysiadywanie spólne potomstwa widzimy u nurzyków. Przyroda jest samą różnorodnością; spotykamy w niej wszystkie możliwości charakteru, od najniższych do najwyższych. Oto dlaczego nie może być ona objęta żadnem twierdzeniem ogólnikowem. Tem bardziej nie może być przyroda sądzona z moralizatorskiego punktu widzenia: poglądy moralisty są same — zwykle nieświadomym — wynikiem spostrzeżeń, płynących od przyrody.

Gromadzenie się ptaków w porze wysiadywania jaj jest zjawiskiem tak powszechnem, że przykłady byłyby bodaj zbyteczne. Drzewa nasze są pełne gniazd wronich; w żywopłotach świergoli drobne ptactwo; zabudowania gospodarcze dają schronisko całym kolonjom jaskółek; stare mury są ucieczką setek ptaków nocnych; i możnaby zapełnić liczne stronice wdzięcznymi opisami tego spokoju i harmonji, które panują zwykle w tych zrzeszeniach ptasich. Niewątpliwe jest przytem, że w zrzeszeniach tych ptaki słabsze znajdują pomoc i opiekę. Doskonały obserwator Dr. Coues widział np. gniazda małej jaskółki skalnej, założone w sąsiedztwie bezpośredniem siedziby sokoła stepowego (Falco polyargus). Sokół gnieździł się na szczycie jednego z tych minaretów glinianych, które tak liczne są w Kolorado, gdy kolonja jaskółek założyła swe gniazda bezpośrednio pod nim. Małe spokojne ptaszki zupełnie nie obawiały się swego drapieżnego sąsiada;

nigdy nie pozwalały mu zbliżyć się do swej kolonji. Natychmiast otaczały go i goniły tak uporczywie, że musiał uciekać.

Życie towarzyskie u ptaków bynajmniej nie przerywa się z chwilą zakończenia okresu wysiadywania jaj; przybiera tylko wówczas nową postać. Młodzież zbiera się w liczne gromady, zwykle zawierające po kilka gatunków. Ptaki gromadzą się wówczas poprostu dla towarzystwa — w części wprawdzie także dla bezpieczeństwa, głównie jednak dla samej przyjemności przebywania w gromadzie. Tak np. po lasach naszych widzimy towarzystwa, złożone z bargielów (S i t t a c o e s i a), z którymi razem przebywają sikory, zięby, króliki, różne dzięcioły i t. d. W Hiszpanji spotyka się jaskółki razem z pustułkami, mucholowkami, a nawet gołębiami. Na dalekim zachodzie Amerykańskim skowronek kudłaty (horned lark) żyje w licznych gromadach łącznie z dwoma czy z trzema odmianami skowronków, z wróblem stepowym (Sawannah sparrow) i z paru gatunkami ogrodniczków i trznadli. Prawdę mówiąc, łatwiej byłoby opisać te gatunki, które żyją oddzielnie, aniżeli tylko wymienić te, które w jesieni tworzą liczne towarzystwa młodzieży — towarzystwa nie dla polowania ani wysiadywania jaj, lecz poprostu dla zażywania radości życia gromadzkiego i przepędzania czasu na zabawach, poświęciwszy zaledwie parę godzin dziennie na wyszukanie pożywienia.

Przejdźmy wreszcie do tej wielkiej dziedziny życia ptasiego, w której pomoc wzajemna jest czynnikiem szczególnie ważnym i rzucającym się w oczy — a mianowicie do przelotów. Dość powiedzieć, że ptaki, które przez szereg miesięcy żyły w gromadkach nielicznych, rozrzuconych po wielkim obszarze, zbierają się teraz tysiącami; zlatują się dniami całymi na miejsce określone, zanim puszczą się w podróż, i najwidoczniej omawiają szczegóły tej podróży. Niektóre gatunki codziennie po południu przedsiębiorą loty przygotowawcze — ćwiczenia do wielkiej podróży. Wszyscy wyczekują spóźniających się towarzyszy; wreszcie odlatują w kierunku wybranym starannie;—ten kierunek—to nagromadzony rezultat doświadczeń spólnych; najsilniejsze lecą na czele stada, luzując się nawzajem w tem trudnem zadaniu. Przez morza przelatują w olbrzymich stadach, złożonych zarówno z ptaków małych, jak wielkich; a gdy wracają na wiosnę, przylatują na stare miejsca

i bardzo często odbudowują te same gniazda, które opuściły w zeszłym roku.

Jest to przedmiot nadzwyczaj obszerny, a jednak zbadany jeszcze tak niedostatecznie; moglibyśmy czerpać stąd nie jeden przykład pomocy wzajemnej; byłoby ich jednak tak dużo, że całą książkę trzebaby temu poświęcić. Musimy więc ograniczyć się do tych przytoczeń ogólnikowych. Przypomnę tylko jeszcze o tych licznych i ożywionych zgromadzeniach ptasich, które odbywają się zawsze na tem samem miejscu przed udaniem się w podróż na północ lub na południe; a także o tych zgromadzeniach, które widzimy na północy, gdy ptaki powrócą do swych gniazd na wybrzeżach Jenisieju lub w północnych hrabstwach angielskich. Przez szereg dni z rzędu — niekiedy przez cały miesiąc — zbierają się one codziennie zrana na godzinę, zanim rozlecą się w poszukiwaniu jadła; być może na zebraniach tych omawiane są miejsca do budowy gniazd. Jeśli zaś podczas przelotu stado ptasie napotka burzę, gromadzą się spólnie ptaki gatunków najrozmaitszych. Ptaki, nie będące ściśle ptakami przelotnymi, lecz tylko odbywające ograniczone wędrówki z północy na południe i z powrotem, do wędrówek tych również przystępują gromadnie. Widzimy więc, że przeloty bodaj nigdy nie odbywają się w pojedynkę, gromada bowiem zapewnia jednostce łatwiejsze zdobycie pożywienia i większe bezpieczeństwo.

Jeśli przejdziemy teraz do ssących, pierwszą rzeczą która uderza nas, jest znakomita przewaga liczebna gatunków towarzyskich nad tymi nielicznymi drapieżcami, które nie zrzeszają się. Płaskowzgórza i stepy starego i nowego świata pełne są stad jeleni, antylop, gazel, danieli, bawołów, dzikich kóz i owiec, a wszystko to są zwierzęta towarzyskie. Kiedy europejczycy poczęli osiedlać się w Ameryce, napotykali tam tak liczne stada bawołów, że osadnicy musieli powstrzymywać swój pochód, skoro spotkali się z bawołami; a przejście takiej kolumny bawołów trwało niekiedy dwa i trzy dni. Podobnie, gdy Rosjanie zajmowali Syberję, spotkali tam taką masę jeleni, antylop, wiewiórek i innych zwierząt towarzyskich, że podbicie Syberji uważać można za wyprawę myśliwską, trwającą dwieście lat; stepy trawiaste Afryki wschodniej do dzisiejszego dnia pokryte są stadami zebr i najrozmaitszych gatunków antylop.

Nie tak to dawne czasy, kiedy potoki Ameryki Północnej i Syberji Północnej były pokryte kolonjami bobrów; kolonje takie spotkać można było w Rosji Północnej aż do XVII wieku. Równiny czterech wielkich kontynetów wciąż jeszcze pokryte są niezliczonemi kolonjami myszy, chomików i innych gryzoniów. W lasach podzwrotnikowej części Azji i Afryki mieszkają liczne rodziny słoni, nosorożców i nieprzeliczone gromady małp. Na dalekiej północy renifer tworzy stada olbrzymie; a jeszcze dalej na północ znajdujemy stada wołów piżmowych i lisów polarnych. Wybrzeża oceanu wciąż jeszcze roją się od fok i morsów; a wody morskie od stad najrozmaitszych gatunków, należących do rodziny wielorybów towarzyskich; nawet w głęgi wielkiego płaskowzgórza Azji środkowej znajdujemy stada dzikich koni, dzikich osłów, wielbłądów i owiec. Wszystkie te zwierzęta żyją w społeczeństwach i narodach, liczących niekiedy wiele setek tysięcy jednostek; jakkolwiek obecnie, po trzech stuleciach opartej na prochu cywilizacji uropejskiej, znajdujemy już tylko szczątki tego, co było dawniej. Jakże znikoma w porównaniu z tem jest liczebność mięsożernych! Jak błędny jest pogląd tych, którzy nie widzą w świecie zwierzęcym nic więcej, oprócz lwów i hjen, zatapiających zęby w ciele ofiar! Równie słusznie można byłoby patrzeć na życie ludzkie jedynie jako na szereg wojen i rzezi.

Zrzeszanie się i pomoc wzajemna panują z reguły w świecie zwierząt ssących. Obyczaje towarzyskie znajdujemy nawet między mięsożernymi i zaledwie jedną rodzinę kotów (lwy, tygrysy, lamparty i t. d.) możemy wymienić jako tę grupę zwierząt, w której obyczaje indywidualne stanowczo przeważają nad towarzyskimi i w której tylko zrzadka spotykamy grupy nieliczne. A przecie nawet lwy zwykle polują gromadami. Dwie rodziny łaszowatych i łasicowatych (V i v e r r i d a e — M u s t e l i d a e) również wyróżniają się swojem życiem w pojedynkę, wiemy jednak, że przed stu laty łasica pospolita była dużo bardziej towarzyska, niż obecnie; spotykano ją wówczas w licznych grupach w Szkocji i w szwajcarskim kantonie Unterwalden. Do grup wybitnie towarzyskich należy wielka rodzina psów, a szczególnie wyróżniającem ich znamieniem są zrzeszenia myśliwskie. Powszechnie wiadome jest, że wilki gromadzą się w liczne bandy myśliwskie i Tschudi pozostawił bardzo ciekawy opis tego, jak wilki tworzą półkóle,

otaczają krowę pasącą się na pochyłości góry, potem nagle wyskakują z głośnem szczekaniem i zmuszają ją do rzucenia się w przepaść. W latach trzydziestych Audubon obserwował wilki na Labradorze, polujące gromadnie; jedna z takich gromad wilczych napadła na osiedla ludzkie i wymordowała psy. Podczas zim ostrych stada wilcze bywają tak liczne, że stają się poważnem niebezpieczeństwem dla ludzi; jak to np. miało miejsce we Francji w połowie ubiegłego stulecia. — W stepach rosyjskich wilki nigdy nie atakują koni inaczej, jeno gromadne; a muszą pokonać tu nieraz opór bardzo poważny (jak o tem świadczy Kohl), konie bowiem bronią się zawzięcie, wilki jednak również nie ustępują łatwo; a grozi im otoczenie przez konie i zatratowanie kopytami. Amerykańskie wilki z prerji (C a n i s l a t r a n s) znane są z tego, że gromadzą się w bandy, złożone z 20 do 30 sztuk i gromadnie napadają na bawoły, przypadkowo oddzielone od stada. Szakale, które słusznie możemy uważać za najinteligentniejsze i najodważniejsze z całej rodziny psów, zawsze polują gromadnie; tak zrzeszone mogą one nie obawiać się nawet największych drapieżców. Wiliamson obserwował dzikie psy azjatyckie (Cholzuny lub Dole) jak pokonywały wszystkie wielkie zwierzęta, nie wyłączając niedźwiedzi i tygrysów; nie są w stanie pokonać tylko słonia i nosorożca. Hjeny również żyją towarzysko i polują gromadnie; a organizacje myśliwskie hjeny plamistej są wysoko chwalone przez Cumminga. Nawet lisy, które w naszych krajach cywilizowanych żyją zwykle w pojedynkę, tworzą niekiedy zrzeszenia myśliwskie. Co się tyczy lisa polarnego, to jest on — lub raczej był w czasach Steller'a — jednym ze zwierząt najbardziej towarzyskich; i gdy czytamy opis tego autora, jak nieszczęsna załoga Berynga walczyć musiała przeciwko tym rozumnym drobnym zwierzętom, nie wiemy, co bardziej podziwiać: czy nadzwyczajną pomysłowość lisów i ich udoskonaloną pomoc wzajemną, gdy umiały wydobywać jadło z pod kamieni lub zrzucać je ze szczytu słupa (jeden z lisów wdrapywał się na słup i zrzucał jadło towarzyszom, stojącym na dole), czy okrucieństwo człowieka, doprowadzonego do rozpaczy przez liczne gromady lisów. Nawet niektóre niedźwiedzie żyją towarzysko w tych miejscowościach, gdzie nie są niepokojone przez człowieka. Tak np. Steller spotykał czarnego niedźwiedzia kamczackiego w stadach licznych, a niedźwiedzie

polarne spotykane były tu i owdzie w grupach. Nawet nierozumne zwierzęta owadożerne niekiedy zrzeszają się.

Atoli szczególnie rozwiniętą towarzyskość i pomoc wzajemną spotykamy pomiędzy gryzoniami, pomiędzy kopytnymi i przeżuwającymi. Wiewiórki zwykle pędzą życie w pojedynkę. Każda z nich buduje sobie wygodne gniazdo i gromadzi w niem własne zapasy. Mają jednak skłonność do życia rodzinnego, i Brehm doszedł do wniosku, że są najszczęśliwsze wtedy, gdy dwa lub trzy pomioty tego samego roku zbiorą się razem w jakimś odległym zakątku lasu. Wówczas utrzymują pomiędzy sobą stosunki towarzyskie; mieszkańcy gniazd poszczególnych komunikują się ze sobą i gdy szyszki staną się mniej liczne, cała gromada wynosi się w inne strony. Co się tyczy amerykańskich wiewiórek czarnych, to są one wybitnie towarzyskie. Poza paru godzinami, poświęconemi na zdobywanie pożywienia, spędzają cały dzień na zabawach w wielkich gromadach. Gdy rozmnożą się zbytnio w jakiejś okolicy, zbierają się w stada, niemal tak liczne jak szarańcza, i idą na południe, pustosząc lasy pola i ogrody; za takim pochodem wiewiórek idą lisy, sępy i inne drapieżniki, czychające na jednostki oderwane od stada. Pręgowiec syberyjski (wiewiórka) jest jeszcze bardziej towarzyski. Jest to gospodarz zabiegliwy i w swych pomieszczeniach podziemnych gromadzi wielkie zapasy korzonków jadalnych i orzechów, rabowanych przez człowieka w jesieni. Jak twierdzą niektórzy badacze, musi on zaznawać coś z radości skąpca. A jednak wciąż jeszcze pozostaje zwierzęciem towarzyskiem i zawsze żyje wielkiemi wsiami. Audubon, który zbadał w zimie kilka gniazd wiewiórki pokrewnej, znalazł po kilka osobników w tem samem pomieszczeniu; zapewne nagromadzone tam zapasy były owocem pracy spólnej.

U świstaków, nieświszczów i susłów spotykamy towarzyskość jeszcze bardziej rozwiniętą i jeszcze wyższą inteligencję. Mamy tu również mieszkania oddzielne, położone jednak blizko siebie i tworzące jakby wielkie wsie. Suseł, ten straszny wróg rolnika południowo-rosyjskiego — miljonami całymi tępiony corocznie, żyje w kolonjach bardzo licznych i podczas gdy chłopi rosyjscy poważnie zastanawiają się nad sposobami uwolnienia się od niego, zwierzątko całymi tysiącami zażywa radości życia. Ich zabawy są tak pełne wdzięku, że można przyglądać im się z naj-

większem zainteresowaniem; nad polami pełnemi susłów unoszą się szczególne koncerty, powstające z ostrych gwizdnięć samców i melancholijnych świstów samiczek. W walce z nimi człowiek usiłował uciec się do pomocy wszystkich zwierząt i ptaków drapieżnych i najnowszym wynalazkiem w tym kierunku jest szczepienie im cholery! Do widoków niezmiernie interesujących należą również wsie piesków ziemnych w Ameryce. Jak okiem sięgnąć, widzimy zwierzątka stojące na pagórkach i zajęte rozmową przy pomocy krótkich szczeknięć. Gdy tylko rozlegnie się sygnał ostrzegający przed zbliżaniem się człowieka, wszystkie nikną w norach. Po przejściu niebezpieczeństwa, zwierzątka ukazują się znowu i bawią się. Młodzież goni się nawzajem, zmaga się i oddaje się zabawom najrozmaitszym; starsze zaś, stojąc dookoła, pełnią rolę wartowników. Odwiedzają się one nawzajem i ścieżki wydeptane pomiędzy osiedlami świadczą o liczbie tych odwiedzin. Niejeden naturalista zawdzięcza swe najlepsze stronice opisom zrzeszeń amerykańskich piesków ziemnych, chomików i świstaków alpejskich. Ale teraz muszę tu zrobić tę samą uwagę odnośnie chomików, którą zrobiłem, gdym mówił o pszczołach. — Instynkty walki nie zaginęły w nich i jawią się natychmiast, gdy zwierzę jest w niewoli. Natomiast w zrzeszeniach wielkich i wobec wolnej przyrody instynkty antyspołeczne nie mają okazji do rozwoju, dzięki czemu jako wynik ogólny otrzymujemy pokój i harmonję.

Nawet tak kłótliwe zwierzęta, jak szczury, które nieustannie walczą po naszych piwnicach, mają dość rozumu na to, aby zaniechać waśni w chwili plądrowania śpiżarni; a podczas wędrówek nietylko pomagają sobie nawzajem, lecz nawet żywią swych inwalidów. Szczur bobrowy i kanadyjski szczur piżmowy są towarzyskie w stopniu najwyższym. Audubon mógł podziwiać ich gminy, którym należy tylko nie przeszkadzać, aby żyły szczęśliwie. Jak wszystkie zwierzęta towarzyskie, są one żywe i wesołe; łatwo łączą się z innymi gatunkami i osiągnęły wysoki poziom rozwoju umysłowego. W swych osadach, położonych nad brzegami rzek i jezior, zawsze uwzględniają zmienny poziom wody; siedziby ich, zbudowane w postaci domów, mają ściany zrobione z gliny i sitowia i zaopatrzone są w oddzielne miejsca dla odpadków organicznych; są tam hale należycie wytynkowane i zabezpieczone od zimna, jakkolwiek dobrze przewietrzane. Co się ty-

czy bobrów, posiadają one, jak wiadomo, usposobienie nadzwyczaj przyjemne i znane są ich zadziwiające groble i osady, w których żyją całe szeregi pokoleń, nie znając innych wrogów, niż wydra i człowiek; osiedla te wymownie świadczą o tem, co zdziałać może pomoc wzajemna i rozwój przyzwyczajeń społecznych; dochodzą one do niezwykłego poziomu inteligencji. Należy tutaj zaznaczyć, że u szczurów piżmowych i bobrów, a także u niektórych innych gryzoniów spotykamy się już ze szczególnem znamieniem społeczeństwa ludzkiego — a mianowicie ze spólną pracą.

Niewątpliwą jest rzeczą, że w wielu razach zwierzęta schodzą się wprost dla przyjemności życia towarzyskiego. Tak, właśnie dla przyjemności!—ponieważ trudno byłoby powiedzieć, co w wielu wypadkach sprowadza razem zwierzęta — i czy chodzi tu o pomoc wzajemną, czy też poprostu o przyjemność, wypływającą z czucia się otoczonym przez rodaków. Nasze zające pospolite, bynajmniej nie pędzące życia społecznego, a nawet pozbawione wysoko rozwiniętych uczuć rodzicielskich, nie mogą żyć bez zbierania się dla zabawy. Dietrich de Winckell, którego możemy uważać za jednego z najlepszych znawców zajęcy, opisuje je jako namiętnych sportowców, niekiedy tak zapalających się w grze, że znany jest przykład zająca, który przez omyłkę wziął lisa za towarzysza gry. Co się tyczy królików, to żyją one towarzysko i rodziny ich są całkowicie zbudowane na wzór starej rodziny patryarchalnej; młodzież trzymana jest w posłuszeństwie bezwzględnem wobec ojca, a nawet wobec dziadka. W zającach i królikach mamy przykład dwóch blizko spokrewnionych gatunków, nie mogących znosić się nawzajem; — a pochodzi to bynajmniej nie z tego powodu, że żywią się tem samem jadłem, jak takie zjawisko niekiedy bywa tłomaczone, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa stąd, że wybitnie indywidualistyczny zając nie może się zaprzyjaźnić z taką istotą spokojną i poddającą się, jaką jest królik. Ich usposobienia zbyt różnią się od siebie, aby przyjaźń mogła tu mieć miejsce.

Życie towarzyskie spotykamy również z reguły w wielkiej rodzinie koni, obejmującej zarówno dzikie konie i osły azjatyckie, jak zebry, mustangi, „cimarrones“ południowo-amerykańskie i półdzikie konie angielskie i syberyjskie. Wszystkie one żyją w wielkich zrzeszenach, złożonych z małych stad, z których każde

składa się z pewnej liczby klaczy pod przewodnictwem jednego ogiera. Ci nieprzeliczeni mieszkańcy starego i nowego świata są naogół zupełnie źle zabezpieczeni od napaści licznych nieprzyjaciół i źle ochronieni od zmian klimatycznych; to też wyginęliby bardzo rychło, gdyby nie instynkt społeczny. Gdy tylko przybliża się drapieżnik, drobne stada natchmiast łączą się w wielką gromadę i spólnemi siłami odpędzają napastnika, a niekiedy nawet gonią za nim. To też ani wilk, ani niedźwiedź, ani nawet lew nie chwyci konia ani zebry, póki jednostka nie oddzieli się od stada. Gdy susza wypali trawy na stepach, zbierają się one w gromady, dochodzące niekiedy do 10,000 sztuk i emigrują. Gdy w stepach przyjdzie zawieja śnieżna, każde stado zbiera się w jedno miejsce i przycisnąwszy się do siebie nawzajem, usiłuje przetrzymać nieszczęście. Jeśli jednak zniknie zaufanie wzajemne, jeśli gromadę ogarnie panika i jeśli rozproszy się ona, konie giną szybko i po burzy znajduje się je porozrzucane tu i owdzie, umierające z wycieńczenia. Zrzeszanie się jest ich główną bronią w walce o byt, a człowiek ich głównym wrogiem. Uciekając przed ludźmi przodkowie naszego konia domowego (tak nazwany przez Polakowa E q u u s P r z e w a l s k i) wyemigrowały na najbardziej niedostępne wyżyny płaskowzgórza Tybetańskiego, gdzie żyją dotychczas w klimacie surowym i otoczone przez drapieżców, niedostępne jednak dla człowieka.

Bardzo wiele przykładów ciekawych życia społecznego mogłyby nam dostarczyć renifery, a szczególnie ten wielki dział przeżuwających, który obejmuje sarny, daniele, antylopy, gazele i t. d. Należy tu wspomnieć o ich ostrożności, gdy zagraża napaść drapieżników; o tej troskliwej zabiegliwości, rozwijanej przez wszystkich członków stada gemz w chwili przechodzenia przez niebezpieczne przejście górskie; o przyjmoaniu sierot; o rozpaczy gazeli, która utraciła małżonka, lub choćby towarzysza tej samej płci; o zabawach młodzieży i o wielu innych zwyczajach bardzo ciekawych. Atoli zapewne do najbardziej uderzających przykładów pomocy wzajemnej należą wędrówki danieli, które zdarzyło mi się widzieć w Amurze. Gdy przechodziłem przez płaskowzgórze aż do Wielkiego Hinganu, po drodze od kraju Zabajkalskiego do Mergen, miałem sposobność stwierdzić, jak wiele danieli mieszka w tych krajach niezaludnionych. We dwa lata później płyną-

łem po Amurze i w końcu października dosięgłem do tego malowniczego miejsca, gdzie Amur przebija się przez Mały Hingan i, połączywszy się z Sungari, rozlewa się po równinie. W tamtejszych wsiach kozackich spotkałem ludzi w wielkiem podnieceniu, ponieważ nieprzeliczone tysiące danieli właśnie przeprawiały się przez Amur, aby dostać się na równinę. W ciągu kilku dni na przestrzeni czterdziestu kilku kilometrów szło przez rzekę stado tych zwierząt, kozacy zaś mordowali je masami. Codziennie zabijano tysiące, a pochód wciąż trwał. Podobne pochody spotykają się bardzo rzadko, a ten zapewne wywołany był przez wczesne i bardzo obfite śniegi na Wielkim Hinganie, które zmusiły danieli do rozpaczliwego wysiłku przedostania się na równinę, położoną na wschód od wzgórza Dus. W kilka dni później wzgórza Dus również pokryte były śniegiem na trzy stopy wysoko. Wyobraźmy sobie teraz kraj tak wielki (jak np. Wielka Brytanja), na którym rozrzucone są tu i owdzie gromady danieli; gromady te pod naciskiem okoliczności wyjątkowych muszą się zebrać szybko i przedsięwziąć wędrówkę, aby przejść Amur w tem miejscu, gdzie jest on najwęższy. Może to być osiągnięte tylko przy bardzo wysokim rozwoju uspołecznienia. Zjawiska podobne i nie mniej uderzające spotkać możemy pomiędzy bawołami północno-amerykańskimi. Zwykle przebywają one na olbrzymich stepach niewielkiemi stadami, rozrzuconemi dość daleko jedno od drugiego i nigdy nie mieszającemi się ze sobą. A jednak w razie konieczności wszystkie małe stada, bez względu na przestrzeń dzielącą je, zbierają się razem i tworzą te pochody krociowe, o których już wspomniałem.

Należałoby także powiedzieć choć słów kilka o „rodzinach złożonych“ słoni, o ich rozwadze przy rozstawianiu wart, o ich silnem przywiązaniu wzajemnem i wysokim stopniu uspołecznienia. Warto także przypomnieć o uczuciach społecznych dzików; uspołecznienie ich ujawnia się szczególnie wówczas, gdy są zaatakowane. Hipopotamy i nosorożce również zajmą miejsce poczesne w dziele, poświęconem społeczeństwom zwierzęcym. Nie mało tematu dostarczyłyby nam taże foki i morsy; wreszcie nie należy zapominać o bardzo uspołecznionych zwierzętach z rodziny wielorybów towarzyskich. Nie możemy jednak zatrzymywać się nad tą masą szczegółów i corychlej przejść musimy do małp, zwracają-

cych na siebie uwagę szczególną, jako ta gałąź świata zwierzęcego, która zdaje się prowadzić do pierwotnego społeczeństwa ludzkiego.

Nie potrzebuję nawet mówić, że te ssące, stojące na szczycie świata zwierzęcego i zarówno przez swą budowę, jak inteligencję najbardziej zbliżone do człowieka, są wybitnie towarzyskie. Oczywiście w tak wielkiej rodzinie, obejmującej setki gatunków, przygotowani być musimy na najrozmaitsze odmiany charakteru i obyczajów. Pomimo wszystkich różnic jednak powiedzieć możemy, że uspołecznienie, działanie spólne, pomoc wzajemna i wysoki rozwój wszystkich uczuć, uwarunkowanych życiem społecznem — są znamieniem wyróżniającem większość małp. Od gatunków najmniejszych do największych uspołecznienie jest u nich regułą, posiadającą tylko wyjątki nieliczne. Małpy nocne wolą żyć w pojedynkę; kapucyny (C e b u s C a p u c i n u s) i wyjce żyją niewielkiemi rodzinami; orangutang nigdy nie był widziany przez Wallace'a w gromadzie i występuje bądź pojedyńczo bądź w grupach niewielkich, złożonych z dwóch do trzech jednostek; podobnie goryle nigdy nie łączą się w gromady. Wszystkie pozostałe jednak gatunki małp — szympansy, pawiany, mandryle i najrozmaitsze inne — są towarzyskie w stopniu najwyższym. Żyją one w wielkich stadach i łączą się nawet z innymi gatunkami. Większość z nich jest bardzo nieszczęśliwa, gdy pozostanie w samotności. Krzyki rozpaczy wydawane przez jednego członka gromady, natychmiast sprowadzają wszystkich towarzyszy; śmiało odpierają one napaści drapieżników i wielkich ptaków. Nawet orły nie ważą się napastować ich. Udając się na plądrowanie pól ludzkich, małpy idą zawsze gromadnie, przyczem starsze dbają o bezpieczeństwo całego towarzystwa. Maleńkie małpy ti-ti, których dziecinne twarzyczki takie wrażenie robiły na Humbolcie, obejmują się nawzajem i zasłaniają jedna drugą, gdy deszcz pada. Wiele gatunków małp ujawnia bardzo dużo starań wokół rannych i w ucieczce nie opuszczają rannego towarzysza póki nie przekonają się, że już nie żyje i że wszelkie starania są bezowocne. James Forbes opowiada w swych pamiętnikach ze Wschodu, jak gromada małp ujawniła tyle zabiegliwości o ciało rannej samicy i rozwinęła przytem tyle uczuciowości, że przyrzekł on sobie, iż odtąd nigdy strzelać do małp nie będzie. Niektóre małpy umieją łączyć swe

wysiłki w celu podniesienia kamienia, pod którym kryje się mrowisko, aby wydobyć upragnione jaja mrówcze. Hamadryjady nietylko rozstawiają wartowników, lecz umieją ustawić się w łańcuch w celu przeniesienia zdobyczy na miejsce bezpieczne; ich odwaga jest dobrze znana. Podany przez Brehma opis walki, którą jego karawana musiała stoczyć, zanim hamadryjady pozwoliły jej iść dalej w dolinie Mensy w Abisynji, stał się opisem klasycznym. Znane są również opisy wesołego usposobienia i przywiązania wzajemnego, panującego pomiędzy małpami ogoniastemi. I jeśli pomiędzy małpami najwyższemi znajdujemy dwa gatunki nietowarzyskie, orangutanga i goryla, ograniczone do przestrzeni niewielkich — jeden w Afryce Środkowej, a drugi na wyspach Borneo i Sumatra — mamy zupełne prawo przypuszczać, że są to resztki gatunków, niegdyś znacznie liczniejszych. Szczególnie goryl wydaje się zwierzęciem niegdyś towarzyskim, — jeśli małpy wymienione w P e r i p l u s a c h, są rzeczywiście gorylami.

Z tego przeglądu krótkiego widzimy, że życie towarzyskie bynajmniej nie należy do wyjątków w świecie zwierzęcym; przeciwnie, jest ono regułą, prawem przyrody i dosięga szczytu u najwyższych kręgowców. Gatunki, żyjące w pojednkę, lub tylko w rodzinach nielicznych, są same nieliczne. Wydaje się nawet, że — z nielicznemi wyjątkami — te ptaki i ssące, które dzisiaj nie prowadzą życia stadnego, niegdyś przed rozmnożeniem się człowieka, prowadziły życie towarzyskie. Jak słusznie powiada Espinas, „nikt nie zrzesza się dla spólnej śmierci"; tego samego zdania odnośnie wpływu człowieka na świat zwierzęcy był Houzeau, dobrze znający świat zwierzęcy w niektórych częściach Ameryki.

Życie społeczne spotykamy pomiędzy zwierzętami na wszystkich stopniach rozwoju; i zgodnie z głęboką myślą Herberta Spencera, tak wspaniale rozwiniętą w dziele Perrier'a „Colonies animales", kolonje spotykamy już w zaraniu rozwoju świata zwierzęcego. Atoli w miarę wznoszenia się po stopniach ewolucji, widzimy, jak zrzeszenie staje się coraz bardziej świadome. U wyższych kręgowców zrzeszenie występuje jako zjawisko perjodyczne lub wywołane przez pewne szczególne potrzeby, np. rozmnażanie się gatunku, wędrówki, wyprawy myśliwskie lub obronę wzajemną. Występuje ono również jako zjawisko przypadkowe, gdy np. ptaki łączą się przeciwko napastnikowi, lub gdy ssące tworzą groma-

dy pod naciskiem okoliczności wyjątkowych — w celu wędrówki. W tym ostatnim wypadku zrzeszenie jest świadomem odchyleniem od zwykłego sposobu życia. Społeczeństwo zwierzęce posiada niekiedy dwa lub więcej stopni — mamy w niem najpierw rodzinę, potem grupę rodzin i wreszcie wielki związek grup, które zwykle są rozproszone, lecz w razie potrzeby mogą się połączyć; jak to widzieliśmy u bawołów i innych przeżuwających. Zrzeszenie przybiera również formy wyższe, zapewniające jednostce większą niezależność, nie pozbawiając jej przytem korzyści życia społecznego. U większości gryzoniów jednostki posiadają swe własne mieszkania, do których mogą udać się, gdy wolą być w samotności; mieszkania te jednak położone są w pobliżu jedno od drugiego, jakby wsie i miasta, zapewniając w ten sposób wszystkim wieszkańcom korzyści życia społecznego. Wreszcie u niektórych gatunków, jak np. szczury, chomiki, zające i t. d.,—spotykamy życie towarzyskie istniejące pomimo usposobienia swarliwego i skłonności egoistycznych, wyraźnych u tych zwierząt. We wszystkich tych wypadkach życie społeczne bynajmniej nie jest czemś narzuconem przez samą budowę fizjologiczną jednostki; jest ono podtrzymywane w celu pomocy wzajemnej i dla przyjemności. Występuje to w stopniu najrozmaitszym i przy olbrzymiej rozmaitości usposobień jednostkowych; sama ta rozmaitość form życia społecznego jest dla nas dowodem, jak powszechnem jest ono zjawiskiem.

Zrzeszanie się — t. j. potrzeba odczuwana przez zwierzę łączenia się z sobie podobnymi — upodobanie w towarzystwie dla samego towarzystwa, dającego więcej „radości życia“, dopiero w ostatnich czasach poczęło zwracać na siebie należną uwagę zoologów. Wiemy teraz dobrze, że wszystkie zwierzęta, poczynając od mrówek, aż do ptaków i najwyższych ssących — ogromnie lubią zabawy, gonitwy, przekomarzanie się wzajemne i t. p. I gdy niektóre z tych zabaw mają na celu jak gdyby przygotowanie młodzieży do tego, co czynić im wypadnie w wieku dojrzałym, inne nie posiadają żadnego wyraźnego celu i są — jak np. taniec i śpiew — prostym przejawem nadmiaru sił, „radości życia“, są przejawem potrzeby łączenia się w jakibądź sposób z innemi jednostkami tego samego gatunku; słowem, są to przejawy czystego uspołecznienia, spotykanego w całym świecie zwierzęcym. Czy będzie to uczucie strachu, doznawane z powodu zbliżania się napast-

nika, czy wybuch radości, gdy zwierzęta są młode i zdrowe, czy też prosta chęć dania ujścia nadmiarowi wrażeń i siły życiowej — potrzeba podzielenia się wrażeniami, potrzeba zabawy, gadaniny lub chęć prostego odczuwania blizkości innych żywych istot pokrewnych — zawsze mamy tu do czynienia z potrzebą, spotykaną wszedzie. Uspołecznienie dosięga wyższego stopnia rozwoju i przejawów szczególnie pięknych pomiędzy ssącymi, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą, a jeszcze bardziej pomiędzy ptakami; przenika ono jednak całą przyrodę i stwierdzone zostało przez najlepszych przyrodników (Pierre Huber) pomiędzy mrówkami; jest to niewątpliwie ten sam instynkt, który spędza razem wspomniane gromady motyli.

Zwyczaj zbierania się na tańce i strojenia tych miejsc, w których zwykle tańczą ptaki, jest dobrze znany z darwinowskiego „Pochodzenia człowieka". Atoli ten zwyczaj tańczenia jest, jak się zdaje, rozpowszechniony znacznie bardziej, niż początkowo mniemano i W. Hudson w swojem dziele o La Plata daje nadzwyczaj zajmujący opis tańców złożonych, wykonywanych przez różne gatunki ptaków.

Tak rozpowszechniony między wielu gatunkami ptaków zwyczaj śpiewania spólnego należy do tej samej kategorji instynktu społecznego. Do rozwoju najbardziej zadziwiającego doszedł on u C h a u n a c h a v a r r i a. Ptaki te zbierają się niekiedy w stada olbrzymie i wówczas śpiewają spólnie. W. Hudson spotkał je kiedyś w gromadzie niezliczonej, ustawionych wokół jeziora pośród pampasów; ptaki stały oddzielonymi od siebie gromadami, mniej więcej po 500 sztuk w każdej.

„Wówczas, — pisze on, — stado najbliżej mnie położone „poczęło śpiewać i śpiew ten trwał trzy do czterech minut; gdy te przestały, podjęło śpiew stado następne, potem dalsze i t. d., „aż po pewnym przeciągu czasu doleciały mnie dźwięki z przeciwległego brzegu jeziora. Na chwilę wszystko ucichło, wnet jednak „stado, znajdujące się obok mnie, zaśpiewało znowu i dalej następne kolejno".

Innym razem ten sam autor widział cały step, pokryty tymi ptakami; nie tworzyły one jednak gromady bezładnej, lecz podzielone były na pary i małe grupki. Około 9-ej wieczorem „nagle całe mnóstwo ptaków, pokrywające kilka kilometrów kwadra-

„towych, podniosło olbrzymi śpiew wieczorny... Był to koncert, „dla wysłuchania którego warto było sto mil przyjechać"... Należy tu dodać, że chauna, jak wszystkie zwierzęta towarzyskie, łatwo oswaja się i przywiązuje do człowieka. „Są to ptaki o usposobieniu łagodnem i kłócą się bardzo rzadko", jakkolwiek zaopatrzone są w broń potężną. Życie społeczne czyni tę broń niepotrzebną.

Na stronicach poprzednich wykazaliśmy już, że życie towarzyskie jest najpotężniejszą bronią w walce o byt, pojętej w znaczeniu najszerszem; przykładów moglibyśmy w razie potrzeby podać jeszcze więcej. Życie towarzyskie umożliwia najsłabszym owadom, najsłabszym ptakom i najsłabszym ssącym obronę od napaści drapieżników najróżniejszych; zapewnia ono długowieczność, umożliwia wyhodowanie potomstwa przy najmniejszej stracie energji i utrzymanie gatunku nawet przy bardzo małej plenności; wreszcie zwierzęta stadne mają możność odbywania wędrówek w poszukiwaniu nowych siedzib. Wynika stąd, że, jakkolwiek przyznajemy to poważne znaczenie, które przypisywali Darwin i Wallace, szybkości, barwom ochronnym, przebiegłości i wytrzymałości na głód i zimno — twierdzimy, iż we wszystkich warunkach towarzyskość zapewnia w walce o byt korzyści największe. Te gatunki, które dobrowolnie lub przymusowo wyrzekają się życia towarzyskiego, skazane są na zanik; gdy jednocześnie zwierzęta, umiejące najlepiej łączyć się, posiadają najwięcej danych do utrzymania się przy życiu i rozwijania się, choćby nawet ustępowały innym we wszystkich, wyliczonych przez Darwina i Wallace'a właściwościach, z wyjątkiem jedynie zdolności umysłowych. Najwymowniejszym tego dowodem są najwyższe kręgowce, a przedewszystkiem człowiek. Co się tyczy zdolności umysłowych, każdy darwinista musi zgodzić się z Darwinem, ż są one najpotężniejszą bronią w walce o byt i najpotężniejszym czynnikiem rozwoju, zdolności umysłowe zaś — to przecie coś wybitnie społecznego. Język, naśladowanie, doświadczenie, nagromadzone przez wiele jednostek, są tym czynnikiem, który znakomicie powiększa inteligencję, a którego pozbawione są zwierzęta nietowarzyskie. To też na szczycie rozwoju zwierzęcego znajdujemy mrówki, papugi i małpy, czyli zwierzęta, u których najwyższe uspołecznienie łączy się z najwyższym rozwojem inteligencji. Widzimy stąd, że za zwierzęta najzdatniejsze uważać musimy naj-

bardziej społeczne, a uspołecznienie za główny czynnik rozwoju; i to zarówno bezpośrednio, jako zapewniający największą sumę dobrobytu przy najmniejszej stracie energji, jak pośrednio, ponieważ uspołecznienie przyczynia się do rozwoju zdolności umysłowych.

Widoczne jest przytem ,że życie towarzyskie byłoby zgoła niemożliwe bez rozwoju spółrzędnego uczuć społecznych, szczególniej zaś bez pewnego kolektywnego poczucia sprawiedliwości, które staje się nawykiem. Gdyby każda jednostka nieustannie nadużywała swych zdolności osobistych, nie bacząc na to, czy szkodzi innym czy nie, życie społeczne byłoby zgoła niemożliwe. Poczucie sprawiedliwości mniej lub bardziej wyraźne, rozwija się u wszystkich zwierząt stadnych. Bez względu na odległość, którą przelatują jaskółki lub żórawie, każdy z tych ptaków wraca do tego samego gniazda, które zbudował lub odnowił roku poprzedniego. Jeśli jaki leniwy wróbel spróbuje przywłaszczyć sobe gniazdo, zbudowane przez towarzysza, lub choćby tylko ukradnie z niego zdziebełko trawy, cała gromada wróbli występuje przeciwko takiej niesprawiedliwości; jest rzeczą niewątpliwą, że bez takiego wmieszania się całej gromady nie mogłaby istnieć żadna osada gniazd ptasich. Oddzielne grupy pingwinów posiadają oddzielne miejsca spoczynku i oddzielne miejsca połowu, o które nigdy nie walczą. Każde stado bydła w Australji posiada swą zagrodę, do której przychodzi na odpoczynek i nie zdarza się, aby zachodziło do zagród cudzych. Spora liczba spostrzeżeń beposrednich wykazuje, że w większej części osad ptasich i po osadach gryzoniów, zarówno jak w stadach trawożernych, panuje pokój; z drugiej jednak strony wiemy, że mało jest zwierząt towarzyskich, któreby kłóciły się z sobą tak nieustannie, jak czynią to to szczury po naszych piwnicach, lub morsy, walczące o każde słoneczne miejsce na wybrzeżu. Uspołecznienie stawia tu granice walce fizycznej i daje możliwość rozwoju lepszych uczuć moralnych. Dobrze znany jest wysoki rozwój uczuć rodzicielskich u wszystkich zwierząt, nawet u lwów i tygrysów. Co się tyczy młodego ptactwa i młodych ssących, które zrzeszają się nieustannie, to utrzymuje je w całości pewien instynkt społeczny, a nie miłość. Pozostawiwszy na boku rzeczywiście wzruszające fakty przywiązania wzajemnego i spółczucia, spotykane w życiu zwie-

rząt domowych, lub trzymanych w niewoli, posiadamy niemałą liczbę niewątpliwych faktów spółczucia pomiędzy zwierzętami dzikimi na wolności. Max Perty i L. Büchner podają niemało faktów tego rodzaju. Zasługuje również na rozpowszechnienie opowiadanie J. C. Wooda o łasicy, która wróciła się, aby podnieść i ratować ranną towarzyszkę. Do podobnych faktów należy przytoczone przez Darwina opwiadanie kapitana Stansbury w jego podróży do Utah; widział on tam ślepego pelikana, który był karmiony, i to dobrze karmiony, przez innego pelikana rybami, przynoszonemi z odległości 50 kilometrów. H. A. Weddel widział niejednokrotnie, jak od gonionego przez myśliwych stada wigoniów bolliwijskich i peruańskich oddzielały się rozmyślnie najsilniejsze samce i pozostawały w tyle, w celu utworzenia tylnej straży. Fakty spółczucia i pomocy, świadczonej rannym towarzyszom, przytaczane są przez wielu zoologów. Fakty takie są zupełnie naturalne; spółczucie jest nieuniknionym wynikiem życia społecznego. Atoli spółczucie oznacza również wielki postęp w ogólnym rozwoju inteligencji i wrażliwości; jest ono pierwszym krokiem ku rozwojowi wyższych uczuć moralnych. A w dalszym ciągu jest to poważny czynnik rozwoju.

Jeśli poglądy dotychczasowe uznamy za słuszne, powstaje zapytanie: w jakiej mierze można uzgodnić je z takim pojmowaniem walki o byt, jakie rozwinął Darwin, Wallace i ich następcy? Odpowiem na to krótko. Przedewszystkiem żaden przyrodnik nie może wątpić, że pojęcie walki o byt, rozciągnięte na całą przyrodę ożywioną, jest jednym z najpotężniejszych uogólnień wieku XIX. Życie j e s t walką i w walce tej utrzymują się przy życiu najzdatniejsi. Atoli jeśli postawimy pytanie: „jaką bronią przeważnie prowadzona jest ta walka?“ i „kto w niej jest najzdatniejszy?“, odpowiedzi będą różne, zależnie od różnych postaci walki; a mianowicie — chodzić tu będzie o to, czy mamy do czynienia z bezpośrednią walką o jadło i życie pomiędzy oddzielnemi jednostkami, czy też z tą walką, którą Darwin określał jako pojmowaną w znaczeniu metaforycznem, walką, będącą często kollektywnem zmaganiem się z przeciwnościami. Nikt nie zaprzeczy, że wewnątrz gatunków istnieje w pewnej mierze rzeczywiste spółzawodnictwo o jadło — przynajmniej w niektórych okresach. Chodzi jednak o to, czy spółzawodnictwo dosięga tego napięcia.

o którem mówili Darwin i Wallace? a także czy spółzawodnictwo odegrało rzeczywiście w rozwoju świata zwierzęcego przypisywaną mu rolę?

Myślą przewodnią dzieła Darwina jest niewątpliwie myśl o spółzawodnictwie o jadło i możność pozostawienia potomstwa; spółzawodnictwo to zachodzi wewnątrz każdej grupy zwierzęcej. Darwin niejednokrotnie mówi o obszarach, całkowicie nasyconych życiem zwierzęcem i z tego nasycenia wnioskuje o konieczności spółzawodnictwa. Jeśli jednak w dziele jego poszukamy rzeczywistych dowodów tego spółzawodnictwa, przyznać musimy, że bynajmniej nie są one przekonywujące. Gdy sięgniemy do rozdziału zatytułowanego „Walka o byt jest najsilniejsza pomiędzy jednostkami i odmianami tego samego gatunku", przekonamy się, że rozdział ten bynajmniej nie obfituje w to mnóstwo przykładów, do których tak przyzwyczailiśmy się u Darwina. Walka pomiędzy jednostkami tego samego gatunku nie jest zilustrowana w tym rozdziale ani jednym przykładem. Uważa się ją za pewnik, nie wymagający dowodzenia. Spółzawodnictwo pomiędzy blizko spokrewnionymi gatunkami zilustrowane jest tylko kilku przykładami, a z nich co najmniej jeden (odnoszący się do dwóch gatunków drozdów) jest teraz podawany w wątpliwość. Jeśli poszukamy więcej szczegółów, które mogłyby nas przekonać, że zanikanie jednego gatunku było rzeczywiście wywołane przez rozwój innego, Darwin ze swą zwykłą prostotą powie nam:

„Nie trudno domyśleć się, dlaczego spółzawodnictwo pomię-„dzy formami pokrewnymi, zajmującymi w przyrodzie mniej wię-„cej to samo miejsce, musi przybierać postać najostrzejszą; lecz „jak się zdaje, nie mamy danych do powiedzenia, dlaczego jakiś „gatunek został zwycięzcą w walce o byt".

Co się tyczy Wallace'a, podającego te same fakty pod nieco zmienionym tytułem („Walka o byt pomiędzy zwierzętami i roślinami spokrewnionymi c z ę s t o przybiera postać najostrzejszą") czyni on uwagę rzucającą na całe zagadnienie światło nieco odmienne:

„W niektórych wypadkach niewątpliwie istnieje walka po-„między dwoma przeciwnikami, z których silniejszy zabija słab-„szego; lecz bynajmniej nie jest to konieczne i istnieją przypadki, „kiedy gatunek słabszy fizycznie może zwyciężyć, dzięki swej

„zdolności szybszego rozmnażania się, większej odporności na kli-
„mat lub dzięki swej większej przebiegłości w unikaniu spólnych
„nieprzyjaciół".

W tych razach to, co nazywa się spółzawodnictwem, może zupełnie niem nie być. Jeden gatunek zanika nie dlatego, żeby był wytępiony lub wygłodzony przez drugi, lecz dlatego, że nie może tak dobrze jak tamten przystosować się do nowych warunków. Termin „walka o byt" może tu być ujmowany tylko w znaczeniu metaforycznem. Co się tyczy rzeczywistego spółzawodnictwa pomiędzy jednostkami tego samego gatunku, to zaznaczyć należy, że podany przykład bydła południowo-amerykańskiego podczas suszy — posiada wartość wątpliwą, ponieważ zaczerpnięty jest z życia zwierząt domowych. Bawoły w takich okolicznościach emigrują i unikają spółzawodnictwa. Bardzo ostra — dowiedziona niewątpliwie — walka o byt istnieje pomiędzy roślinami; ale rośliny, jak zaznacza sam Wallace, „muszą żyć wszędzie, gdzie wypadnie", gdy zwierzęta posiadają możność w znacznej mierze wybierania swego miejsca pobytu. I oto znowu dochodzimy do pytania w jakich rozmiarach istnieje rzeczywiste spółzawodnictwo wewnątrz każdego gatunku zwierzęcego? I na czem założone było przyjęcie tego spółzawodnictwa.

To samo odnosi się do tego pośredniego argumentu na rzecz ostrej walki o byt wewnątrz gatunku, który może być wyprowadzony z tak często wspominanego przez Darwina „wytępienia odmian częściowych". Jak wiadomo, Darwin przez długi czas niepokoił się z powodu braku form pośrednich pomiędzy blizko spokrewnionymi gatunkami i rozwiązanie znalazł w wytępieniu form pośrednich. Atoli uważne przeczytanie tych rozdziałów, w których Darwin i Wallace mówią o tym przedmiocie, rychło doprowadzą do wniosku, że wyraz wytępienie (extermination) bynajmniej nie oznacza tępienia jednych przez drugie; i ta sama uwaga, którą Darwin uczynił odnośnie wyrażenia „walka o byt", może być zrobiona również w zastosowaniu do wyrazu wytępianie. Znowu musimy ujmować go w znaczeniu metaforycznem.

Jeżeli wyjdziemy z przypuszczenia, że jakiś obszar jest całkowicie nasycony przez zwierzęta i że dzięki temu nasyceniu panuje tam ostre spółzawodnictwo o proste środki do bytu, że każde zwierzę zmuszone jest zdobywać pożywienie codzienne w zawziętej

walce przeciwko wszystkim, wówczas zjawienie się nowej i mającej dane do rozwoju odmiany może rzeczywiście oznaczać (choć bynajmniej nie zawsze) to samo, co zjawienie się jednostek uzdolnionych do schwytania więcej jadła, niż normalnie przypaśćby im musiało; wynikiem tego było to, że te jednostki uprzywilejowane ogłodziłyby swe formy rodzicielskie, jak również formy pośrednie, nieposiadające równie rozwiniętych udoskonaleń. Bardzo być może, że sam Darwin właśnie w ten sposób ujmował początkowo zjawianie się nowych odmian, przynajmniej częste używanie wyrazu — wytępienie (extermination) uprawnia do takiego przypuszczenia. Atoli zarówno on, jak Wallace zbyt dobrze znał przyrodę, aby nie wiedzieć, że w żadnym razie nie jest to jedyny przebieg sprawy.

Gdyby na jakimś obszarze, zamieszkanym przez gatunek, warunki fizyczne i biologiczne, a także sama rozciągłość obszaru i przyzwyczajenia zwierząt pozostawały te same, w takim razie nagłe pojawienie się odmiany nowej mogłoby rzeczywiście oznaczać wygłodzenie, czy wytępienie tych wszystkich jednostek, które nie posiadałyby w dostatecznej mierze właściwości, znamionujących odmianę nową. Atoli takiego zbiegu warunków bynajmniej nie widzimy w przyrodzie. Każdy gatunek nieustannie dąży do rozszerzenia miejsca swego zamieszkania; wędrówkom na miejsca nowe podlega zarówno powolny ślimak, jak szybki ptak; zmiany fizyczne nieustannie i wszędzie odbywają się; to też nowa odmiana pomiędzy zwierzętami w znakomitej większości wypadków tworzy się nie dzięki zdobyciu nowej broni do wyrywania jadła z paszczy bliźnim — jadło jest tylko jednym z wielu warunków życia — lecz, jak wskazuje to sam Wallace w pięknie napisanym paragrafie „O zmianach charakteru“, — dzięki nowym przyzwyczajeniom, dzięki przenoszeniu się na nowe miejsca i odżywianiu się nowym pokarmem. A we wszystkich tych wypadkach będziemy mieli do czynienia nie z tępieniem się wzajemnem, ani nie z spółzawodnictwem: przystosowanie się do nowych warunków jest właśnie *wyzwoleniem się z pod spółzawodnictwa, jeśli istniało ono kiedybądź.* I oto po pewnym przeciągu czasu spostrzeżemy nieobecność ogniw pośrednich; a stanie się to dzięki prostemu utrzymaniu się przy życiu form lepiej przystosowanych do nowych warunków. Nie potrzebuję tu dodawać, że im

w większej mierze uwzględnimy wraz ze Spencerem, Lamarckistami i nawet z samym Darwinem zmieniający wpływ środowiska na gatunki, tem dalsi będziemy od uważania walki za jedyny środek usuwania form pośrednich.

Wpływ wędrówek na powstawanie nowych odmian, a także nowych gatunków — zaznaczony przez Moritza Wagnera — zupełnie uznawany był przez samego Darwina. Badania późniejsze uwydatniły tylko znaczenie tego czynnika i wykazały, że wielkość obszaru, zajętego przez pewien gatunek — co Darwin zupełnie słusznie uważał za bardzo ważne dla wystąpienia nowych odmian — może być połączona z wyodrębnieniem się części gatunku. To wyodrębnienie się części gatunku odbywa się dzięki zmianom geologicznym lub przegrodom lokalnym. Nie możemy wchodzić tu w bardziej szczegółowe rozpatrywanie tego zagadnienia; kilka uwag wystarczy dla uprzytomnienia połączonego działania tych czynników. Wiadome jest, że części jakiegoś gatunku niejednokrotnie poczynają odżywiać się nowym pokarmem. Tak np. wiewiórki, gdy zbraknie szyszek w lasach modrzewiowych, przenoszą się do lasów sosnowych i ta zmiana pożywienia wywołuje w nich pewne dobrze znane zmiany fizjologiczne. Jeśli zmiana nie jest trwała — jeśli w roku następnym znowu będzie obfitość szyszek w lasach modrzewiowych — nie doprowadzi to do powstania nowej odmiany wiewiórek. Jeśli jednak obszar, zamieszkany przez wiewiórki, zmieni swój charakter fizyczny — dajmy na to, dzięki złagodnieniu klimatu lub wyschnięciu, co powoduje szybszy wzrost lasów sosnowych w porównaniu do modrzewiowych — i jeśli jakieś inne warunki zmuszą jednocześnie wiewiórki do przebywania na skraju przestrzeni wysychającej—wówczas będziemy mieli do czynienia z nową odmianą, t. j. pocznie się rodzić nowy gatunek wiewiórek, jakkolwiek nie było pomiędzy niemi żadnego tępienia się wzajemnego, żadnego spółzawodnictwa w znaczeniu maltuzjańskiem. To właśnie widzimy na ogromnych obszarach Azji Środkowej, gdzie odbywa się wysychanie, ciągnące się od czasu epoki lodowej.

Weźmy inny przykład. Geolodzy wykazali, że obecny koń dziki (E q u u s P r z e w a l s k i) rozwinął się powolnie w ostatnich okresach epoki trzciorzędowej i w epoce czwartorzedowej, lecz że w tym szeregu wieków jego przodkowie bynajmniej nie

ograniczali się do kraju, zamieszkiwanego dzisiaj przez konia dzi=kiego. Wędrowali oni zarówno po starym, jak po nowym świecie, powracając prawdopodobnie po pewnym czasie na te same pa=stwiska, które kiedyś opuścili. To też jeśli nie znajdujemy teraz ważnych ogniw pośrednich pomiędzy dzikim koniem i jego azja=tyckimi przodkami z późnej epoki trzeciorzędowej, bynajmniej nie oznacza to, że ogniwa pośrednie uległy wytępieniu. Tępienie takie zgoła nie miało miejsca. Wewnątrz gatunków zaginionych nie panowała również śmiertelność nadzwyczajna, i jednostki, należące do odmian lub gatunków pośrednich, umierały w sposób zwykły; często pośród pożywienia obfitego; ich szczątki znajdu=jemy po całym globie.

Słowem, jeśli sprawę tę zbadamy starannie i jeśli raz jeszcze uważnie odczytamy to, co pisał Darwin, dojdziemy do wniosku, że wyraz wytępienie (eksterminacja) w zastosowaniu do odmian znikających może być użyty tylko w znaczeniu metaforycznem. Co się tyczy spółzawodnictwa, wyrażenie to, tak często używane przez Darwina, posiada charakter raczej pewnego sposobu wyra=żania się, niż dąży do uwydatnienia rzeczywistego spółzawodni=ctwa pomiędzy częściami tego samego gatunku o środki do życia. W każdym razie nieistnienie form pośrednich bynajmniej nie przemawia na korzyść spółzawodnictwa.

W rzeczywistości głównym argumentem, na którym opiera się teorja spółzawodnictwa, jest rozumowanie „arytmetyczne“, zapożyczone od Malthusa.

Rozumowanie to jednak niczego nie dowodzi. Weźmy np. pewną liczbę wsi południowo=wschodniej Rosji, gdzie mieszkańcy posiadają obfitość jadła, lecz pozbawieni są wszelkich urządzeń hygienicznych; przekonamy się, że w ciągu ostatnich 80=ciu lat liczba urodzin wynosiła tam 60 na 1000, gdy jednocześnie w ciągu tych 80=ciu lat ludność wcale nie wzrosła. Czy mamy wyciągnąć stąd wniosek o istnieniu strasznego spółzawodnictwa pomiędzy mieszkańcami? Wiemy dobrze, że ludność nie pomnażała się po=prostu z tego powodu, iż trzecia część niemowląt umiera przed szóstym miesiącem życia; połowa umiera przed dojściem do 4=ch lat, a z każdej setki urodzonych zaledwie 17=stu dochodzi do lat 20=tu. Nowi przybysze schodzą z widowni, zanim tyle podrosną, aby stali się spółzawodnikami. A skoro takie stosunki panują

pomiędzy ludźmi, to to samo w stopniu jeszcze wyraźniejszym musi panować między zwierzętami. W świecie ptasim niszczenie jajek odbywa się w rozmiarach tak potwornych, że na wiosnę i w pierwszej połowie lata jajka są dla niektórych gatunków głównem pożywieniem; a cóż mówić o burzach lub powodziach, niszczących całe miljony gniazd; co mówić o nagłych zmianach temperatury, tak zabójczych dla młodych ptaków. Każda burza, każda powódź, każde zakradzenie się szczura do gniazda ptasiego, każda nagła zmiana ciepłoty — usuwają masami tych domniemanych spółzawodników, tak groźnych w ujęciu teoretycznem.

Znane są fakty nadzwyczaj szybkiego rozmnożenia się koni i bydła w Ameryce, królików w Nowej Zelandji, a nawet niektórych zwierząt dzikich, przywiezionych z Europy (gdzie zbytnie rozmnażanie się ich powstrzymuje wpływ człowieka, a nie spółzawodnictwo). Fakty te jawnie przeczą teorji przeludnienia. Skoro konie i bydło mogły tak szybko rozmnożyć się w Ameryce, dowodzi to poprostu, że pomimo całego mnóstwa bawołów i innych przeżuwających nowego świata tamtejsza liczba trawożernych była znacznie niższa od tej, która mogła wyżywić się na prerjach. Skoro mijony przybyszów znalazły obfitość pożywienia, bynajmniej nie doprowadzając do głodu poprzednich mieszkańców prerji, dojść musimy do wniosku, że w Ameryce panował raczej pewien brak trawożernych, a nie ich nadmiar. I mamy powody do twierdzenia, że brak zwierząt jest naturalnym stanem rzeczy na całym świecie; znajdujemy tu tylko drobne wyjątki czasowe. Obecna liczba zwierząt na pewnym obszarze określona jest nie przez najwyższą zdolność wyżywienia tego obszaru, lecz przez najniepomyślniejsze warunki, jakie w danym miejscu zdarzają się. To też spółzawodnictwa bynajmniej nie możemy uważać za stan normalny; inne czynniki wchodzą tu w grę i utrzymują zwierzostan poniżej normy. Spojrzyjmy np. na konie i bydło, pasące się przez cały rok na stepach kraju Zabajkalskiego; przekonamy się, że zawsze pod koniec zimy są one bardzo chude i wyczerpane. Atoli pochodzi to nie stąd, że brak jest jadła dla wszystkich— trawa pokryta zaledwie cienką warstwą śniegu, znajduje się wszędzie w obfitości — lecz z powodu trudności wydobycia jadła z pod śniegu; trudność ta zaś jest jednakowa dla wszystkich koni. Przytem wczesną wiosną zdarzają się dni gołoledzi i jeśli kilka tego rodzaju dni nastąpi po sobie, konie słabną jeszcze bardziej. Skoro

zaś potem przyjdzie zawieja śnieżna, konie giną masami. Wiosenne straty pomiędzy temi zwierzętami są tak wielkie, że w latach niepomyślnych narodziny letnie nie są w stanie pokryć ubytku — tem bardziej, że wszystkie konie są wycieńczone i źrebięta rodzą się słabsze. Dzięki temu liczba koni i bydła jest zawsze niższa od możliwej; w ciągu całego roku znajduje się pasza dla pięciokrotnie lub dziesięciokrotnie większej liczby zwierząt; pomimo to zwierzostan wzrasta bardzo powoli. Dość jednak, aby właściciele tych stad, Burjaci, poczynili bardzo niewielkie zapasy siana na stepie i aby udostępnili je koniom podczas gołoledzi lub śnieżyc, a natychmiast stada się pomnażają. Niemal wszystkie trawożerne i wiele gryzoniów w Azji i Ameryce znajdują się mniej więcej w tych samych warunkach; to też możemy powiedzieć, że nie spółzawodnictwo określa ich liczbę; w żadnej porze roku nie walczą one pomiędzy sobą o pożywienie i jeśli nie dochodzą nigdy do przeludnienia, to przyczyną tego jest klimat, a nie spółzawodnictwo.

Wydaje mi się, że wpływ naturalnych otamowań przeludnienia, a szczególnie ich znaczenie dla hypotezy spółzawodnictwa, nigdy nie było dostatecznie rozważone. Te otamowania tu i owdzie są zaznaczane przez przyrodników, lecz wpływ ich nie był należycie zbadany. A przecie jeśli porównamy działanie otamowań naturalnych ze spółzawodnictwem, ujawni się, że w porównaniu z niemi jest ono czynnikiem bardzo słabym. Tak np. Bates opowiada o olbrzymich ilościach mrówek skrzydlatych, niszczonych podczas wylotu. Spotkał on wielkie mnóstwo mrówek ognistych (*Myrmica saevissima*), strąconych przez wichurę i leżących na brzegu rzeki sznurem grubym na 1—2 cali i ciągnącym się przez kilka kilometrów. Miljardy mrówek są w ten sposób niszczone przez przyrodę, która mogłaby wyżywić ich sto razy więcej, niż żywi obecnie. Leśnik niemiecki, Dr. Altum, który napisał bardzo zajmującą książkę o szkodliwych zwierzętach naszych lasów, również przytacza wiele przykładów, ujawniających olbrzymie znaczenie otamowań naturalnych. Mówi on, że parę dni mroźnych lub zimnych i wilgotnych w czasie wylęgania się sosnówki (*Bombyx pini*) niszczy ją miljardami; a na wiosnę r. 1871 mole te zniknęły odrazu, prawdopodobnie zabite przez kilka nocy zimnych. Podobne przykłady możnaby podać odnośnie różnych

owadów wielu krajów europejskich. Dr. Altum wspomina również o ptasich nieprzyjaciołach sosnówki i o olbrzymich ilościach jej jajek, niszczonych przez lisy; dodaje jednak, że najstraszniejszym wrogiem tego mola są grzybki pasożytnicze, zarażające go od czasu do czasu. Co się tyczy różnych gatunków myszy (Mus sylvaticus, Arvicola arvalis i A. agrestis) ten sam autor podaje długą listę jej wrogów, lecz zaznacza: „najgroźniejszym jednak wrogiem myszy są nie zwierzęta, lecz nagłe zmiany temperatury, zdarzające się co roku". Mróz następujący po dniu ciepłym zabija niezliczone mnóstwo myszy; „w ciągu jednego dnia liczba ich spaść może od tysięcy do kilku jednostek". Z drugiej strony łagodna lub powoli przychodząca zima sprzyja nadzwyczajnemu ich rozmnażaniu się; miało to np. miejsce w r. 1876 i 1877. Widzimy tu, że spółzawodnictwo jest czynnikiem bardzo słabym w porównaniu ze zmianami pogody. Podobne fakty znane są również odnośnie wiewiórek.

Wiadomo jest, jak bardzo cierpią ptaki z powodu zmian pogody. Śnieżyce są również zabójcze dla ptaków w dzikich miejscowościach Anglji jak w Syberji; i Ch. Dixon widział, jak cietrzewie czerwone (Lagopus scoticus) podczas ostrej zimy porzucały miejscowości niedostępne i przychodziły niemal na ulice miasta Scheffield. Długotrwałe deszcze równie są dla nich zabójcze.

Z drugiej strony choroby zaraźliwe, nieustannie szerzące się pomiędzy zwierzętami, niszczą je w takiej liczbie, że powstałych stąd strat nie mogą wynagrodzić następujące potem lata choćby najszybszego rozmnażania się. Tak np. mniej więcej 60 lat temu nagle zniknęły susły w okolicach Sarepty, w Rosji południowo-wschodniej; stało się to dzięki epidemji. I potrzeba było kilku lat, zanim pojawiły się w ilości dawniejszej.

Takich faktów, ujawniających mały wpływ spółzawodnictwa, moglibyśmy podać bardzo dużo. Możnaby tu wprawdzie powiedzieć z Darwinem, że każda istota organiczna w pewnym okresie swego życia i w pewnej porze roku, w ciągu życia każdej generacji, lub też w odległości wielkich okresów, zmuszona jest do walki o byt i podlega wielkiemu wytępieniu i że przez okresy te przechodzą zwycięsko tylko jednostki najzdatniejsze. Atoli gdyby rozwój świata zwierzęcego oparty był wyłącznie, lub choćby tylko

głównie, na utrzymaniu się przy życiu jednostek najwytrzymalszych w okresach klęski, gdyby dobór naturalny ograniczał się do okresów wyjątkowej suszy lub nagłych zmian temperatury czy powodzi — w świecie zwierzęcym panowałoby raczej cofanie się niż postęp. Widzimy, że w świecie ludzkim ci, którzy przejdą głód, ostrą epidemję cholery, ospy lub dyfterytu — jak to zdarza się w krajach niecywilizowanych — bynajmniej nie należą do najsilniejszych, najzdrowszych i najinteligentniejszych. Żaden postęp nie może być na nich oparty; tembardziej, że ci, przetrzymujący klęskę wychodzą z niej zwykle ze zdrowiem zrujnowanem, podobnie jak owe konie zabajkalskie lub załoga fortecy, zmuszona do życia przez dłuższy czas połową racji żywnościowej, wychodzi z tego doświadczenia ze zdrowiem zrujnowanem i ujawnia potem śmiertelność nadmierną. Wszystko, co dobór naturalny w czasach klęski zdziałać może, to ochronienie jednostek, przystosowanych szczególnie do znoszenia wszelkiego rodzaju braków. Tak dzieje się pomiędzy syberyjskiemi końmi i bydłem. Są one wytrzymałe i w razie potrzeby mogą żywić się choćby brzozą polarną; wytrzymałe są na zimno i głód. Ale żaden koń syberyjski nie pociągnie nawet połowy tego, co bez trudu ciągnie koń europejski; syberyjska krowa nie daje nawet połowy mleka krowy europejskiej, i żaden mieszkaniec krajów dzikich nie może być w wydajności swej pracy porównany z europejczykiem. Lepiej znoszą głód i zimno, lecz ich siły fizyczne są znacznie niższe od sił dobrze odżywionego europejczyka, a ich postęp umysłowy jest rozpaczliwie powolny. „Zło nie może zrodzić dobra“ jak powiedział Czernyszewski w swej pracy o darwinizmie.

Na szczęście spółzawodnictwo bynajmniej nie jest prawem w świecie zwierzęcym i ludzkim. Ograniczone jest ono pomiędzy zwierzętami do okresów wyjątkowych i dobór naturalny odbywa się na innem polu. Lepsze warunki życia stwarzane są przez u s u n i ę c i e s p ó ł z a w o d n i c t w a dzięki pomocy wzajemnej. W wielkiej walce o byt — w wielkiej walce o możliwie największą pełnię i intensywność życia przy jak najmniejszej stracie energji — dobór naturalny nieustannie szuka sposobów uniknięcia spółzawodnictwa. Mrówki łączą się w mrowiska i całe narody; zapełniają swoje piwnice, hodują sobie bydło — i w ten sposób unikają spółzawodnictwa, a dobór naturalny wyróżnia z pośród rodziny

mrówek te gatunki, które zdolne są najlepiej uniknąć spółzawodnictwa i jego następstw zabójczych. Większa część naszych ptaków z chwilą przybliżania się zimy posuwa się na południe, zbiera się w gromady nieprzeliczone i podejmuje długie podróże — wszystko w celu uniknięcia spółzawodnictwa. Wiele gryzoniów usypia na czas, kiedy musiałyby stanąć wobec spółzawodnictwa; jednocześnie inne gryzonie gromadzą żywność na zimę, skupiając się w wielkich wsiach, których mieszkańcy pomagają sobie nawzajem i bronią się. Renifer, gdy braknie mu mchów, przenosi się ku morzu. Bawoły przechodzą całe kontynenty w poszukiwaniu obfitego jadła. Bobry zaś, gdy staną się zbyt liczne na jakiej rzece, rozdzielają się na dwie części i starsze udają się w dół rzeki, gdy młodsze idą w górę — znowu dla uniknięcia spółzawodnictwa. Gdy zwierzęta nie mogą ani usnąć, ani wywędrować, ani nagromadzić zapasów, ani same wyhodować pożywienia, jak to czynią mrówki, uciekają się do tego, co tak interesująco opisuje Wallace jako zwyczaj drozda: zabierają się do nowego pożywienia—i w ten sposób znowu unikają spółzawodnictwa.

„Nie walczcie ze sobą nawzajem! — spółzawodnictwo jest zawsze szkodliwe dla gatunku; posiadacie masę sposobów uniknięcia go!“ — Oto dążenie przyrody; nie zawsze wprawdzie urzeczywistniające się w pełni, niewątpliwie jednak zawsze istniejące. Oto jest ostrzeżenie, płynące ku nam od zarośli, lasów, rzek i mórz. „Łączcie się — stosujcie pomoc wzajemną! To są środki najniezawodniejsze zapewnienia każdemu bezpieczeństwa największego, to najpewniejsza gwarancja postępu zarówno cielesnego, jak umysłowego i moralnego“. Taką lekcję daje nam przyroda; i tego trzymają się te wszystkie zwierzęta, które doszły do rozumu najwyższego. Nie inaczej też postępował człowiek — człowiek najbardziej pierwotny. I dzięki temu właśnie dosięgnął on tego stanowiska, na którem stoi obecnie — jak to zobaczymy z rozdziałów następnych, poświęconych pomocy wzajemnej w społeczeństwie ludzkiem.

ROZDZIAŁ III.

POMOC WZAJEMNA POMIĘDZY DZIKIMI.

Domniemana walka wszystkich przeciw wszystkim. — Plemienne pochodzenie społeczeństwa ludzkiego. — Rodzina oddzielna zjawia się późno. — Buszmeni i Hotentoci. — Australijczycy i Papuasi. — Eskimosi i Aleuci. — Życie ludzi dzikich jest niezrozumiałe dla Europejczyków. — Pojęcie sprawiedliwości u Dajaków. — Prawo obyczajowe.

W rozdziałach poprzednich rozpatrzyliśmy pokrótce olbrzymią rolę pomocy wzajemnej w rozwoju świata zwierzęcego. Należy teraz spojrzeć na zadanie tego czynnika w rozwoju ludzkości. Widzieliśmy, że gatunki zwierzęce, żyjące w pojedynkę, są bardzo nieliczne i przeciwnie — gatunki towarzyskie, zrzeszające się bądź dla obrony, bądź w celach myśliwskich, dla gromadzenia pokarmów, wychowywania potomstwa, lub poprostu dla samej przyjemności przebywania w gromadzie — są niezliczone. Widzieliśmy również, że jakkolwiek pomiędzy różnemi grupami zwierząt i różnymi gatunkami a niekiedy pomiędzy oddzielnemi plemionami tego samego gatunku zachodzi walka, przyjąć możemy, że prawem panującem wewnątrz plemienia i gatunku jest pokój i pomoc wzajemna; a także, że te gatunki, które najlepiej umieją łączyć się w celu uniknięcia spółzawodnictwa, posiadają najwięcej danych do utrzymania się przy życiu i do rozwoju dalszego. Gatunki towarzyskie rozwijają się, gdy przeciwnie, nietowarzyskie zanikają.

Byłoby czemś przeciwnem wszystkim prawom natury, gdyby człowiek stanowił tu jakiś wyjątek: gdyby istota tak bezbronna, jak człowiek w początkach swego istnienia, nie znajdowała podtrzymania w pomocy wzajemnej, tak zwykłej u innych zwierząt, i gdyby, nierozsądnie oddając się spółzawodnictwu o korzyści osobiste, nie dbała zupełnie o interesy gatunku. Tego rodzaju przypuszczenie jest nie do przyjęcia dla umysłu oswojonego z jedno-

ścią przyrody. A jednak pomimo całej niefilozoficzności i nieprawdopodobieństwa takiego przypuszczenia, mniemaniu temu nie gdy nie brakło obrońców. Po wsze czasy istnieli pisarze wypowiadający poglądy pesymistyczne na ludzkość. Znali oni życie ludzkie powierzchownie lub tylko z własnego ograniczonego doświadczenia; z historji wiedzieli tylko tyle, ile podali im analitycy, zawsze wyławiający wojny, okrucieństwa i prześladowania; stąd też dochodzili oni do wniosku, że ludzkość jest luźnem zbiorowiskiem istot, zawsze gotowych do walki wzajemnej i ograniczanych w swych instynktach tylko przez wpływ jakiejś władzy.

Takiego zdania był Hobbes. I gdy niektórzy z jego naśladowców w w. XVIII usiłowali dowieść, że w żadnej epoce dziejów ludzkich — nawet w czasach najbardziej pierwotnych, — ludzie nie żyli w stanie ciągłej walki; że ludzie byli uspołecznieni nawet w „stanie przyrody", że wreszcie raczej nieuświadomienie niż naturalne złe skłonności doprowadzają człowieka do wszystkich okropności późniejszego życia historycznego — sam on, wprost przeciwnie, był zdania, że t. zw. „stan przyrody" był tylko nieustanną walką jednostek przygodnie zegnanych razem przez jakiś przypadek ich zwierzęcego bytowania. Nauka wprawdzie od czasu Hobbes'a znacznie posunęła się naprzód i możemy dzisiaj opierać się na przesłankach mocniejszych niż spekulacje Hobbes'a lub Rousseau. Filozofja Hobbes a jednak wciąż ma jeszcze swych zwolenników; i oto w ostatnich czasach mieliśmy niemal całą szkołę pisarską, która, przejąwszy się raczej terminologją Darwina, niż jego przewodniemi myślami, oparła się na jego poglądach, jako na argumentach na korzyść Hobbes'a. Pisarzom tym udało się nawet nadać wszystkiemu pozory naukowości. Jak wiadomo, na czele tej szkoły stał Huxley i w pracy napisanej w r. 1888 przedstawił człowieka pierwotnego jakby jakiegoś tygrysa czy lwa, zupełnie pozbawionego pojęć etycznych, nieustannie walczącego o byt i pędzącego życie ciągłego zmagania się; jak sam powiada — „poza „czasowymi i ograniczonymi stosunkami rodzinnymi walka wszy„stkich przeciw wszystkim, taka, jaką pojmował Hobbes, była „wówczas normalnem odbiciem życia".

Mówiliśmy już, że głównym błędem Hobbes'a i filozofów wieku XVIII-go było złudzenie, jakoby ludzkość zaczęła swe istnienie w postaci rodzin wędrownych; te rodziny ludzkie przypo-

minać miały „ograniczoną i czasową“ rodzinę wielkich drapieżców; — gdy w rzeczywistości nie znajdujemy nic podobnego. Wogóle nie posiadamy żadnych dowodów bezpośrednich, w jaki sposób żyły pierwsze istoty człekopodobne. Nie wiemy nawet napewno, kiedy istoty te zjawiły się po raz pierwszy; geologowie skłaniają się do uznawania ich śladów w pljocenicznych a nawet w mjocenicznych warstwach epoki trzeciorzędowej. Jeśli jednak sięgniemy do metody pośredniej, możemy rzucić nieco światła na tę starożytność odległą. W ciągu ostatnich 40-tu lat przeprowadzono bardzo staranne badania instytucji społecznych ras najniższych i ujawniło się, że pomiędzy spółczesnemi instytucjami ludzi dzikich znajdujemy ślady instytucji jeszcze starszych, oddawna zaginionych, które jednak pozostawiły ślady niewątpliwe. Rozwinęła się cała embrjologja instytucji ludzkich, i mamy ją w dziełach Bachofen‘a, Mac Lennan‘a, Morgan‘a, Edwarda B. Tylor‘a, Maine‘a, Post‘a, Kowalewskiego, Lubbock‘a i wielu innych. Nauka ta ustaliła, że ludzkość bynajmniej nie zaczęła życia w postaci małych rodzin oddzielnych.

Rodzina nietylko nie jest najpierwotniejszą formą organizacji, lecz przeciwnie — to bardzo późny wytwór rozwoju ludzkiego. Ile tylko możemy sięgnąć w paleo-etnologję, znajdujemy człowieka żyjącego towarzysko — w plemionach podobnych do plemion wyższych ssaków; i trzeba było rozwoju bardzo długiego, aby gromady te doprowadzić do stanu organizacji rodowej lub klanowej, od której znowu długa droga wiedzie do zaczątków rodziny, poligamicznej lub monogamicznej. Społeczeństwa, hordy, gromady lub plemiona — lecz bynajmniej nie rodziny — oto najpierwotniejsze formy spółżycia naszych przodków. Do takich wniosków doszła etnologja po szeregu pracowitych poszukiwań. To zaś jest wniosek, który mógł być zgóry przewidziany przez zoologa. Żaden ze ssaków wyższych, z wyjątkiem nielicznych mięsożerców i paru niewątpliwie zanikających gatunków małp (orangutang, goryl), nie żyje w drobnych rodzinach, oddzielnie błądzących po lasach. Wszędzie spotykamy życie społeczne. Darwin dobrze rozumiał, że żyjące pojedyńczo małpy nigdy nie mogłyby rozwinąć się w istoty człekopodobne, to też skłaniał się do mniemania, iż człowiek pochodzi raczej od względnie słabszych lecz s p o ł e c z n y c h g a t u n k ó w, jak np. szympans, niż od gatunków silniej-

szych lecz niespołecznych, jak goryl. Widzimy więc, że zoologja i paleo-etnologja zgadzają się, widząc w gromadzie, a nie w rodzinie, najwcześniejszą formę życia społecznego. Pierwsze społeczeństwa ludzkie były poprostu dalszym rozwojem tych społeczeństw, które spotykamy u zwierząt wyższych.

Jeśli teraz przejdziemy do dowodów bezpośrednich, przekonamy się, że najwcześniejsze ślady ludzkie, pochodzące z epoki lodowej lub wczesnej polodowej, wykazują niezbicie, że już wówczas człowiek żył w społeczeństwach. Narzędzi kamienych prawie nigdy nie znajdujemy pojedyńczo; gdzie tylko znajdujemy jaki bądź obrobiony krzemień, napewno w blizkości będą inne, nieraz w ilościach bardzo znacznych. W czasach, gdy ludzie mieszkali w jaskiniach, lub pod wystającemi skałami, w towarzystwie ssaków dzisiaj zaginionych, i kiedy z trudem tylko umieli wyrabiać najprostsze topory krzemienne, niewątpliwie znali już korzyści życia społecznego. W dolinach dopływu rzeki Dordogne we Francji, powierzchnia skał jest gdzie niegdzie całkowicie pokryta zagłębieniami, w których niegdyś mieszkał człowiek paleolityczny. Niekiedy te mieszkania skalne wznoszą się piętrami jedne nad drugiemi i niewątpliwie dużo bardziej przypominają kolonje jaskółek niż schroniska mięsożerców. Co się zaś tyczy znajdywanych w tych jaskiniach narzędzi krzemiennych, to — jak mówi Lubbock — „są one wprost nieprzeliczone“. To samo powiedzieć można o innych stacjach paleolitycznych. Z badań Lartet'a, prowadzonych w Aurignac we Francji Południowej, wynika niewątpliwie, że mieszkańcy tamtych okolic urządzali uczty plemienne podczas pogrzebów. Widzimy więc, że ludzie żyli towarzysko i że już w tych epokach odległych znajdujemy zaczątki kultu plemiennego.

To samo ujawnia się jeszcze wyraźniej, jeśli przejdziemy do późniejszej epoki kamiennej. Ślady człowieka neolitycznego są niezliczone, dzięki czemu możemy niemal odtworzyć sposób jego życia. Gdy powłoka lodowa (która rozciągała się od krajów Polarnych do Francji środkowej, środkowych Niemiec i Rosji środkowej, pokrywając całą Kanadę i część Stanów Zjednoczonych), poczęła topnieć i cofać się, przestrzenie uwolnione od lodów pokryły się najpierw błotami i trzęsawiskami, a później niezliczonemi jeziorami. Wszystkie doliny zalane wodą tworzyły jeziora, nie

było bowiem jeszcze tych trwałych kanałów, które powstały w epokach późniejszych i które stanowią nasze rzeki spółczesne. Gdy badamy zarówno w Europie, w Azji i Ameryce wybrzeża niezliczonych jezior ówczesnych — a epoka ta winna raczej nazywać się epoką jezior — wszędzie znajdujemy ślady człowieka neolitycznego. Ślady te są tak liczne, że zadziwiać nas musi gęstość ówczesnego zaludnienia. „Stacje" człowieka neolitycznego położone są blizko jedna od drugiej na tarasach, tworzących dzisiaj wybrzeża jezior dawniejszych. I na każdej z tych stacji narzędzia kamienne występują tak obficie, że nie ulega kwestji, iż mieszkały tam plemiona liczne w ciągu bardzo długiego czasu. Archeologowie odnaleźli całe warsztaty narzędzi kamienych, dowodzące liczby robotników schodzących się razem.

W okresie późniejszym, którego znamieniem są naczynia gliniane, znajdujemy liczne odpadki kuchenne; — najsławniejsze z nich są w Danji. Jak wiadomo, występują one w postaci kup grubych na 5 do 10 stóp, rozciągających się na szerokości od 100 do 200 stóp i na 1000 stóp długich; w niektórych miejscach nad brzegiem morza są one tak pospolite, że przez długi czas uważane były za twory naturalne. A jednak nie zawierają nic innego prócz odpadków rzeczy, któremi kiedyś posiłkował się człowiek; są one tak gęsto naszpikowane wytworami ręki ludzkiej, że Lubbock w ciągu dwudniowego pobytu w Milgeard wykopał nie mniej niż 191 sztuk narzędzi kamiennych i 4 kawałki garnków. Same rozmiary tych kup odpadków kuchenych dowodzą, że żyły tutaj nieprzeliczone pokolenia, zgromadzone w plemionach, które prawdopodobnie pozostawały nawzajem w stosunkach niemniej pokojowych, niż mieszkańcy Ziemi Ognistej, wytwarzający w naszych czasach takie same wały odpadków kuchennych.

Szwajcarskie mieszkania nawodne, będące krokiem dalszym w pochodzie cywilizacji, są jeszcze wymowniejszym dowodem życia i pracy społecznej. Jak wiadomo, nawet w epoce kamiennej wybrzeża jezior szwajcarskich obsadzone były szeregami wsi, z których każda składała się z kilku chat, zbudowanych na platformie, opartej o liczne słupy, wbite w dno jeziora. Nad jeziorem Lemańskiem odkryto nie mniej niż 24 wsie, pochodzące z epoki kamiennej; nad jeziorem Konstancją znaleziono 32 wsie, nad Neuchatel 46 i t. d. Każda z takich wsi jest niewątpliwym dowodem

pracy wykonanej spólnie przez całe plemię, a nie przez rodzinę. Stwierdzono nawet, że życie w tych mieszkaniach nawodnych musiało płynąć szczególnie pokojowo. Również pokojowe życie spotykamy u tych ludów pierwotnych, które do dnia dzisiejszego żyją we wsiach podobnych, zbudowanych na wybrzeżach morskich.

Widzimy więc z tych paru spostrzeżeń pobieżnych, że nasza znajomość człowieka pierwotnego ostatecznie nie jest znowu tak uboga i że raczej sprzeciwia się ona wywodom Hobbes'a, niż potwierdza je. Przypuszczenia te mogą być w znacznej mierze potwierdzone przez spostrzeżenia bezpośrednie, czynione na plemionach pierwotnych, które do dnia dzisiejszego znajdują się na poziomie tym samym, jak europejczycy w czasach przedhistorycznych.

Że pierwotne plemiona spółczesne bynajmniej nie są zwyrodniałemi gałęziami rodzaju ludzkiego, posiadającego dawniej cywilizację wyższą, jak to twierdzili niektórzy, zostało dostatecznie udowodnione przez B. Tylor'a i Lubbock'a. Do argumentów, zwalczających teorję degeneracji dodać możemy następujące: — Z wyjątkiem plemion nielicznych, zgromadzonych na wyżynach niedostępnych, spółcześni „dzicy" tworzą pierścień, otaczający mniej lub więcej cywilizowane narody, i zajmujący krańce naszych kontynentów; krańce te w mniejszym lub większym stopniu zachowały charakter wczesnej epoki polodowej. Tacy są Eskimosi i ich krewniacy grenlandcy w Ameryce arktycznej i Syberji północnej; na półkuli południowej zaś Australijczycy, Papuasi, mieszkańcy Ziemi Ognistej i częściowo Buszmeni; podczas gdy wewnątrz obszaru cywilizowanego ludy równie pierwotne spotykamy tylko w Himalajach, na wyżynach Australazji i na płaskowzgórzu Brazylijskiem. Należy przytem pamiętać, że epoka lodowa bynajmniej nie odrazu skończyła się na całej powierzchni ziemi. Do dzisiejszego dnia trwa ona w Grenlandji. To też w czasach kiedy wybrzeża oceanu Indyjskiego, morza Śródziemnego i zatoki Meksykańskiej cieszyły się już klimatem ciepłym i mogły stać się siedzibą cywilizacj wyższej, olbrzymie przestrzenie Europy środkowej, Syberji i Ameryki Południowej, a także Patagonji, Afryki południowej i południowej Australazji pozostawały jeszcze pod działaniem wczesnego okresu polodowego, co czyniło je niedostępne dla narodów strefy ciepłej i umiarkowanej. W krajach tych mieszkali

ludzie podobni do spółczesnych okropnych urmanów z północno-wschodniej Syberji i posiadali wszystkie znamiona wczesnego człowieka z epoki polodowej. Dopiero później, gdy wysychanie udostępniło te ziemie dla rolnictwa, zaludnili je imigranci bardziej cywilizowani; i gdy część dawnych mieszkańców została zasymilowana przez przybyszów, pozostali posunęli się dalej i zajęli kraje dotychczas niezaludnione. Miejscowości zamieszkane przez nich do dnia dzisiejszego, posiadają lub posiadały do niedawna znamiona epoki polodowej; ludy te posiadają narzędzia z epoki neolitycznej i pomimo wszystkich różnic rasowych pomiędzy nimi i pomimo olbrzymich oddzielających ich przestrzeni, ich obyczaje i instytucje społeczne są zadziwiająco podobne pomiędzy sobą. To też musimy patrzeć na nich jak na pozostałości ludów wczesnej epoki polodowej, zamieszkujących dzisiejszy obszar cywilizowany.

, Gdy przystępujemy do badań ludów pierwotnych, uderza nas przedewszystkiem złożoność organizacji małżeńskich, w których one żyją. Rodziny w tem znaczeniu, jakie dzisiaj przypisujemy temu terminowi, bodaj tam nie znajdujemy. Bynajmniej jednak nie są to luźne zbiorowiska mężczyzn i kobiet, schodzących się bezładnie podług kaprysów chwilowych. Wszyscy oni podlegają pewnej organizacji, którą starannie opisał Morgan i nazwał organizacją rodową lub klanową.

Wyrażając się możliwie najkrócej, powiedzieć możemy, że niewątpliwie w zaraniu dziejów przeszła ludzkość okres, który nazwać możemy „małżeństwem komunalnem"; znaczy to, że całe plemię posiadało spólnie mężów i żony bez jakiegobądź względu na pokrewieństwo. Atoli niewątpliwe jest także, że już bardzo wcześnie jawią się ograniczenia tych stosunków zupełnie swobodnych. Bardzo wcześnie pojawia się zakaz małżeństwa pomiędzy synami jednej matki i jej siostrami, jej wnuczkami i ciotkami. Później występuje zakaz małżeństw pomiędzy synami i córkami tej samej matki. Dalsze ograniczenia wnet potem następują. Rozwinęło się pojęcie rodu lub klanu, obejmującego wszystkich domniemanych potomków spólnego pnia (lub raczej tych wszystkich, którzy zgromadzeni byli w jedną grupę), i pojawił się zakaz bezwzględny małżeństwa wewnątrz klanu. Małżeństwo wciąż jeszcze było „komunalne", lecz żona lub mąż musiał być wzięty

z innego klanu. Gdy potem ród zbytnio się rozmnożył i podzielił się na kilka podrodów, każdy z nich rozdzielił się na klasy (zwykle 4) i małżeństwo dozwolone było tylko pomiędzy niektóremi ściśle określonymi klasami. Stan ten spotykamy i dziś jeszcze pomiędzy Australijczykami języków kamilarojskich. Pierwsze zacząłki rodziny spotykamy w organizacji klanowej. — Kobieta schwycona do niewoli podczas walki z innym klanem i która poprzednio należałaby do całego rodu, mogła być w czasie późniejszym zatrzymana przez tego, kto ją porwał, pod warunkiem spełnienia pewnych zobowiązań wobec plemienia. Mężczyzna mógł ją zabrać do oddzielnej chaty po zapłaceniu klanowi pewnego okupu; w ten sposób powstała wewnątrz rodu oddzielna rodzina. Jest to niewątpliwie zaczątek nowego okresu cywilizacyjnego.

Jeśli teraz weźmiemy pod uwagę, że ta organizacja skomplikowana rozwinęła się pomiędzy ludźmi stojącymi na bardzo nizkim stopniu rozwoju i że utrzymywała się w społeczeństwach nie znających innej władzy oprócz opinji publicznej, musimy dojść do wniosku o nadzwyczaj głębokiem zakorzenieniu się instynktów społecznych w naturze ludzkiej. Człowiek dziki, zdolny żyć w tego rodzaju organizacji i dobrowolnie poddający się prawom, nieustannie sprzeciwiającym się jego pożądaniom osobistym, bynajmniej nie jest zwierzęciem pozbawionem zasad etycznych i nie znającem żadnych granic dla swych namiętności. Sprawa jednak staje się jeszcze bardziej zadziwiająca, gdy przypomnimy sobie, jak niezmiernie starą rzeczą jest organizacja klanowa. Wiadomo jest obecnie, że pierwotni Semici, Grecy homeryczni, Rzymianie przedhistoryczni, Germanie Tacyta, pierwotni Celtowie i Słowianie — posiadali swój okres organizacji klanowej, ściśle odpowiadający spółczesnemu okresowi Australijczyków, Indjan czerwonoskórych, Eskimosów i innych mieszkańców „pierścienia dzikiego“. Musimy więc przypuścić, że albo rozwój praw o małżeństwie posunął się temi samemi drogami we wszystkich rasach ludzkich, lub że szczątki praw klanowych rozwinęły się pośród spólnych przodków Semitów, Aryjczyków, Polinezyjczyków i t. d., zanim podzielili się oni na oddzielne rasy, i że prawa te utrzymały się do dnia dzisiejszego pośród ras oddawna oddzielonych od pnia spólnego. Tak czy inaczej, zgodzić się musimy na wielką trwałość tej instytucji, trwałość, której nie mogły naruszyć napaści jednostek,

podejmowane niewątpliwie przez dziesiątki tysiący lat istnienia ludzkiego. Sama trwałość organizacji klanowej wykazuje, jak błędne jest mniemanie, jakoby ludzkość pierwotna była bezładnem nagromadzeniem jednostek, posłusznych jedynie namiętnościom własnym i posiłkujących się jedynie własną przebiegłością i siłą przeciwko wszystkim swoim bliźnim. Indywidualizm nieokiełznany jest zjawskiem spółczesnem, lecz bynajmniej nie znamieniem człowieka pierwotnego.

Przechodząc teraz do dzikich spółczesnych, zaczniemy od Buszmenów, stojących na tak niskim stopniu rozwoju, że nie mają żadnych mieszkań i nocują bądź w jamach wykopanych w ziemi, bądź w szałasach z kilku gałęzi. Jest rzeczą wiadomą, że gdy Europejczycy zaczęli się osiedlać na ich ziemiach, Buszmeni kradli bydło; wywołało to chęć wytępienia Buszmenów. Szczegóły tego tępienia zbyt są okropne, abyśmy mogli je tu opowiedzieć. W r. 1774 zabito 500 Buszmenów, w r. 1808 i 1809 — 3000;, i t. d. Byli oni truci jak szczury; mordowani przez myśliwców ukrytych za ciałem zabitego zwierzęcia; zabijano ich wszędzie, gdzie tylko spotkano. Dzięki temu nasza znajomość życia Buszmenów pochodzi głównie od tych samych ludzi, którzy tępili ich. Pomimo to, wiemy, że w chwili przyjścia Europejczyków, Buszmeni żyli małemi plemionami (lub klanami), niekiedy sfederowanemi pomiędzy sobą; wiemy także, że prowadzili oni łowy spólnie i zgodnie dzielili się zdobyczą, że nigdy nie porzucali swoich rannych i ujawniali żywą uczuciowość w stosunku do towarzyszy. Lichtenstein opowiada historję wzruszającą o Buszmenie, wyratowanym z rzeki przez towarzyszy. Zdjęli oni skóry, któremi byli okryci i odziali go, jakkolwiek sami drżeli z zimna; wysuszyli go, nacierali przed ogniem, mocno namaścili jego ciało tłuszczem gorącym; zabiegi te z niemałym nakładem pracy czynili póty, póki nie przywrócili go do życia. Gdy w Johanie van der Valt spotkali Buszmeni człowieka, odnoszącego się do nich dobrze, wszelkiemi sposobami wyrażali mu swoje przywiązanie. Burchell i Moffat opisują ich jako obdarzonych dobrem sercem, bezinteresownych, dotrzymujących obietnic i wdzięcznych — a jak wiemy, wszystkie te właściwości mogą się rozwinąć tylko w społecznem życiu plemiennem. Co się tyczy ich przywiązania do dzieci, wystarczy powiedzieć, że gdy Europejczyk chce zapewnić sobie posiadanie niewolnicy Busz-

menki, potrzebuje tylko ukraść jej dziecko: matka napewno sama odda się w niewolę, aby dzielić los dziecka.

Takie same zwyczaje charakteryzują Hotentotów, tylko bardzo niewiele wyżej rozwiniętych, niż Buszmeni. Lubbock opisuje ich „jako zwierzęta najbrudniejsze“: i brudni są oni rzeczywiście. Skóra zwierzęca zawieszona na szyi i noszona póty, póki nie rozpadnie się — oto całe ich odzienie; ich chaty — to kilka kijów zestawionych i pokrytych matami, bez jakichbądź sprzętów wewnątrz. Jakkolwiek hodują oni bydło i owce i zdaje się, że znali żelazo przed przybyciem Europejczyków, zajmują jeden ze stopni najniższych na drabinie rozwoju ludzkiego. A przecie wszyscy, znający ich, wysoko chwalą ich uspołecznienie i gotowość do pomagania sobie nawzajem. Gdy damy cobądź Hotentotowi, natychmiast rozdziela on to pomiędzy obecnych; jak wiadomo, zwyczaj podobny bardzo zadziwił Darwina u mieszkańców Ziemi Ognistej. Hotentot nie może jeść sam i choćby był najbardziej głodny, zaprasza przechodniów do swego jadła. Gdy Kolben wyraził swoje zdziwienie z tego powodu, otrzymał za całą odpowiedź: „Taki jest zwyczaj hotentocki“. Nie jest to jednak zwyczaj wyłącznie hotentocki, lecz bardzo powszechny pomiędzy „dzikimi“ wogóle. Kolben, znający dobrze Hotentotów i bynajmniej nie przemilczający ich stron ujemnych, nie mógł się dość nachwalić ich moralności plemiennej.

„Ich słowo jest święte — pisał on. Zupełnie nie znają oni „europejskiego zepsucia i wiarołomstwa. Żyją bardzo spokojnie „i rzadko kiedy walczą z sąsiadami. Możnaby o nich powiedzieć, „że są uosobnieniem przychylności i uprzejmości... Jedną z największych przyjemności dla Hotentota jest rozdawanie podarków „i świadczenie usług swoim blizkim. Uczciwość Hotentotów, ich „sumienność, szybkie wymierzanie sprawiedliwości — wszystko „to rzeczy wyróżniające ich z pomiędzy narodowości świata“.

Tachart, Barrow i Moodie w zupełności poświadczają te poglądy Kolbena. Zaznaczyć tu tylko należy, że wyrażenie Kolbena o Hotentotach, jako o „najbardziej przyjacielskim i najbardziej uprzejmym narodzie na ziemi“ jest zdaniem, powtarzającem się nieustannie w opisach wszystkich ludów dzikich. Przy pierwszem spotkaniu się z ludami pierwotnymi Europejczycy opisują ich życie zwykle w sposób karykaturalny; gdy jednak jaki człowiek in-

mi. Kiklukho-Maclay wylądował na wschodniem wybrzeżu Nowej Gwinei z jednym tylko towarzyszem, przez 2 lata przebywał pomiędzy plemionami, o których mówiono, że są ludożercze, i z żalem opuszczał je; później wrócił do nich jeszcze na rok i nie miał z nimi żadnego zatargu. Pamiętać jednak należy, że zasadą jego było nie mówić nigdy — w żadnych okolicznościach — nieprawdy i nie robić żadnych obietnic, których nie mógłby dotrzymać. Te biedne stworzenia, nie umiejące nawet wywoływać ognia i starannie utrzymujące go w swych chatach, żyją w komunizmie pierwotnym bez jakiejbądź władzy; w osadach Papuasów prawie że niema kłótni poważniejszych. Pracują spólnie i tylko tyle, aby zdobyć pożywienie dzienne; dzieci wychowują spólnie; wieczorami stroją się jak mogą najpiękniej — i tańczą. Jak wszyscy dzicy, niezmiernie lubią tańczyć. Każda osada ma swą b a r l ę lub b a l a j — „długi dom" lub „duży dom" — służący dla mężczyzn nieżonatych na zebrania towarzyskie i dla omawiania spraw ogólnych; — taki dom spólny spotykamy również u wyspiarzy Oceanu Spokojnego, u Eskimosów, czerwonoskórych i t. d. Całe grupy osad znajdują się nieraz w stosunkach przyjaznych i odwiedzają się nawzajem e n b l o c.

Niestety waśnie nie należą do rzadkości — nie są one jednak wynikiem „przeludnienia" lub „ostrego spółzawodnictwa" — tych wynalazków wieku handlowego — lecz głównie wynikiem przesądów. Gdy tylko kto zachoruje, jego krewni i przyjaciele zbierają się i poważnie zastanawiają się nad pytaniem, kto może być przyczyną choroby. Wyszukuje się wszystkich możliwych nieprzyjaciół, każdy wyznaje swe drobne kłótnie — i wreszcie przyczyna rzeczywista zostaje znaleziona. Chorobę sprowadził nieprzyjaciel ze wsi sąsiedniej — i najazd na tę wieś zostaje zdecydowany. Dzięki temu, zdarzają się dość często walki pomiędzy mieszkańcami wsi nadbrzeżnych; oczywiście to samo zachodzi pomiędzy ludożerczymi góralami, uważanymi za prawdziwych wrogów i czarowników — jakkolwiek przy bliższym poznaniu okazują się oni takimi samymi ludźmi przeciętnymi, jak ich sąsiedzi z wybrzeży.

Nie jedną stronicę można zapełnić opisem harmonji wzruszającej, którą spotykamy pomiędzy wyspiarzami Oceanu Spokojnego. Należą oni jednak do wyższego stadjum cywilizacji; to

też po przykłady sięgniemy na północ daleką. Atoli zanim porzucimy półkulę południową, zaznaczyć muszę, że nawet mieszkańcy Ziemi Ognistej, posiadający tak bardzo złą opinję, znacznie zyskują przy bliższem poznaniu. Nieliczni misjonarze francuscy, którzy przebywali pomiędzy nimi, „nie mogą przytoczyć przykładu ani jednej krzywdy, którąby im wyrządzono". Wewnątrz klanów, składających się ze 120 do 150 osobników, stosują oni ten sam komunizm pierwotny, który widzieliśmy u Papuasów: wszystkiem dzielą się pomiędzy sobą, a ze starcami obchodzą się bardzo dobrze. Pomiędzy temi plemionami panuje spokój.

U Eskimosów i u ich krewniaków najbliższych, Tlinketów, Koloszów i Aleutów, znajdujemy przykłady tego, czem był człowiek w epoce lodowej. Ich narzędzia bardzo niewiele różnią się od narzędzi człowieka paleolitycznego; a niektóre plemiona do dnia dzisiejszego nie znają rybołóstwa i polują na ryby przy pomocy pewnego harpunu lub dzidy. Umieją obchodzić się z żelazem, które otrzymują od Europejczyków lub znajdują na rozbitych okrętach. Ich organizacja społeczna jest bardzo pierwotna, jakkolwiek wynurzyli się już ze stanu „małżeństwa komunalnego", lecz więzy rodzinne są często zrywane: mężowie i żony niejednokrotnie bywają zmieniane. Pomimo to rodziny połączone są w klany — i nie mogłoby być inaczej. Jakże zdołaliby oni wytrzymać ciężką walkę o byt, gdyby nie łączyli ściśle swoich sił? Czynią też tak — i widzimy, że więzy plemienne są tem silniejsze, im cięższa jest walka o byt — szczególnie w północno-wschodniej Grenlandji. „Długi dom" jest ich mieszkaniem zwykłem; mieszkają tam liczne rodziny, poprzedzielane jedna od drugiej zasłonami z futer podartych. Środkiem takiego domu idzie korytarz. Niekiedy dom ma kształt krzyża, a w takim razie w środkowym punkcie utrzymywany jest ogień spólny. Ekspedycja niemiecka, która spędziła całą zimę w blizkości jednego z takich „długich domów" zapewnia, że „żadna waśń nie przerwała spokoju, ani jedna kłótnia nie powstała w tem ciasnem mieszkaniu" — i to przez całą długą zimę północną. „Wymyślania lub poprostu słowa niegrzeczne uważane są za coś bardzo nagannego i jeśli zdarzają się to tylko w formie legalnej, jako *pieśń nith* (pieśń urągliwa, śpiewana chórem przez kobiety). Spólne mieszkanie i ścisła zależność wzajemna wystarczyły do utrzymania przez długi szereg

wieków głębokiego poszanowania dla interesów spólnoty, poszanowania tak znamiennego dla życia Eskimosów. Nawet w większych gminach eskimoskich „opinja publiczna była jedynym trybunałem, a kara polegała na zawstydzaniu przestępcy wobec całego zgromadzenia".

Życie Eskimosa oparte jest na komunizmie. Cała zdobycz z polowania lub rybołóstwa należy do klanu. W plemionach poszczególnych, głównie na zachodzie, pod wpływem Duńczyków, własność prywatna powoli się przyjmuje. Posiadają oni jednak szczególne sposoby obejścia niedogodności, powstających dzięki nagromadzeniu bogactwa w rękach jednostki, co musiałoby doprowadzić do zniszczenia jedności plemiennej. Gdy jakiś człowiek wzbogaci się, zwołuje całą ludność swojego klanu na wielką ucztę i, nakarmiwszy ich obficie, dzieli pomiędzy obecnych cały swój majątek. Nad brzegami Yukonu widział Dall rodzinę aleucką, rozdzielającą w ten sposób dziesięć strzelb, dziesięć całkowitych ubrań futrzanych, dwieście sznurków paciorków, wiele kołder, dziesięć skór wilczych, dwieście bobrowych i pięćset gronostajowych. Po tem podziale gospodarze zdjęli swe szaty godowe i również oddali je, a sami odziali się w stare futra zniszczone i wypowiedzieli do obecnych przemówienie, którego treścią było stwierdzenie, że jakkolwiek są teraz biedniejsi niż byli przedtem, ale zjednali sobie przyjaciół. Takie podziały majątku są obyczajem zwykłym u Eskimosów, a zdarzają się w określonych porach roku, po wystawieniu na widok publiczny tego wszystkiego, co przez rok cały udało się zdobyć. Wydaje mi się, że jest to zwyczaj ogromnie stary i uważać go możemy za spółczesny z pierwszem pojawieniem się własności osobistej: według wszelkiego prawdopodobieństwa był to sposób przywracania równości pomiędzy członkami klanu, gdy naruszyło ją zbogacenie się nielicznych. Perjodyczny podział ziemi i perjodyczne umarzanie wszystkich długów znane jest w dziejach ras najrozmaitszych (spotykamy je u Semitów, Arjów, i innych); jest to zapewne przeżytek zwyczaju bardzo dawnego. Tego samego pochodzenia jest zapewne zwyczaj grzebania wraz ze zmarłym, lub niszczenia na jego grobie, tego wszystkiego, co należało doń osobiście; — zwyczaj ten spotykamy u wszystkich ludów pierwotnych. I rzeczywiście — podczas gdy niszczone jest na grobie wszystko to, co

należało do zmarłego osobiście, nie niszczy się nic z własności plemienej — jak np. łodzie lub spólne przybory rybołóstwa. Niszczenie obejmuje tu wyłącznie własność osobistą. W epokach późniejszych zwyczaj ten staje się ceremonją religijną: otrzymuje podkład mistyczny i narzucany jest przez religję, gdy opinja publiczna nie jest dość silna, aby podtrzymywać go. Wreszcie na jego miejscu jawi się bądź spalanie tylko papierowych modeli własności zmarłego (jak to ma miejsce w Chinach) , bądź też widzimy zanoszenie do grobu różnych przedmiotów, które po pogrzebie odnoszone są z powrotem. W tej ostatniej formie zwyczaj ten zachował się i w Europie w postaci niesienia podczas pogrzebu mieczy, orderów i innych odznak wyróżnienia.

W literaturze ogólnej niejednokrotnie podkreślano wysoki poziom etyki klanowej. Pomimo to przytoczę tu opowiadanie o obyczajach Aleutów — blizko spokrewnionych z Eskimosami. Opowiadanie to powstało po dziesięcioletnim pobycie między Aleutami, a autorem jest misjonarz rosyjski Wenjaminow.

„Wytrzymałość — pisał on — jest rzeczywiście ich znamie„niem szczególnem i doprowadzili ją do stopnia bardzo wysokie„go. Codziennie rano chodzą kąpać się do morza pokrytego lodem, „stoją potem nadzy na brzegu, wdychając mroźne powietrze; wy„trzymali są również bardzo na długotrwałą i ciężką pracę przy „jadle niedostatecznem. W razie braku pożywienia Aleuta myśli „przedewszystkiem o dzieciach, oddaje im wszystko, co posiada, „a sam głoduje. Do złodziejstwa bynajmniej nie są skłonni; — „zwrócili na to uwagę wszyscy emigranci rosyjscy. Nie można „wprawdzie powiedzieć, aby nigdy nie kradli; każdy Aleuta przy„zna się, że coś kiedyś ściągnął, zawsze są to jednak drobiazgi „i wszystko posiada charakter dziecinny. Przywiązanie rodziców „do dzieci jest bardzo wzruszające, jakkolwiek nigdy nie wyraża „się w pieszczotach i czułych słowach. Aleuta niełatwo daje obie„tnice, lecz skoro raz obieca coś, dotrzyma napewno.

„Pewien Aleuta podarował raz Wenjaminowowi wiązkę ryb „suszonych; atoli w pośpiechu odjazdu zapomniano o rybach i „Aleuta zabrał je z powrotem do domu. Aż do stycznia nie było „okazji wysłać te ryby Wenjaminowowi; tymczasem w listopadzie „i grudniu Aleuci cierpieli na brak jadła .Pomimo to nie dotknęli „podarowanych ryb i w styczniu wysłali je właścicielowi..

„Ich kodeks moralny jest surowy i różnorodny. Tak np. na-
„stępujące rzeczy uważa się za naganne: bać się śmierci nieuniknio-
„nej; prosić wroga o darowanie życia; zejść z tego świata, nie
„zgładziwszy ani jednego wroga; pozwolić się złapać na gorącym
„uczynku kradzieży; wypaść z łódki w porcie; bać się wyjazdu
„na pełne morze podczas wiatru; osłabnąć przed innymi towarzy-
„szami, gdy zabraknie jadła podczas długiej podróży; ujawnić
„chciwość podczas podziału łowów, przyczem dla zawstydzenia
„chciwca wszyscy oddają mu swe części. Za naganne uważa się
„również: wypaplanie przed żoną tajemnicy społecznej; podczas
„polowania niezaofiarowanie towarzyszowi najlepszej części zdo-
„byczy; chwalenie się swymi czynami, szczególnie jeśli są one
„zmyślone; wymyślanie ze złością; proszenie o jałmużnę; pieszcze-
„nie żony wobec innych i tańczenie z nią; targowanie się osobi-
„ste — sprzedaż zawsze winna być dokonana za pośrednictwem
„osoby trzeciej, która również określa cenę. Dla kobiety uważa
„się za naganne: nie umieć szyć i wogóle niezręcznie wykonywać
„wszelkie prace kobiece; nie umieć tańczyć; pieścić męża i dzieci
„lub rozmawiać z mężem wobec obcych".

Taka jest etyka aleucka, której ilustracją dalszą mogłyby służyć podania i legendy. Dodam do tego, że, gdy pisał Wenjaminow (w r. 1840), zdarzyło się pomiędzy Aleutami jedno jedyne morderstwo w ciągu całego stulecia, pomiędzy ludnością, liczącą 60.000 głów. Nie będzie to nas dziwić, jeśli przypomnimy sobie, że kłótnie, wymyślania, a nawet użycie ostrych słów są zupełnie nieznane pomiędzy Aleutami. Nawet ich dzieci nigdy nie biją się pomiędzy sobą i nigdy nie wymyślają sobie. Najgorsza obelga, do której się posuwają, to powiedzenie: „twoja matka nie umie szyć", lub „twój ojciec jest ślepy na jedno oko".

A jednak niejeden zwyczaj ludów dzikich wprowadza w zakłopotanie Europejczyka. Wysoki poziom solidarności plemiennej i uczuć przychylności wzajemnej stwierdzony jest pomiędzy dzikimi; nie mniej jednak stwierdzone jest, że te same ludy dzikie uprawiają dzieciobójstwo, w niektórych wypadkach porzucają swych starców i ślepo poddają się prawu zemsty krwawej. Musimy więc jakoś wyjaśnić sobie spółistnienie takich faktów, które na pierwszy rzut oka wydają się Europejczykowi sprzeczne nawzajem. Wspomniałem o ojcu Aleucie, który głodził się przez sze-

reg dni i tygodni, oddając całe jadło dziecku; wiemy, że matka Buszmenka gotowa jest zostać niewolnicą z miłości ku dziecku; i mógłbym całe stronice zapełniać przykładami rzeczywiście czułych stosunków pomiędzy dzikimi rodzicami i ich dziećmi. Podróżnicy nieustannie o tem opowiadają. Czytamy o głębokiej miłości macierzyńskiej; to znowu widzimy ojca biegnącego przez las i niosącego na rękach dziecię, które ugryzł wąż; lub jakiś misjonarz opowiada nam o rozpaczy rodziców z powodu straty dziecka, które przed kilku laty wyratował od zamordowania zaraz po urodzeniu; gdzieindziej znowu czytamy, że „dzikie" matki zwykle karmią swe dzieci aż do lat czterech i że na Nowych Hebrydach zdarzają się matki lub ciotki, zabijające się z powodu śmierci dziecka, aby opiekować się niem na tamtym świecie. Przykładów takich możnaby przytoczyć bardzo dużo.

A jednak liczni z tych kochających rodziców uprawiają dzieciobójstwo. Zwyczaj ten (bez względu na formy, które przybrał w czasach późniejszych), powstał zapewne pod ostrym naciskiem konieczności gospodarczych; był to jedyny sposób utrzymania przy życiu dzieci już odchowanych. Dzicy wogóle bynajmniej nie rozmnażają się nieoględnie. Przeciwnie, używają sposobów najrozmaitszych w celu zmniejszenia liczby urodzeń i stosują cały szereg ograniczeń, które dla Europejczyków wydałyby sę czemś dziwacznem. Pomimo to jednak, nie są w stanie wyżywić wszystkich dzieci urodzonych. Zauważono atoli, że skoro tylko pomnożą się środki żywności, natychmiast odstępują od zwyczaju dzieciobójstwa. Wogóle rodzice poddają się temu odrażającemu obowiązkowi bardzo niechętnie i uciekają się do najrozmaitszych wybiegów byle tylko uratować dzieci. Jak to zauważył mój przyjaciel, Elie Reclus, wynaleźli w tym celu szczęśliwe i nieszczęśliwe dni narodzin: dzieci urodzone w dni szczęśliwe, nie mogą być zabijane; rodzice usiłują odsunąć wyrok choćby na kilka godzin, aby potem powiedzieć, że skoro dziecko już przeżyło tyle czasu, to ma prawo pozostać przy życiu. Gdy słyszą krzyki dzieci, dochodzące z lasu, utrzymują, że krzyk taki przynosi nieszczęście całemu plemieniu. Ponieważ zaś nie posiadają europejskich „żłobków", przy pomocy których możnaby się było pozbywać dzieci, każdy cofa się przed koniecznością wykonania wyroku. Wolą też porzucać dziecię w lesie, niż mordować je. Dzieciobójstwo pod-

trzymywane jest przez nieświadomość, a nie przez okrucieństwo. To też dla usunięcia go nie potrzeba kaznodziei — i misjonarze lepiejby zrobili, gdyby poszli za przykładem Wenjaminowa, który co rok aż do późnej starości przepływał na nędznej łódce morze Ochockie lub podróżował w saniach, ciągnionych przez psy, pomiędzy Czukczami, obdzielając ich chlebem i przyrządami do rybołóstwa. Tak czyniąc, rzeczywiście powstrzymywał dzieciobójstwo.

To samo odnosi się do ojcobójstwa, tak efektownie opisywanego przez badaczy powierzchownych. Przekonaliśmy się, że zwyczaj porzucania starców bynajmniej nie jest tak rozpowszechniony, jak to wydaje się niektórym pisarzom. Rozpowszechnienie tego zwyczaju znakomicie przesadzono; spotykamy go jednak niemal pomiędzy wszystkimi dzikimi. A ma on to samo pochodzenie, co dzieciobójstwo. Gdy dziki starzec czuje, że jest już ciężarem swemu plemieniu, gdy co rano jego część jadła musi być odejmowana od ust dzieciom, które nie są tak stoicko usposobione jak ojcowie i krzyczą, gdy są głodne; gdy codziennie musi on być przenoszony przez wybrzeże kamieniste lub przez las dziewiczy na rękach ludzi młodszych — boć niema tam wózków dla paralityków ani jednostek wydziedziczonych, któreby ich woziły — wówczas zaczyna on powtarzać to samo, co chłop rosyjski mówi do dnia dzisiejszego, „czużoj wiek zajedaju, pora na pokoj". I starzec usuwa się. Czyni to samo, co czyni żołnierz w wypadku podobnym. Gdy uratowanie się oddziału zależy od szybkiego posuwania się naprzód, gdy żołnierz iść nie może, a wie, że pozostanie w tyle równa się śmierci, prosi najbliższego przyjaciela o oddanie mu przysługi ostatniej. I przyjaciel drżącymi rękami zwraca broń ku ciału przyjaciela. Dzicy czynią to samo. Starzec sam domaga się śmierci; sam domaga się, aby pozwolono mu spełnić ten ostatni obowiązek względem plemienia i otrzymuje przyzwolenie; sam kopie sobie grób i zaprasza krewnaków na własną stypę. Jego ojciec czynił to samo, a teraz na niego kolej przyszła; i serdecznie rozstaje się z krewniakami. Dziki tak dalece uważa śmierć za jeden ze swoich o b o w i ą z k ó w względem spólnoty, że odmawia, gdy chcemy go wyratować (jak to opowiada Moffat). Gdy pewna niewiasta, którą miano zabić na grobie męża, wyratowana została przez misjonarzy i wywieziona na wyspę, uciekła w nocy, prze-

płynęła szeroką zatokę, dosięgła swego plemienia i umarła na grobie. Stało się to dla niej zagadnieniem religijnem. Wogóle jednak dzicy wzdrygają się przez zabiciem kogoś inaczej, niż w walce, i nikt z nich nie chce wziąć na siebie krwi ludzkiej; w tym celu wymyślono cały szereg wybiegów, zwykle tak niewłaściwie pojmowanych przez Europejczyków. Najczęściej porzucają starców w lesie, pozostawiając przy nich większą niż zwykle porcję jadła. Europejskie wyprawy polarne czyniły to samo, gdy nie mogły już nieść dalej swych chorych towarzyszy. „Żyj jeszcze dni parę, a b y ć m o ż e, znajdzie się jakiś ratunek niespodziewany!".

Uczeni zachodnio-europejscy, gdy spotkają się z tymi faktami, zupełnie nie wiedzą, co począć. Nie umieją pogodzić ich z wysokim rozwojem etyki plemiennej i wolą poddać w wątpliwość ścisłość zupełnie wiarogodnych spostrzeżeń, zamiast usiłować wyjaśnić istnienie równoległe dwóch szeregów faktów: wysokiej moralności plemiennej z jednej strony — i porzucania starców i dzieciobójstwa z drugiej. Gdyby jednak ten sam Europejczyk opowiedział dzikiemu, że ludzie bardzo dobrze wychowani i uprzejmi, bardzo kochający swoje dzieci i tak wrażliwi, że wzruszają się głęboko na widok nieszczęścia, udawanego na scenie, żyją w Europie o kilkanaście kroków od nor, w których umierają dzieci poprostu z braku jadła—dziki również nie zrozumiałby ich. Przypominam sobie, jak daremne były moje wysiłki, aby wytłumaczyć mym przyjaciołom Tunguzom podstawy naszej cywilizacji indywidualistycznej; nic zrozumieć nie mogli i wpadali na pomysły najbardzej fantastyczne. Sprawa polega na tem, że dziki, przyzwyczajony do solidarności plemiennej zarówno w złem jak w dobrem, zupełnie nie może zrozumieć „etycznego" Europejczyka, któremu zupełnie obca jest ta solidarność; tak samo Europejczyk nie może zrozumieć dzikiego. Gdyby jednak uczony europejski spędził jakiś czas pośród plemienia, przymierającego głodem i posiadającego zapas jadła zaledwie z dnia na dzień, wówczas zapewne zrozumiałby ich pobudki. Podobnie człowiek dziki, gdyby zamieszkał pomiędzy nami i otrzymał nasze wychowanie, doszedłby zapewne do pojmowania naszej europejskiej obojętności względem sąsiadów i naszych towarzystw dobroczynności. „W domach kamiennych mieszkają serca kamienne" — mówią

chłopi rosyjscy. Ale aby zrozumieć to, trzeba najpierw mieszkać w domu kamiennym.

Niemal to samo powiedzieć możemy o ludożerstwie. Biorąc pod uwagę wszystko, co w tej sprawie było powiedziane przez paryskie towarzystwo antropologiczne i także liczne spostrzeżenia, nagromadzone w literaturze, odnoszącej się do ludów dzikich, dochodzimy do wniosku, że zwyczaj ten został wprowadzony przez surową konieczność; później zaś rozwinął się pod wpływem przesądów i religji do tych rozmiarów nadzwyczajnych, które widzimy na wyspach Fidżi i w Meksyku. W rzeczywistości wielu dzikich aż do dnia dzisiejszego zmuszonych jest do zjadania ciał zgniłych. A w niektórych wypadkach, w czasach głodu, są oni doprowadzeni do odgrzebywania ciał ludzkich nawet podczas epidemji. Są to fakty zupełnie niewątpliwe. Jeśli jednak przeniesiemy się w warunki, w których żył człowiek w czasie epoki lodowej, w klimacie wilgotnym i zimnym i mając do rozporządzenia tylko bardzo niewiele jadła roślinnego; jeśli weźmiemy pod uwagę te spustoszenia straszliwe, które pomiędzy źle odżywionymi ludźmi dzikimi czyni szkorbut, i jeśli przypomnimy sobie, że mięso i świeża krew—to jedyne znane przez nich środki odżywiania się—przyznać musimy, że człowiek, który początkowo był zwierzęciem roślinożernem, stał się mięsożercą podczas epoki lodowej. Było wówczas dużo jeleni, lecz w krajach arktycznych jelenie często emigrują i zdarza się, że w ciągu całych lat niema ich zupełnie. W takich czasach traci człowiek ostatni sposób utrzymania się przy życiu. Wówczas też ucieka się do ludożerstwa; a nie zapominajmy, że tego samego środka chwytali się również Europejczycy, gdy znaleźli się w podobnych warunkach. Dzicy arktyczni aż do czasów obecnych niekiedy zjadają ciała swych własnych zmarłych; niegdyś musieli zjadać ciała tych, którzy i tak mieli umrzeć. Starcy umierali przekonani, że śmiercią swoją oddają ostatnią przysługę plemieniu. Oto dlaczego niektóre plemiona przypisują ludożerstwu pochodzenie boskie; niekiedy zaś mówią, że zostało to nakazane przez posła, zstępującego z nieba. W ostatnich czasach ludożerstwo przestało być koniecznością i jest tylko przeżytkiem i przesądem. Wrogów zwykle zjada się w celu odziedziczenia ich odwagi; w czasach późniejszych w tym samym celu zjadano oko lub serce wroga; jednocześnie zaś u innych plemion

posiadających licznych kapłanów i mitologję rozwiniętą, spotykamy złych bogów, spragnionych krwi ludzkiej i kapłani wynaleźli ofiary ludzkie w celu uspokojenia bogów. W tym okresie swego rozwoju, jako obrządek religijny, kanibalizm osiągnął swe znamiona najbardziej odrażające. Znane są przykłady meksykańskie; podobnie na wyspach Fidżi, gdzie król może zjeść każdego ze swych poddanych, znajdujemy potężną kastę kapłańską, skomplikowaną teologję i samowładztwo w pełnym rozwoju. Zrodzony przez konieczność, kanibalizm stał się później instytucją religijną i w tej formie przetrwał długo u tych plemion, które niegdyś niewątpliwie praktykowały go w formie pierwotnej.

To samo powiedzieć należy odnośnie dzieciobójstwa i porzucania starców. W niektórych wypadkach zwyczaje te utrzymały się jako przeżytek z czasów dawnych, jako tradycyjny zwyczaj religijny.

Na zakończenie należy jeszcze powiedzieć słów parę o zwyczaju, dającym również powód do wniosków bardzo błędnych. A mianowicie o zemście krwawej. Wszyscy dzicy są przekonani, że krew rozlana musi być pomszczona przez krew. Jeśli kogoś zabito, morderca musi umrzeć; jeśli był ktoś ranny, krew napastnika musi być przelana. Prawo to nie zna wyjątków, nawet zwierzęta podpadają pod nie; zgodnie z tem krew myśliwego musi być przelana, gdy wraca on do wsi po przelaniu krwi zwierzęcej. W taki sposób dzicy pojmują sprawiedliwość, a ujmowanie takie panuje również w Europie Zachodniej w stosunku do morderców. Jeśli zarówno krzywdziciel, jak pokrzywdzony należą do tego samego plemienia, plemię załatwia całą sprawę. Jeśli jednak krzywdziciel należy do innego plemienia i plemię tamto dla takich czy innych powodów odmawia zadośćuczyniena, wówczas plemię pokrzywdzone samo decyduje i podejmuje się zemsty. Człowiek pierwotny tak dalece patrzy na czyny każdej jednostki jako na sprawę plemienną, zależną od aprobaty plemiennej, że bardzo łacno przenosi odpowiedzialność za czyny jednostki na całe plemię. Zgodnie z tem za czyny członka plemienia można mścić się na całem plemieniu lub na każdym krewnym winowajcy. Oczywiście zdarza się nieraz, że odwet posunie się dalej niż obraza. Probując zadać ranę, można zabić winowajcę lub zranić go mocniej, niż się miało zamiar; to zaś daje powód do nowych waśni. To też

prawodawcy pierwotni usilnie zabiegali, aby zemsta była ściśle ograniczona: — oko za oko, ząb za ząb i krew za krew.

Zauważyć jednak należy, że u większości ludów pierwotnych tego rodzaju waśnie i zatargi są znacznie rzadsze, niż moglibyśmy spodziewać się; jakkolwiek tu i owdzie dochodzą do rozmiarów nadzwyczajnych. Szczególnie zauważyć to można pomiędzy góralami, odepchniętymi w góry przez obcych najeźdźców; odnosi się to np. do górali kaukaskich, szczególnie zaś do górali z Borneo — Dajaków. Jak mówią, między Dajakami waśnie i zemsty zaszły tak daleko, że nikt nie może ożenić się ani być uznanym za dorosłego, póki nie zdobędzie głowy nieprzyjaciela. Wydaje się jednak, że jest w tem znaczna przesada. Tak czy inaczej uprawiane przez Dajaków „polowanie na głowy" nabierze znaczenia odmiennego, gdy uprzytomnimy sobie, że czyniąc to, człowiek nie działa pod wpływem namiętności osobistej. Czyny jego są wynikiem pobudek, które uważa on za obowiązek moralny względem swego plemienia, zupełnie jak sędzia europejski — poddając się tej samej zasadzie błędnej, że krew musi być przelana za krew— skazuje na śmierć mordercę. Zarówno Dajak, jak sędzia europejski, mieliby wyrzuty sumienia, gdyby, kierując się spółczuciem, oszczędzili mordercę. To też Dajakowie poza morderstwami, które spełniają zgodnie z własnem pojęciem sprawiedliwości, opisywani są jako ludzie bardzo uprzejmi i przyjemni. Tak np. Carl Bock, który dał tak straszny opis polowania na głowy, pisze:

„Jeśli chodzi o moralność, muszę powiedzieć, że Dajakowie „zajmują stopień wysoki na drabinie cywilizacji... Grabieże i zło„dziejstwa zupełnie są nieznane pomiędzy nimi; są oni również „bardzo prawdomówni... i jeśli niezawsze udawało mi się wydobyć „z nich „całą prawdę", nie mówili mi nic innego prócz prawdy. „Chciałbym to samo mógł powiedzieć o Malajczykach".

Świadectwo Bocka jest najzupełniej potwierdzone przez Idę Pfeiffer. „Przyznaję — pisze ona — że chętnie pozostawałabym „dłużej pomiędzy nimi. Zwykle są uczciwi, uczynni i bynajmniej „nie narzucający się... nie znam narodu, który mogłabym pod tym „względem postawić na równi z nimi". Tego samego zdania był Stoltze. Dajakowie posiadają zwykle jedną żonę i obchodzą się z nią dobrze. Są oni bardzo towarzyscy i co rano licznemi gromadami udają się na połów ryb, na polowanie lub do pracy na roli.

Ich wsie składają się z wielkich chat, zamieszkałych każda przez kilkanaście rodzin; w chacie takiej znajduje się niekiedy do 100 osób, zgodnie żyjących ze sobą. Są pełni szacunku dla swych żon i kochają dzieci; gdy który zachoruje, kobiety karmią go kolejno. Z reguły są oni bardzo umiarkowani w jedzeniu i piciu. Taki jest Dajak w swem prawdziwem życiu codziennem.

Nie chcę nużyć czytelnika przytaczaniem dalszych przykładów z życia ludów dzikich. Gdziebądź się udamy, wszędzie spotykamy te same zwyczaje społeczne, panowanie tego samego ducha solidarności. A jeśli zapuścimy się w mroki wieków ubiegłych, znajdziemy to samo życie plemienne, te same zrzeszenia pomocy wzajemnej. To też zupełną słuszność miał Darwin, gdy w społecznych właściwościach człowieka dopatrywał się głównego czynnika rozwoju; — natomiast w zupełnym błędzie są popularyzatorzy Darwina, wygłaszający zdania przeciwne.

„Słabość fizyczna i niezdolność do szybkiego biegu, , także „brak broni naturalnej — pisze Darwin — są u człowieka bardziej „niż zrównoważone przedewszystkiem przez jego zdolności umy„słowe (które, jak zaznaczył on gdzieindziej, rozwinęły się głów„nie, lub bodaj wyłącznie, w życiu społecznem) — i powtóre przez ludzkie właściwości społeczne zapewniające człowiekowi pomoc „towarzyszy".

W wieku XVIII idealizowano człowieka „dzikiego" i jego „życie w stanie przyrody". W ostatnich czasach jednak uczeni przeszli na kraniec przeciwny; szczególniej od czasu, gdy niektórzy, zabiegając usilnie o udowodnienie zwierzęcego pochodzenia człowieka, lecz nieświadomi społecznych stron życia zwierzęcego, poczęli obciążać dzikiego wszystkiemi możliwemi znamionami „bestjalstwa". Przesada ta jest niewątpliwie jeszcze bardziej nienaukowa niż idealizacja Rousseau'a. Dziki nie jest ani ideałem cnoty, ani ideałem „dzikości". Wyrobił on w sobie natomiast i rozwinął jedną właściwość szczególną — mianowicie utożsamianie życia indywidualnego z życiem plemienia; a bez tej właściwości ludzkość nie dosięgłaby nigdy swego stanu dzisiejszego.

Jak już mówiliśmy, ludzie pierwotni tak dalece utożsamiają swoje życie z życiem plemienia, że każdy ich czyn, choćby najdrobniejszy, uważany jest za sprawę plemienną. Całe ich postępowanie regulowane jest przez szeregi niepisanych praw,

będących owocem długiego doświadczenia spólnego; prawa te określają, co jest złe, a co dobre, to znaczy, co jest korzystne lub szkodliwe dla plemienia. Wprawdzie rozumowania, na których opierają się te prawa, niekiedy są zgoła głupie lub krańcowe. Wiele z tych wywodów opiera się na przesądach, i cobądź czyni dziki, zawsze widzi on tylko bezpośrednie następstwa swojego czynu; niezdolny on jest przewidywać wyników pośrednich i dalszych — w ten sposób po prostu powiększając ten sam błąd, który Bentham zarzucał prawodawcom europejskim. Atoli bez względu na to, czy przepisy prawa obyczajowego są głupie czy nie, dziki poddaje się im, choćby były najbardziej niedogodne. Prawom tym jest on bodaj bardziej posłuszny, niż człowiek cywilizowany prawom pisanym. Prawo obyczajowe jest jego religją, jego sposobem życia. Idea klanu nieustannie jest obecna w jego umyśle, i samo poświęcanie się na rzecz klanu jest faktem codziennym. Gdy dziki przestąpi którebądź z praw plemiennych, jest on prześladowany przez urągania kobiet. Jeśli przestępstwo jest ciężkie, dniem i nocą męczy go obawa, że ściągnął nieszczęście na swe plemię. Jeśli wypadkowo zranił kogobądź ze swego plemienia, to znaczy jeśli popełnił najgorsze z przestępstw, staje się nieszczęśnikiem: ucieka w lasy i gotów jest popełnić samobójstwo; chyba że plemię przebaczy mu, skazując go na cierpienia fizyczne lub przelewając nieco jego krwi. Wewnątrz plemienia wszystko idzie do spólnego podziału; każdy kąsek jadła dzielony jest pomiędzy wszystkich obecnych; jeśli dziki jest sam w lesie, nie zacznie jeść, póki trzykrotnie nie zaprosi głośno każdego, kto mógłby znajdować się w pobliżu i wołanie jego usłyszeć.

Słowem — wewnątrz plemienia niepodzielnie panuje zasada „każdy za wszystkich“ póty, póki rodzina oddzielna nie złamała jeszcze jedności plemiennej. Zasada ta jednak bynajmniej nie obejmuje klanów lub plemion sąsiednich, nawet wówczas, gdy „nasze“ plemię połączone jest z nimi w celu obrony wzajemnej. Każde plemię lub klan stanowi jednostkę oddzielną. Zupełnie podobnie, jak u ssących i ptaków, ziemia podzielona jest pomiędzy poszczególne plemiona i — z wyjątkiem czasu wojny — granice są przestrzegane. Wchodząc na terytorjum sąsiadów, należy wykazać, że niema się złych zamiarów. Im głośniej oznajmia się swoje przybycie, tem więcej zdobywa się zaufania; wchodząc zaś do

domu, należy położyć topór przy wejściu. Żadne plemię nie jest obowiązane do dzielenia się jadłem z innymi plemionami: może to uczynić lub nie, jak mu się podoba. Dzięki temu, życie człowieka dzikiego podzielone jest jak gdyby na dwie warstwy czynów i występuje pod dwoma różnemi postaciami etycznemi: pod postacią stosunków wewnątrz-plemiennych — i stosunków zewnętrznych. Jak nasze prawo międzynarodowe, prawo międzyplemienne znacznie się różni od wewnętrznego prawa obyczajowego. To też, gdy dojdzie do wojny — największe okrucieństwa mogą być uważane za czyny godne pochwały i stawiane za wzór całemu plemieniu. Ta moralność podwójna ciągnie się przez cały rozwój ludzkości i utrzymuje się aż do dnia dzisiejszego. My, Europejczycy, osiągnęliśmy wprawdzie pewien postęp w wykorzenieniu tej moralności podwójnej — niewielki jednak. Musimy przyznać, że gdy rozszerzyliśmy nieco nasze pojęcie solidarności poza granice narodu — przynajmniej w teorji, jednocześnie rozluźniliśmy tę solidarność wewnątrz własnego narodu, a nawet wewnątrz własnej rodziny.

Zjawienie się wewnątrz klanu rodziny oddzielnej z konieczności burzy dawną jedność plemienną. Rodzina oddzielna oznacza niemal to samo, co własność oddzielna, i nagromadzenie bogactw w rękach jednostek. Widzieliśmy, w jaki sposób Eskimosi unikają tego nagromadzenia; podobne wysiłki spotykaliśmy również w różnych wiekach, ujawniające się w najrozmaitszych urządzeniach (spólnoty wiejskie, gildje i t. p.), przy pomocy których masy usiłowały utrzymać jedność plemienną wbrew czynnikom, rozsadzającym ją. Z drugiej strony widzieliśmy zaczątki wiedzy, występującej w epoce zadawnej, a utożsamianej z czarodziejstwem i stającej się siłą w rękach jednostek, które w ten sposób mogą zapanować nad plemieniem. Wiedza ta trzymana była w tajemnicy, przekazywana wyłącznie wtajemniczonym za pośrednictwem tajnych związków czarodziei, szamanów i kapłanów; związki takie spotykamy u wszystkich dzikich. Jednocześnie wojny i najścia nieprzyjaciół powoływały do życia władze wojskowe i całe kasty wojowników, których zrzeszenia zdobywały wielką potęgę. Jakkolwiek zaznaczyć należy, że nie było takiego okresu życia ludzkiego, w którymby wojna uważana była za normalny sposób bytowania. Podczas gdy wojownicy wytępiali się nawzajem, a ka-

płani odprawiali obrządki uroczyste nad ich rzeziami, masy żyły swem życiem codziennem, zajmowały się pracą powszednią. I to właśnie życie mas winno być przedmiotem przyszłych badań; należy zbadać, dzięki czemu utrzymywała się organizacja społeczna, założona na właściwem tym masom pojmowaniu sprawiedliwości, na pomocy wzajemnej i poszanowaniu prawa obyczajowego; słowem — zbadać należy, w jaki sposób utrzymała się ciągłość życia społecznego wbrew okrucieństwom teokracji lub autokracji państwowej.

ROZDZIAŁ IV.

POMOC WZAJEMNA MIĘDZY BARBARZYŃCAMI.

Wielkie wędrówki.—Nowa organizacja staje się koniecznością.—Spólnota wiejska.—Praca spólna.—Postępowanie sądowe.—Prawo międzyplemienne.—Przykłady z życia ludzi spółczesnych.—Burjaci.—Kabyle.—Górale kaukazcy.—Szczepy afrykańskie.

Gdy przystępujemy do badań nad człowiekiem pierwotnym, jesteśmy przedewszystkiem uderzeni wysokim spotykanym tam poziomem uspołecznienia. Ślady społeczeństw ludzkich znajdujemy w pozostałościach zarówno po dawniejszej jak po późniejszej epoce kamiennej; gdy zaś przejdziemy do badań nad dzikimi, którzy naprawdę nie wznieśli się jeszcze ponad człowieka neolitycznego, znajdujemy tam ogromnie starą organizację klanową, pozwalającą na łączenie sił jednostkowych, na korzystanie z dobrodziejstw życia społecznego i umożliwiającą pewien postęp. Człowiek bynajmniej nie jest wyjątkiem w przyrodzie. Podlega on również wielkiemu prawu pomocy wzajemnej, zapewniającemu najwięcej danych do przeżycia tym, którzy w walce o byt najlepiej umieją pomagać sobie nawzajem. — Do takich wniosków doszliśmy w rozdziałach poprzednich.

Skoro jednak przejdziemy do wyższego poziomu cywilizacji i zwrócimy się do dziejów, które o epoce tej mogą już cośkolwiek powiedzieć, stajemy zdumieni wobec mnóstwa walk i starć. Wydaje się, jak gdyby dawne więzy były porwane. Szczepy walczą przeciwko szczepom, plemiona przeciwko plemionom, jednostki przeciwko jednostkom; i z tego chaosu starć ludzkość wychodzi podzielona na kasty, oddana w niewole despotom, rozbita na państwa, zawsze gotowe do walki jedno z drugiem. I patrząc na to filozof pesymistyczny z tryumfem dochodzi do wniosku, że wojna i ucisk są istotną podstawą natury ludzkiej; głosi on, że gra-

bieżcze instynkty człowieka mogą być utrzymane w pewnych granicach tylko przy pomocy władzy silnej, narzucającej pokój i w ten sposób umożliwiającej nielicznym jednostkom szlachetniejszym przygotowywanie życia lepszego dla czasów przyszłych.

W miarę jednak postępu badań nad powszedniem życiem ludzkiem w epoce historycznej — a badania takie w czasach ostatnich podjęli badacze sumienni i zastosowali je do instytucji bardzo pierwotnych — ujawnia się zupełnie inne oblicze człowieka. Jeśli pozostawimy na boku aprioryczne pojęcia historyków i ich wyraźne upodobanie w dramatycznych momentach dziejów, ujawni się, że te dokumenty dziejowe, na których zwykle opierają się oni, znakomicie wyolbrzymiają dramatyczną stronę życia ludzkiego, wysuwają na czoło walki, pozostawiając w mroku prace pokojowe. Dni jasne i słoneczne giną zapomniane pomiędzy burzami i nawałnicami. Nawet w naszych czasach pozostawiamy po sobie dla historyków przyszłych całe szeregi dokumetów nagromadzonych w prasie, w prawodawstwie i archiwach urzędowych, a także w utworach poetyckich — dokumentów, grzeszących jednostronnością i przedstawiających nasze życie, jako szereg walk. Dokumenty te przekazują potomnym szczegółowy opis każdej wojny, każdego starcia lub niesnaski, każdego aktu przemocy, wszelkich rodzajów cierpienia jednostkowego; lecz zrzadka tylko znajdujemy w nich ślady tych niezliczonych czynów pomocy wzajemnej i oddania się, które każdemu z nas znane są z doświadczenia osobistego; zaledwie nieznaczne ślady znajdujemy tam tych spraw, które wypełniają nasze życie powszednie — nasze dążenia i obyczaje społeczne. Cóż dziwnego więc, że nasza znajomość wypadków zadawnych jest tak niedoskonała. Kronikarz starożytny nigdy nie zaniedbał zapisać najdrobniejszej wojny lub klęski, która spadła na jego spółczesnych; jednocześnie jednak niemal nie zwracał uwagi na życie mas, jakkolwiek masy te właśnie oddawały się pracy pokojowej, gdy jednostki nieliczne pogrążone były w walce. Epopeje, napisy na pomnikach, traktaty pokojowe — słowem niemal wszystkie dokumenty dziejowe posiadają ten sam charakter: mówią one o złamaniu jokoju, lecz nie dają ten sam charakter: mówią one o złamaniu pokoju, lecz nie o samym pokoju. To też nawet najlepiej usposobiony historyk nieświadomie kreśli karykaturę tych czasów, które chciałby opi=

sać; i aby dzisiaj odtworzyć rzeczywisty stosunek pomiędzy starciami i walkami z jednej strony, a związkami pokojowymi z drugiej, zmuszeni jesteśmy zagłębić się w drobiazgową analizę niezliczonych faktów powszednich, musimy zwrócić uwagę na wspomnienia, przypadkowo zachowane w tem, co pozostało z czasów dawnych; wszystko to zestawiać musimy przy pomocy etnologji porównawczej. W ten sposób, zbadawszy to, co powiedziano nam o czynnikach rozdzielających ludzi, usiłować należy odtworzyć cegiełkę po cegiełce te instytucje, które łączyły ludzi.

Zanim historja będzie w ten sposób napisana na nowo, zanim weźmie się pod uwagę dwa wymienione wyżej prądy w życiu ludzkiem i oceni się w sposób właściwy rolę każdego z nich w rozwoju dziejowym, przystąpić musimy do pracy przygotowawczej i zwrócić uwagę na główne znamiona tak pogardzanego czynnika drugiego. Z najlepiej znanych okresów dziejowych wybierzemy nieco przykładów, oświecających życie mas i postaramy się wykazać, jaką rolę pomoc wzajemna odgrywała w tych okresach. A w pracy tej — w celu nieprzedłużania jej zbytnio — nie będziemy sięgali ani do Egipcjan, ani do starożytności greckich lub rzymskich. W rzeczywistości bowiem rozwój ludzkości bynajmniej nie odbywał się w jednym nieprzerwanym szeregu. Niejednokrotnie cywilizacja na jakichś obszarach i w pewnej rasie zamierała, aby rozpocząć się na nowo gdzieindziej i pośród innych ras. Za każdym razem jednak rozpoczynała ona od tych samych instytucji klanowych, które widzieliśmy pomiędzy dzikimi. To też jeśli sięgniemy do początków naszej własnej cywilizacji, to znaczy do pierwszych stuleci naszej ery i do życia tych szczepów, które Rzymianie nazywali „barbarzyńcami", będziemy mieli do czynienia z całą skalą rozwoju ludzkiego, rozpoczynającą się od rodów i kończącą się na instytucjach spółczesnych.

Uczeni nie doszli jeszcze do porozumienia odnośnie przyczyn, które dwa tysiące lat temu wypędziły całe narody z Azji do Europy i doprowadziły do wielkich wędrówek barbarzyńców, kładących kres imperjum Zachodnio-Rzymskiemu. Geograf jednak, badający zwaliska ludnych miast, położonych w pustyniach Azji Centralnej lub w dorzeczach rzek dzisiaj nieistniejących, nad dolinami, będącemi niegdyś jeziorami, z konieczności doprowadzony jest do wniosku, że przyczyną tego było — wysychanie.

Wysychanie to trwa do czasów dzisiejszych i odbywa się z szybkością, z której do niedawna nie zdawano sobie sprawy. Wobec czynnika tego człowiek był bezsilny. Gdy mieszkańcy północno-zachodniej Mongolji i wschodniego Turkiestanu spostrzegli, że woda ich opuszcza, nie mieli innego wyjścia, jeno posunąć się w kierunku szerokich dolin, położonych w równinach, i wypchnąć dalej na zachód dotychczasowych mieszkańców tych równin. W ten sposób jedne szczepy za drugimi zostały wepchnięte do Europy, zmuszając przez całe wieki najrozmaitsze plemiona do posuwania się bądź z zachodu na wschód, bądź ze wschodu na zachód — w nieustannym poszukiwaniu nowych siedzib trwałych. Podczas tych wędrówek rasy pomieszały się z rasami, ludność dawna z imigrantami, Aryjczykowie z rasą Uralo-altajską. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby, instytucje społeczne, urzymujące ich niegdyś w kraju macierzystym, zniknęły zupełnie dzięki tak zwykłemu w Azji i Europie pomieszaniu ras i różnorakim ich nawarstwieniom. Instytucje te jednak bynajmniej nie rozpadły się; uległy tylko zmianom, koniecznym w nowych warunkach życia.

Teutoni, Celtowie, Skandynawowie, Słowianie i inni, gdy po raz pierwszy zetknęli się z Rzymianami, znajdowali się w przejściowym okresie społecznym. Związki klanowe, oparte na rzeczywistym lub domniemanym pochodzeniu spólnem, utrzymywały je w całości społecznej przez całe tysiącolecia. Związki te jednak tylko póty odpowiadały swemu zadaniu, póki wewnątrz rodu lub plemienia nie powstały rodziny oddzielne. Jakkolwiek z powodów wyżej zaznaczonych oddzielna rodzina patryarchalna oddawna już, powoli lecz stale, rozwijała się wewnątrz klanu i ostatecznie prowadzić musiała do nagromadzenia bogactw w rękach jednostek i do dziedzicznego przekazywania ich. Częste wędrówki barbarzyńców i związane z niemi wojny tylko przyspieszały podział rodów na rodziny oddzielne, gdy jednocześnie rozproszenie plemion i pomieszanie ich z obcymi, nadzwyczajnie ułatwiało rozkładanie się związków, założonych na pokrewieństwie. Wówczas barbarzyńcy znaleźli się wobec niebezpieczeństwa, że ich klany rozpadną się na luźne zbiorowiska rodzin, z których najzamożniejsze — szczególniej jeśli połączą funkcje kapłańskie lub sławę wojenną z bogactwem — narzucą swą władzę wszystkim innym; jedynym ratunkiem było powołanie do życia nowej formy organi-

zacyjnej, opartej na nowej zasadzie. Wiele szczepów, niezdolnych oprzeć się rozkładowi, rozpadło się i zostały stracone dla historji. Najsilniejsze jednak nie rozłożyły się i wyszły z tej próby zwycięsko, wprowadzając organizację nową — spólnotę wiejską — utrzymującą ich w życiu społecznem w ciągu piętnastu wieków, lub dłużej. Pojęcie spólnie posiadanego terytorjum, zdobytego lub bronionego wysiłkiem spólnym, powoli wypracowało się i zajęło miejsce zanikającego pojęcia spólnego pochodzenia. Spólni bogowie utracili swój charakter przodków i zostali obdarzeni znamionami bóstw lokalnych, terytorjalnych. Stali się oni bogami lub świętymi danej miejscowości; „kraj" został utożsamiony z mieszkańcami. Na miejsce dawnych związków krwi wyrosły związki terytorjalne, a nowa ta organizacja zapewniała wiele korzyści w nowych warunkach. Niezależność rodziny została nietylko uznana, lecz nawet celowo powiększona, i gmina wiejska wyrzekła się wszelkiego prawa do wtrącania się do spraw wewnątrzrodzinnych; zapewniało to więcej swobody inicjatywie osobistej; W zasadzie nie było w tem nic wrogiego łączeniu się ludzi różnego pochodzenia, jednocześnie zaś utrzymywana była konieczna łączność pomiędzy czynem i myślą członków gminy. Był to także sposób oparcia się władczym dążnościom mniejszości, złożonej z czarodziejów, kapłanów i zawodowych lub szczególnie sławnych wojaków. Dzięki temu wszystkiemu spólnota wiejska stała się komórką podstawową organizacji przyszłej i u niektórych narodów zachowała się aż do dnia dzisiejszego.

Jest dzisiaj rzeczą wiadomą — i bodaj nikt już temu nie zaprzecza — że spólnota wiejska bynajmniej nie była czemś szczególnie związanem z dawnymi Słowianami lub Teutonami. Panowała ona w Anglji zarówno za czasów saksońskich jak normańskich i częściowo zachowała się aż do wieku osiemnastego; leżała u podstawy organizacji społecznej w dawnej Szkocji, w Irlandji i w Walji. We Francji gminne władanie i gminny podział ziemi, uprawianej przez gromadę, zachował się od pierwszych wieków naszej ery aż do czasów Turgot'a, który zniósł zgromadzenia gminne, uważając je za „zbyt burzliwe". Spólnota wiejska przeżyła panowanie rzymskie na półwyspie Apenińskim i odżyła po upadku Imperjum Rzymskiego. Panowała ona w pełni pomiędzy Skandynawami, Słowianami, Finnami, Kuronami i Liwonami.

Od czasu epokowego dzieła Henryka Maine'a wiemy, że ta forma organizacji społecznej istniała zarówno w dawnych, jak we spół-czesnych Indjach pomiędzy ludami aryjskimi i niearyjskimi; a Elphinstone opisał ją pomiędzy Afgańczykami. Znajdujemy ją również w mongolskim u ł u s i e, w kabylskim t a a d d a r c i e, na Jawie jako d e s s a, pomiędzy Malajczykami jako k o t a lub t o f a i pod najrozmaitszymi nazwami w Abisynji, w Sudanie, we wnętrzu Afryki, u autochtonów obydwóch Ameryk i u drobnych plemion na archipelagach oceanu Spokojnego. Słowem — nie znamy ani jednej rasy ludzkiej, która nie przeszłaby przez okres spólnoty wiejskiej. Samo to wystarcza do obalenia teorji, podług której spólnota wiejska w Europie zawdzięcza swe pochodzenie instytucji chłopów niewolników. Jest ona znacznie starsza, niż chłopstwo pańszczyźniane i nawet instytucje średniowieczne nie zdołały jej złamać. Jest ona znamieniem powszechnem pewnego okresu w rozwoju ludzkości i w sposób naturalny wynika z organizacji klanowej — przynajmniej u tych wszystkich szczepów, które odegrały lub wciąż jeszcze odgrywają jakąbądź rolę w historji.

Skoro spólnota wiejska była naturalnym wynikiem rozwoju, a bynajmniej nie tworem sztucznym, nie możemy się dziwić, że występuje ona w postaciach najrozmaitszych. Zwykle widzimy ją jako związek pomiędzy rodzinami, przypisującemi sobie pochodzenie spólne i spólnie władającemi pewnem terytorjum. Atoli u niektórych szczepów i w pewnych okolicznościach rodziny stawały się bardzo liczne, zanim wypuściły latorośle w postaci nowych rodzin; pięć, sześć lub siedm pokoleń żyło pod tym samym dachem, w tej samej zagrodzie, spólnie gospodarując i posiadając spólne bydło, a także jadając przy spólnem ognisku. Tworzyło to t. zw. w etnologji „wielką rodzinę“ (joint family), którą aż do dzisiejszego dnia spotykamy w Chinach, w Indjach, u południowych Słowian jako „zadrugę“; w ostatnich czasach znaleziono tę formę organizacji społecznej także w Afryce, w Ameryce, w Danji, w Rosji północnej i we Francji zachodniej. U innych szczepów i w innych warunkach, nieokreślonych jeszcze ściśle, rodziny nie dosięgły tych rozmiarów; wnukowie, a niekiedy synowie porzucali gospodarstwo ojcowskie z chwilą ożenienia się i każdy z nich zakładał ognisko własne. Atoli rozrzucone po lasach lub po-

łączone w jednej zagrodzie rodziny uważały się zawsze za cząstki spólnoty wiejskiej; wsi połączone były w plemiona, a plemiona w związki. Taka organizacja społeczna rozwinęła się pomiędzy t. zw. barbarzyńcami, gdy poczęli mniej lub bardziej na stałe osiedlać się w Europie.

Potrzeba było długiego okresu rozwojowego, zanim rody i klany przyznały prawo do bytu oddzielnej rodzinie, mieszkającej w chacie oddzielnej; lecz nawet po tem przyznaniu jej prawa do bytu klan nie uznawał zwykle praw osobistych do dziedziczenia własności — i te nieliczne przedmioty, które należały do jednostki, były bądź niszczone na jej grobie, bądź spalane razem z nieboszczykiem. Spólnota wiejska przeciwnie — uznawała w pełni rodzinne nagromadzenie bogactw i dziedziczne ich przekazywanie. Bogactwo jednak pojmowane było wyłącznie w postaci r u c h o m o ś c i, do których zaliczano bydło, sprzęty domowe, broń, dom mieszkalny, który, „jak wszystkie rzeczy, mogące być zniszczone przez ogień“, należał również do własności osobistej. Co się tyczy prywatnego posiadania ziemi, spólnota wiejska nie uznawała jej ani nie mogła uznawać niczego w tem rodzaju — nie uznaje też aż do dnia dzisiejszego. Ziemia była własnością spólną plemienia lub całego szczepu i sama spólnota wiejska posiadała swą część terytorjum plemiennego tylko póty, póki plemię nie zdecydowało nowego podziału ziemi. Karczowanie lasów i przecinanie łąk było najczęściej wykonywane przez spólnoty wiejskie lub przynajmniej łącznymi wysiłkami kilku rodzin — zawsze za przyzwoleniem spólnoty; otrzymane w ten sposób kawałki ziemi pozostawały we władaniu rodzinnem przez przeciąg 4, 12, lub 20 lat; poczem uważane były za część spólnych gruntów uprawnych. Własność prywatna lub posiadanie „na wieki“ było również niezgodne z zasadami i pojęciami religijnemi spólnoty wiejskej, jak z zasadami rodowemi, to też potrzeba było długiego wpływu prawodawstwa rzymskiego i kościoła chrześcijańskiego, który rychło przyjął zasady rzymskie, aby przyzwyczaić barbarzyńców, że prywatne posiadanie ziemi jest wogóle rzeczą możliwą. Nawet do dnia dzisiejszego, kiedy własność prywatna jest już uznana zupełnie, wiejski posiadacz kawałka ziemi wciąż jeszcze jest uczestnikiem we wspólnem władaniu lasów, pastwisk,

torfowisk i t. p. Prócz tego widzimy, szczególniej w historji Rosji, że gdy kilka rodzin, działających oddzielnie, zawładnęło ziemią należącą do plemion, uważanych za cudzoziemców, pomiędzy rodzinami temi natychmiast powstawał związek, powstawała spólnota wiejska, która w trzeciem lub w czwartem pokoleniu była już przeświadczona o spólnem pochodzeniu.

Cały szereg instytucji, częściowo odziedziczonych po okresie klanowym, rozwinął się na tej podstawie spólnego władania ziemią poprzez długi szereg wieków, niezbędnych do tego, aby barbarzyńcy pod panowaniem państwowości zorganizowali się podług wzorów rzymskich lub bizantyjskich. Spólnota wiejska była związkiem, nietylko zapewniającym każdemu jego cząstkę ziemi spólnej, lecz było to zrzeszenie spólnej kultury i pomocy wzajemnej pod każdym względem — spólnota chroniła swych członków od przemocy, przyczyniała się do rozwoju wiedzy, kultywowała język narodowy i pojęcia moralne. Każda zmiana w obyczajach prawnych, wojskowych, wychowawczych i gospodarczych musiała być decydowana na zebraniu gromadzkiem, na zebraniu plemiennem lub na wielkim wiecu całego związku plemion. Spólnota wiejska była dalszym ciągiem rodu i odziedziczyła wszystkie jego funkcje; uważana była za u n i v e r s i t a s, u ludów słowiańskich za m i r — słowem za świat cały.

Dawne rody spólnie polowały, spólnie łowiły ryby i spólnie uprawiały zboża i ogrodowizny. Spólne rolnictwo jest też obyczajem w barbarzyńskiej spólnocie wiejskiej. Brak nam wprawdzie dość licznych potwierdzających to dokumentów, a w literaturze starożytnej znajdujemy zaledwie parę ustępów Diodora i Juljusza Cezara, odnoszących się do wysp Liparyjskich, do plemion celtycko-iberyjskich i do Suewów. Nie trudno jednak dojść do przeświadczenia, że spólna uprawa ziemi była we zwyczaju pomiędzy niektóremi plemionami teutońskiemi, pomiędzy Frankami, dawnymi Szkotami, Irlandczykami i Walijczykami. Niemal do ostatnich czasów zachowały się niezliczone szczątki tego obyczaju. Nawet w zupełnie zromanizowanej Francji spólna uprawa ziemi była jeszcze we zwyczaju kilkadziesiąt lat temu w Morbihan (Bretonja). Dawny walijski spólny sprzężaj c y v a r, czyli spólna uprawa kawałka ziemi, przeznaczonego na użytek świątyni wiejskiej, jest do dnia dzisiejszego w użyciu na Kaukazie, dokąd

cywilizacja europejska niemal nie dochodzi; fakty podobne w obfitości spotkać możemy pomiędzy chłopami rosyjskimi. Wiadome jest przytem, że wiele plemion brazylijskich i meksykańskich miało zwyczaj spólnie uprawiać rolę; zwyczaj ten rozpowszechniony był również pomiędzy Malajczykami w Nowej Kaledonji, pomiędzy niektórymi szczepami murzyńskimi i t. d. Słowem, spólna uprawa ziemi była we zwyczaju u ludów aryjskich, uralo-altajskich, mongolskich, murzyńskich, u czerwonoskórych amerykańskich, u Malajczyków, Melanezejczyków i t. d. — możemy ją więc uważać za formę powszechną uprawy ziemi.

Spólna uprawa jednak bynajmniej nie pociąga za sobą spólnego pożycia. Już w organizacji klanowej widzimy niejednokrotnie, że gdy statki, naładowane owocami lub rybami, wracają do wsi, jadło dzielone jest pomiędzy chaty, lub „długie domy", zamieszkałe bądź przez oddzielne rodziny, bądź przez młodzież, i przygotowywane bywa odzielnie przy oddzielnych ogniskach. Widzimy więc, że zwyczaj odżywiania się w ciaśniejszem kółku krewnych lub stowarzyszonych przeważa już we wczesnym okresie klanowym. Staje on się zwyczajem panującym w spólnocie wiejskiej. Nawet jadło, wyprodukowane spólnymi siłami, dzielone było pomiędzy gospodarstwa po odłożeniu części na użytek spólny. W tradycji jednak starannie przechowywano wspomnienie biesiad spólnych; i korzystano z każdej okazji, jak naprz. wypominki przodków, uroczystości religjne, rozpoczęcie lub zakończenie prac w polu, narodziny, małżeństwa, pogrzeby — aby zwołać całą spólnotę wiejską na biesiadę. Nawet w kraju tak wysoce kulturalnym, jak Anglja, zachowała się w pełni do dnia dzisiejszego uroczysta wieczerza dożynkowa. Z drugiej strony chociaż pola oddawna już nie były uprawiane spólnie, znaczna część robót rolniczych wykonywana była i wykonywana jest do dnia dzisiejszego przez całą spólnotę czy gminę. Część ziemi spólnej wciąż jeszcze jest uprawiana spólnemi siłami — a to bądź na potrzeby biednych, dla zapełnienia magazynów gromadzkich, bądź na cele uroczystości religijnych. Kanały irygacyjne są przekopywane i utrzymywane spólnemi siłami. Łąki gromadzkie są koszone przez całą gromadę; do dzisiejszego dnia podziwiać możemy spólny sprzęt siana w Rosji — gdzie mężczyźni spółzawodniczą pomiędzy sobą w szybkiem koszeniu, gdy jednocześnie kobiety przewracają tra-

wę i układają ją w kopy. Siano w takich wypadkach dzielone jest pomiędzy poszczególne gospodarstwa i rozumie się samo przez się, że nikt nie ma prawa wziąć siana z kopy sąsiada bez jego przyzwolenia. Pomiędzy kaukazkimi Osetyńcami spotykamy ciekawe ograniczenia prywatnej własności tak podzielonego siana. Gdy na wiosnę odezwie się głos kukułki, a tem samem gdy zbliży się okres nowego sianożęcia, każdy ma prawo wziąć ze stogu sąsiada, tyle siana, ile mu potrzeba dla bydła. Jest to wznowienie dawnych praw spólnoty i jednocześnie dowód, jak przeciwnym naturze ludzkiej jest indywidualizm nieokiełznany.

Gdy podróżny europejski wyląduje na którejbądź z wysepek Oceanu Spokojnego i pójdzie w kierunku palmowego lasku, zadziwi się, że małe, rozrzucone tam wioski, połączone są pomiędzy sobą ścieżkami, wyłożonemi wielkimi kamieniami; ścieżki te dla bosych nóg tuziemców są drogą bardzo wygodną i przypominają „stare drogi" górali szwajcarskich. Tego rodzaju drogi i ścieżki pobudowane były przez „barbarzyńców" po całej Europie i trzeba przewędrować dzikie, słabo zaludnione kraje, położone zdala od wielkich linji komunikacyjnych, aby zdać sobie sprawę z tej wielkiej pracy, którą przed paru tysiącami lat spólnoty barbarzyńskie podjąć musiały w celu opanowania bagnisk i puszcz Europy. Rodziny oddzielne, pozbawione narzędzi i słabe, nigdy nie byłyby zdobyły tych krajów: puszcza byłaby pokonała je. Tylko spólnota wiejska, posługująca się pracą spólną, zdolna była zapanować nad lasami dziewiczymi, nad trzęsawiskami i stepami bezgranicznymi. Drogi pierwotne, promy, mosty drewniane, zdejmowane na zimę i odbudowywane na wiosnę, fosy, ostrokoły, którymi otoczone były wsie, forty ziemne i drobne baszty, rozrzucone po całym kraju — wszystko to były dzieła spólnot barbarzyńskich. Gdy spólnota bardzo się rozrosła, wypuszczała latorośl — i nowa spólnota, nowa gromada wyrastała w pewnem oddaleniu, przyczyniając się do coraz dalszego opanowywania lasów i stepów przez człowieka. Cały rozwój narodów europejskich był naprawdę takiem rozrastaniem się, rozgałęzieniem się spólnot wiejskich. Nawet do dnia dzisiejszego chłopi rosyjscy, jeśli tylko nie są złamani przez nędzę, emigrują całemi gromadami, spólnie uprawiają ziemię i spólnie zabudowują się na nowych osiedlach nad brzegami Amuru lub w Manitobie. Nawet Anglicy, gdy po raz

pierwszy poczęli kolonizować Amerykę, zwykle wracali do tego starego systemu: łączyli się w spólnoty wiejskie.

Spólnota wiejska była główną bronią barbarzyńców w ciężkiej walce przeciwko wrogiej przyrodzie. Była to również obrona przeciwko uciskowi najprzebieglejszych i najsilniejszych jednostek, tak łacno rozwijającemu się w tych czasach niespokojnych. Barbarzyńca — człowiek walczący i mordujący poprostu dla kaprysu — jest również czemś tylko wyimaginowanem, jak „krwiożerczy dziki". Barbarzyńca rzeczywisty wprost przeciwnie — pędził życie w całym szeregu instytucji, przesiąkniętych szacunkiem dla wszystkiego, co mogłoby być pożyteczne plemieniu lub związkowi; instytucje te starannie były przekazywane z pokolenia na pokolenie w wierszach, pieśniach, przysłowiach i przypowieściach, w powiedzeniach mądrych i naukach. Im bardziej poznajemy je, tem mocniej przeświadczamy się o tych więzach ścisłych, które łączyły ludzi po wsiach ówczesnych. Każda waśń pomiędzy dwoma jednostkami uważana była za sprawę społeczną; nawet słowa obelżywe, użyte w kłótni, uważane były za obelgę wyrządzoną całej spólnocie i jej przodkom. Winowajca musiał okupić swą winę zarówno wobec jednostki pokrzywdzonej, jak wobec spólnoty; gdy kłótnia skończyła się walką lub ranami, świadkowie jej, jeśli mogąc nie przeciwdziałali kłótni, sami uważani byli za winowajców.

Postępowanie sądowe przeniknięte było tym samym duchem. Każdy spór przedstawiany był przedewszystkiem pośrednikom czy arbitrom i najczęściej na tem kończył się, ponieważ pośrednicy ci odgrywali wielką rolę w społeczeństwie barbarzyńców. Jeśli sprawa była zbyt poważna, aby nadawała się do takiego rozstrzygnięcia, przedstawiano ją całemu zgromadzeniu ludowemu, które winno było „znaleźć wyrok", wygłaszany w formie warunkowej. Forma ta brzmiała mniej więcej w ten sposób: „jeśli wina będzie dowiedziona, należy dać taką oto rekompensatę"; winę zaś udawadniało się przy pomocy sześciu lub dwunastu świadków zaprzysiężonych. W razie niezgody pomiędzy świadkami uciekano się do próby (sądu Bożego). Tego rodzaju postępowanie sądowe, utrzymujące się bez przerwy w ciągu dwudziestu wieków, mówi więcej niż całe tomy; wykazuje ono, jak silnymi węzłami połączeni byli nawzajem członkowie spólnoty wiejskiej. A pomiętać przytem należy, że nie było tam żadnej innej władzy, mogącej narzu-

wę i układają ją w kopy. Siano w takich wypadkach dzielone jest pomiędzy poszczególne gospodarstwa i rozumie się samo przez się, że nikt nie ma prawa wziąć siana z kopy sąsiada bez jego przyzwolenia. Pomiędzy kaukazkimi Osetyńcami spotykamy ciekawe ograniczenia prywatnej własności tak podzielonego siana. Gdy na wiosnę odezwie się głos kukułki, a tem samem gdy zbliży się okres nowego sianożęcia, każdy ma prawo wziąć ze stogu sąsiada, tyle siana, ile mu potrzeba dla bydła. Jest to wznowienie dawnych praw spólnoty i jednocześnie dowód, jak przeciwnym naturze ludzkiej jest indywidualizm nieokiełznany.

Gdy podróżny europejski wyląduje na którejbądź z wysepek Oceanu Spokojnego i pójdzie w kierunku palmowego lasku, zadziwi się, że małe, rozrzucone tam wioski, połączone są pomiędzy sobą ścieżkami, wyłożonemi wielkimi kamieniami; ścieżki te dla bosych nóg tuziemców są drogą bardzo wygodną i przypominają „stare drogi“ górali szwajcarskich. Tego rodzaju drogi i ścieżki pobudowane były przez „barbarzyńców“ po całej Europie i trzeba przewędrować dzikie, słabo zaludnione kraje, położone zdala od wielkich linji komunikacyjnych, aby zdać sobie sprawę z tej wielkiej pracy, którą przed paru tysiącami lat spólnoty barbarzyńskie podjąć musiały w celu opanowania bagnisk i puszcz Europy. Rodziny oddzielne, pozbawione narzędzi i słabe, nigdy nie byłyby zdobyły tych krajów: puszcza byłaby pokonała je. Tylko spólnota wiejska, posługująca się pracą spólną, zdolna była zapanować nad lasami dziewiczymi, nad trzęsawiskami i stepami bezgranicznymi. Drogi pierwotne, promy, mosty drewniane, zdejmowane na zimę i odbudowywane na wiosnę, fosy, ostrokoły, któremi otoczone były wsie, forty ziemne i drobne baszty, rozrzucone po całym kraju — wszystko to były dzieła spólnot barbarzyńskich. Gdy spólnota bardzo się rozrosła, wypuszczała latorośl — i nowa spólnota, nowa gromada wyrastała w pewnem oddaleniu, przyczyniając się do coraz dalszego opanowywania lasów i stepów przez człowieka. Cały rozwój narodów europejskich był naprawdę takiem rozrastaniem się, rozgałęzieniem się spólnot wiejskich. Nawet do dnia dzisiejszego chłopi rosyjscy, jeśli tylko nie są złamani przez nędzę, emigrują całemi gromadami, spólnie uprawiają ziemię i spólnie zabudowują się na nowych osiedlach nad brzegami Amuru lub w Manitobie. Nawet Anglicy, gdy po raz

pierwszy poczęli kolonizować Amerykę, zwykle wracali do tego starego systemu: łączyli się w spólnoty wiejskie.

Spólnota wiejska była główną bronią barbarzyńców w ciężkiej walce przeciwko wrogiej przyrodzie. Była to również obrona przeciwko uciskowi najprzebieglejszych i najsilniejszych jednostek, tak łacno rozwijającemu się w tych czasach niespokojnych. Barbarzyńca — człowiek walczący i mordujący poprostu dla kaprysu — jest również czemś tylko wyimaginowanem, jak „krwiożerczy dziki". Barbarzyńca rzeczywisty wprost przeciwnie — pędził życie w całym szeregu instytucji, przesiąkniętych szacunkiem dla wszystkiego, co mogłoby być pożyteczne plemieniu lub związkowi; instytucje te starannie były przekazywane z pokolenia na pokolenie w wierszach, pieśniach, przysłowiach i przypowieściach, w powiedzeniach mądrych i naukach. Im bardziej poznajemy je, tem mocniej przeświadczamy się o tych więzach ścisłych, które łączyły ludzi po wsiach ówczesnych. Każda waśń pomiędzy dwoma jednostkami uważana była za sprawę społeczną; nawet słowa obelżywe, użyte w kłótni, uważane były za obelgę wyrządzoną całej spólnocie i jej przodkom. Winowajca musiał okupić swą winę zarówno wobec jednostki pokrzywdzonej, jak wobec spólnoty; gdy kłótnia skończyła się walką lub ranami, świadkowie jej, jeśli mogąc nie przeciwdziałali kłótni, sami uważani byli za winowajców.

Postępowanie sądowe przeniknięte było tym samym duchem. Każdy spór przedstawiany był przedewszystkiem pośrednikom czy arbitrom i najczęściej na tem kończył się, ponieważ pośrednicy ci odgrywali wielką rolę w społeczeństwie barbarzyńców. Jeśli sprawa była zbyt poważna, aby nadawała się do takiego rozstrzygnięcia, przedstawiano ją całemu zgromadzeniu ludowemu, które winno było „znaleźć wyrok", wygłaszany w formie warunkowej. Forma ta brzmiała mniej więcej w ten sposób: „jeśli wina będzie dowiedziona, należy dać taką oto rekompensatę"; winę zaś udawadniało się przy pomocy sześciu lub dwunastu świadków zaprzysiężonych. W razie niezgody pomiędzy świadkami uciekano się do próby (sądu Bożego). Tego rodzaju postępowanie sądowe, utrzymujące się bez przerwy w ciągu dwudziestu wieków, mówi więcej niż całe tomy; wykazuje ono, jak silnymi węzłami połączeni byli nawzajem członkowie spólnoty wiejskiej. A pamiętać przytem należy, że nie było tam żadnej innej władzy, mogącej narzu-

cać wykonanie wyroku, oprócz władzy moralnej. Najwyższą karą, mogącą spaść na opornego, była banicja poza spólnotę; lecz i to było bronią obosieczną. Jednostka niezadowolona z wyroku gromadzkiego, mogła porzucić plemię i przyłączyć się do plemienia innego — co dla plemienia porzuconego było groźbą bardzo poważną, ponieważ taki odstępca mógł sprowadzić wojnę. Nieuznawanie postanowienia prawnego, zapadłego na zasadzie zwyczajów było czemś wprost niepojętem, ponieważ — jak słusznie określa to Henryk Maine — „prawo, moralność i czyn" nie mogły być wówczas oddzielone jedno od drugiego. Autorytet moralny gminy był tak wielki, że nawet w epoce późniejszej, kiedy spólnota wiejska wpadła w zależność od pana feudalnego, utrzymała ona swą władzę sądowniczą: gmina pozwalała panu lub jego zastępcy tylko „znaleźć" wyrok w zaznaczonej wyżej formie warunkowej; wyrok ten jednak musiał być zgodny z prawem obyczajowem; przytem pan miał prawo do pobierania grzywny, należnej przedtem gminie. Przez długi czas jednak sam pan, o ile pozostawał spółwłaścicielem ziemi należącej do gminy, musiał poddawać się w sprawach gminnych orzeczeniom gminy. Szlachcic zarówno jak duchowny podlegał orzeczeniom gromady zgodnie ze starem przysłowiem: Wer daselbst Wasser und Weide genusst, muss gehorsam sein" (kto korzysta z wody i pastwiska, musi być posłuszny). Nawet wówczas, gdy chłopi stali się poddanymi pana, musiał on stawiać przed zgromadzeniem gminnem, gdy wezwano go.

Oczywiście w tem pojmowaniu sprawiedliwości barbarzyńcy niewiele różnili się od dzikich. Również wyznawali oni zasadę, że morderstwo musi być zgładzone przez morderstwo; że rany zadane muszą być okupione takiemi samemi ranami i że obowiązkiem rodziny pokrzywdzonej było przestrzegać tych praw obyczajowych. Taki był obowiązek święty — obowiązek względem przodków; a wypełnić go należało jawnie, bynajmniej nie w tajemnicy i o spełnieniu go głosić szeroko. To też najbardziej natchnione ustępy w Sagach i poematach epicznych opiewają spełnienie zemsty, jako aktu sprawiedliwości. Sami bogowie pomagali w tych sprawach. Z drugiej strony jednak głównem dążeniem sprawiedliwości barbarzyńskiej jest chęć ograniczenia liczby osób, objętych aktami zemsty, a także dążenie do usunięcia brutalnego poglądu — krew za krew i rany za rany — przez podstawianie na

jego miejscu systemu rekompensaty. Kodeksy barbarzyńskie — będące zbiorem praw obyczajowych, spisanych do użytku sędziów— „najpierw dozwalały, potem zachęcały i wreszcie zmuszały“ do wprowadzenia rekompensaty na miejsce zemsty. Zupełnie nierozumieją jednak zasady rekompensaty ci, którzy ujmują ją jako grzywnę, lub jako pewien rodzaj carte blanche, wydanej bogatemu i uprawniającej ją do czynienia, co mu się podoba. Rekompensata pieniężna „Wergeld“, będąca czemś zupełnie różnem od grzywny, bywała zwykle tak wysoka, że w żadnym razie nie mogła być zachętą do czynienia nowych krzywd. W razie morderstwa przewyższała ona cały możliwy majątek mordercy. „Ośmnaście razy po ośmnaście krów“ — taka jest rekompensata naznaczana za morderstwo przez Osetyńców, nie umiejących liczyć powyżej ośmnastu; u plemion afrykańskich dochodzi to do ośmiuset krów, lub stu wielbłądów razem z młodymi, lub u plemion biedniejszych — czterysta szesnaście owiec. W większości wypadków rekompensata była tak wysoka, że zgoła nie mogła być zapłacona i morderca nie miał innego wyjścia, niż skłonienie przez pokorę rodziny pokrzywdzonej do zaadoptowania go. Nawet dzisiaj na Kaukazie, gdy kończy się zemsta, krzywdziciel dotyka wargami piersi najstarszej kobiety w plemieniu i w ten sposób staje się „bratem mlecznym“ wszystkich członków rodziny pokrzywdzonej. U niektórych plemion afrykańskich musi on dać w małżeństwo członkowi rodziny pokrzydzonej swą siostrę lub córkę; u innych plemion obowiązany jest poślubić wdowę, której męża zabił; a we wszystkich wypadkach staje się członkiem rodziny pokrzywdzonej i jego zdanie brane jest pod uwagę we wszystkich naradach rodzinnych.

Bynajmniej nie pogardzając życiem ludzkiem, barbarzyńcy nie znali zgoła tych kar okrutnych, które w czasach późniejszych pod wpływem romańskim lub bizantyjskim zostały wprowadzone do prawodawstwa świeckiego i kanoniczengo. Jeśli kodeks saksoński dość często stosował karę śmierci, np. za podpalenie lub rabunek, inne kodeksy barbarzyńskie karały śmiercią tylko w razach wyjątkowych — jak np. w razie zdrady rodu, w razie świętokradztwa przeciwko bogom gminnym i t. p., uważając śmierć za jedyny sposób uspokojenia gniewu bogów.

Jak widzimy, wszystko to jest bardzo dalekie od domniema-

nej rozwiązłości moralnej barbarzyńców. Przeciwnie — możemy tylko podziwiać głębokie zasady moralne, wypracowane we wczesnych okresach spólnoty wiejskiej. Znajdujemy je w tercynach wallijskich, w legendach o królu Arturze, w komentarzach do prawa brehońskiego, w starych legendach germańskich i wreszcie w przysłowiach barbarzyńców spółczesnych. George Dasent we wstępie do „The Story of Burnt Njal" zupełnie trafnie w sposób następujący streszcza moralność normańską, ujawniającą się w Sagach:

„Czynić to, co czynić należy, otwarcie i jawnie, nie lękając „się ani wrogów, ani nieprzyjaciół, ani przeznaczenia; ...być „swobodnym i śmiałym we wszystkich przedsięwzięciach; być „szlachetnym i wspaniałomyślnym względem swych krewnych „ przyjaciół; być surowym i groźnym względem nieprzyjaciół „(względem tych, którzy podlegają lex talionis), lecz nawet „względem nich wypełniać wszystkie zobowiązania... nie być wia„rołomcą, ani plotkarzem ani oszczercą. Nie mówić o człowieku „nic takiego, czego nie możnaby mu powtórzyć w oczy. Nie od„pędzać od swych drzwi proszącego o jadło lub schronienie, choć„by to nawet był nieprzyjaciel".

Podobne, lub nawet wyższe jeszcze zasady moralne przenikają poezję epiczną i tercyny wallijskie. „Postępować łagodnie i podług zasad sprawiedliwości, nie mając względu ani na przyjaciół ani na nieprzyjaciół, naprawiać krzywdy wyrządzone" — oto najwyższy obowiązek człowieka; „zło to śmierć, a dobro to życie" — woła poeta prawodawca. „Świat oszalałby, jeślibyśmy nie dotrzymywali przyrzeczeń, wypowiedzianych wargami" — powiada prawo brehońskie. Podobnie skromny szaman Mordwinów północnych ustanawia zasadę: „pomiędzy sąsiadami krowa i szkopek są własnością spólną"; uczy on także, że „krowę doić należy dla siebie samego i dla każdego, kto mleka zażąda"; — „ciało dziecka czerwieni się od uderzeń, a twarz bijącego czerwieni się od wstydu" — i t. d. Niejedną stronicę moglibyśmy wypełnić takiemi zasadami, głoszonemi i przestrzeganemi przez „barbarzyńców".

Należy tu zwrócić uwagę jeszcze na jedną właściwość starej spólnoty wiejskiej. A jest nią stopniowe rozszerzanie koła ludzi, objętych poczuciem solidarności. Nietylko plemiona łączą się w szczepy, lecz również szczepy — pomimo nieraz różnego pocho-

dzenia — łączą się w związki. A związki niekiedy były tak mocne, że jak to np. widzimy u Wandalów — gdy część związku plemion nadreńskich udała się do Hiszpanji a stamtąd do Afryki, pozostałe plemiona w ciągu lat 40 przestrzegały znaków granicznych i nie ruszały wsi opuszczonych; zajęły je dopiero wówczas, gdy przez posłów upewniono się, że emigranci nie mają zamiaru powrócić. U innych barbarzyńców spotykamy zwyczaj uprawiania ziemi przez jedną część szczepu, gdy inna walczyła poza granicami lub w granicach spólnego terytorjum. Związki pomiędzy poszczególnymi szczepami należały do rzeczy zwykłych. Sikambrowie łączyli się z Cheruskami i Suewami, Kwadowie z Sarmatami; Sarmaci z Alanami, Karpami i Hunnami. W czasach późniejszych widzimy stopniowy rozwój pojęcia narodu w Europie, znacznie poprzedzającego cośkolwiek, co możnaby nazwać państwem. Narody te — nie możemy bowiem odmówić tego miana takim narodom, jak Francuzi za Merowingów, lub Rosjanie w. XI i XII-go — utrzymywane były w całości wyłącznie tylko przez spólność językową i przez milczącą zgodę drobnych republik, że wybierać będą swych wodzów tylko z jednej rodziny.

Oczywiście wojny były nieuniknione. Wędrówki nie mogą obejść się bez wojen. Lecz już Henryk Maine dowiódł w swej cennej pracy o pochodzeniu plemiennem prawa międzynarodowego że „człowiek nigdy nie był tak okrutny, aby poddawać się wojnie bez usiłowań zapobiegnięcia jej"; wykazał również, że „znaczna liczba dawnych instytucji miała na celu zapobieganie wojnom lub wynajdywanie czegoś, co mogłoby zastąpić je". W rzeczywistości człowiek tak dalece nie jest istotą wojowniczą, za jaką uchodzi, że barbarzyńcy z chwilą osiedlenia się, szybko tracili wojowniczość i musieli utrzymywać specjalnych wodzów, otoczonych drużynami wojaków, aby ich bronili od możliwych napastników. Barbarzyńca przekładał pracę pokojową nad wojnę; i samo wyspecjalizowanie się rzemiosła wojennego dowodzi niechęci mas do wojny. Ci specjaliści wojacy stali się potem panami i tak poważnie zaciężyli na „państwowym" okresie dziejów ludzkich.

Historycy z niemałym trudem odbudowują instytucje barbarzyńskie. Na każdym kroku spotykają oni jakieś wyrażenia, których przy pomocy posiadanych dokumentów wytłomaczyć niepodobna. Światło na to wszystko rzucają dopiero badania nad oby-

czajami i instytucjami barbarzyńców spółczesnych, posiadających niemal takie same zwyczaje, jak nasi przodkowie. Dokumentów nie brak tu i mamy jedynie trudnoś wyboru, ponieważ wyspy Oceanu Spokojnego, stepy azjatyckie i równiny afrykańskie są prawdziwym muzeum historycznem, przechowującem wszystkie możliwe stopnie rozwoju ludzkiego, od czasu rodów dzikich aż do spółczesnej organizacji państwowej. Przejrzyjmy nieco z tych przykładów.

Jeśli przyjrzymy się spólnotom wiejskim Burjatów mongolskich, szczególniej zaś mieszkańcom stepów Kudyńskich i górnej Leny, którzy uchronili się od wpływów rosyjskich, znajdziemy doskonałych przedstawicieli barbarzyńców ze stanu przejściowego pomiędzy hodowlą bydła i rolnictwem. Burjaci ci żyją wciąż „wielkiemi rodzinami", t. j. jakkolwiek każdy syn ożeniony osiedla się w chacie oddzielnie, chaty przynajmniej trzech pokoleń pozostają w tej samej zagrodzie i wielka rodzina pracuje spólnie w polu, spólnie prowadzi gospodarstwo, hoduje bydło i posiada spólny cielętnik (ogrodzony kawałek ziemi o trawie szczególnie soczystej, przeznaczony do wychowywania cieląt). Odżywianie się zwykle odbywa się oddzielnie, w chatach poszczególnych; gdy jednak jest mięso pieczone, zbierają się spólnie wszyscy członkowe złączonego gospodarstwa. Kilka połączonych gospodarstw żyjących w zagrodzie, razem z kilku mniejszemi rodzinami osiedlonemi w tej samej wsi, będącemi po większej części szczątkami rodzin wielkich upadłych z jakiegobądź powodu — tworzą razem ułus, czyli spólnotę miejską; kilka ułusów tworzy plemię; a czterdzieści sześć plemion lub klanów, rozrzuconych po stepach Kudyńskich, złączone jest w jeden związek. Prócz tego powstają związki mniejsze lub ciaśniejsze, tworzone przez kilka plemion, zależnie od okoliczności i potrzeb szczególnych. Prywatnej własności ziemi nie znają; — ziemia jest spólną własnością ułusów, lub raczej ich związku; w razie potrzeby jest ona powtórnie dzielona pomiędzy poszczególne ułusy na zgromadzeniu plemiennem lub pomiędzy 46 plemion na zgromadzeniu całego związku. Warto zaznaczyć, że ta sama organizacja panuje wciąż jeszcze pomiędzy 250,000 Burjatów we wschodniej Syberji, jakkolwiek od trzech wieków znajdują się oni pod panowaniem rosyjskiem i dobrze znają rosyjskie instytucje.

Pomimo to wszystko nierówności majątkowe szybko rozwijają się pomiędzy Burjatami, szczególniej zaś od czasów gdy rząd rosyjski począł opiekować się ich wybranymi tajszasami (książęta), których uważa za odpowiedzialnych poborców podatkowych i za przedstawicieli związków w stosunkach rządowych a nawet handlowych z Rosjanami. Dzięki temu powstało mnóstwo możliwości zbogacenia się jednostkowego, posuwającego się spółrzędnie ze wzrastającą nędzą mas, ku czemu przyczynia się jeszcze zajmowanie ziemi burjackiej przez Rosję. Stare instytucje jednak utrzymują się pomiędzy Burjatami, szczególnie na stepach Kudyńskich, jako stary obyczaj — a wiadomo, że obyczaj jest czemś ważniejszem niż prawo; to też gdy rodzina jaka straci bydło, rodziny bogatsze dają jej nieco krów i koni, aby mogła powrócić do stanu dawnego. Człowiek nic nie posiadający, może przychodzić na jadło do chat swych rodaków: wchodzi on do chaty i — z prawa nie z miłosierdzia — zasiada przy ogniu i bierze udział w jedzeniu, zawsze dzielonem starannie na równe części; przybysz taki nocuje w tej samej chacie, która go nakarmiła. Rosyjscy zdobywcy Syberji tak byli zadziwieni komunistycznymi obyczajami Burjatów, że nazwali ich ludźmi braterskimi (bratskije). W raporcie urzędowym pisano o tem do Moskwy: „Burjaci wszystko posiadają spólnie; każda rzecz dzielona jest pomiędzy wszystkich“. Nawet dzisiaj jeszcze, gdy Burjaci nad Leną sprzedają zboże lub posyłają swe bydło na rzeź do rzeźnika rosyjskiego, rodziny, należące do jednego ułusu lub plemienia, wysyłają całe zboże lub bydło łącznie i sprzedają je spólnie. Przytem każdy ułus ma swój śpichlerz na udzielanie pożyczek w razie potrzeby; posiada także spólny piec piekarski i spólnego kowala, który — jak kowal spólnot indyjskich — jako członek gminy, nigdy nie pobiera zapłaty za swoją pracę. Obowiązany on jest pracować za darmo i jeśli w wolnych chwilach wykona posrebrzane ozdoby żelazne, noszone przez Burjatów, może przy sposobności sprzedać je jakiejś kobiecie z innego klanu, lecz w swoim klanie może te wyroby tylko podarować. Kupno i sprzedaż zupełnie nie ma miejsca w spólnocie; prawo to jest tak surowe, że gdy rodzina bogatsza chce nająć robotnika, musi go szukać w innym klanie lub pomiędzy Rosjanami. Zwyczaj ten oczywiście nie jest zwyczajem wyłącznie burjackim; jest on tak szeroko rozpowszechniony pomiędzy barbarzyńcami

spółczesnymi, zarówno aryjczykami jak uralo=altajczykami, że musiał być powszechny pomiędzy naszymi przodkami.

Poczucie łączności wewnątrz związku utrzymywane jest przez spólność interesów poszczególnych plemion i przez zgromadze=nia związkowe, a także przy pomocy uroczystości odbywających się podczas tych zgromadzeń. Do podtrzymania tego poczucia przyczynia się jeszcze inna instytucja, t. zw. a b a, czyli polowanie spólne, będące wspomnieniem przeszłości bardzo dawnej. Co je=sień każdy z 46 klanów kudyńskich schodzi się na takie polowa=nie, a zdobycz dzielona jest pomiędzy wszystkie rodziny. Oprócz tego zwoływane są jeszcze a b a ogólnonarodowe, podtrzymujące łączność wewnętrzną w całym narodzie burjackim. W tych ra=zach wszystkie klany burjackie rozrzucone na setki mil na wschód i zachód od Bajkału, przysyłają swych delegatów myśliwców. Scho=dzą się tysiące ludzi, i każdy z nich przynosi z sobą żywność na cały miesiąc. Wszyscy muszą posiadać taką samą ilość zapasów, to też wszystko przyniesione składane jest razem i potem rozdzie=lane przez wybranego starostę, odważającego części „ręką“—waga byłaby tu profanacją starego zwyczaju. Po dokonaniu podziału zapasów myśliwi rozdzielają się na grupy po dwudziestu i rozpo=czyna się polowanie, podług z góry obmyślonego planu. Podczas takich wypraw cały naród burjacki przeżywa swe wspomnienia epiczne, pochodzące z czasów, gdy tworzył związek potężny. Za=znaczyć tu należy, że tego rodzaju panowania spólne są również we zwyczaju u Indjan czerwonoskórych i u Chińczyków nad brze=gami Ussuri (Kada).

Jeśli sięgniemy do Kabylów, których obyczaje były tak do=brze opisane przez dwóch badaczy francuskich, znajdziemy barba=rzyńców, stojących na nieco wyższym stopniu rolnictwa. Ich po=la, nawodniane i nawożone, uprawiane są bardzo starannie i w gó=rach każdy zdatny pod uprawę kawałek ziemi starannie kopany jest szpadlem. Kabyle w ciągu dziejów przeszli losy bardzo zmien=ne; przez jakiś czas podlegali oni muzułmańskim prawom o dzie=dziczeniu; prawa te jednak nie przyjęły się u nich i po 150 latach powrócili do dawnego prawa obyczajowego. Dzięki temu ich wła=danie ziemią posiada charakter mieszany i spotykamy tam wła=sność prywatną obok własności gminnej. Podstawą jednak ich organizacij społecznej jest spólnota wiejska (thaddart), złożona

zwykle z kilku wielkich rodzin (kharoubas), powołujących się na pochodzenie spólne; obok tych rodzin wielkich do spólnoty należy zwykle nieco rodzin mniejszych, złożonych z przybyszów. Kilka wsi tworzy razem klan lub plemię; kilka plemion tworzy związek, a kilka związków może niekiedy tworzyć związek związków, powstających głównie w celach obrony.

Kabyle nie znają żadnej władzy, oprócz t. zw. dżemmy — czyli zgromadzenia spólnoty wiejskiej. W zgromadzeniu tem biorą udział wszyscy mężczyźni dorośli; a odbywa się ono bądź pod gołem niebem, bądź w budynku specjalnym, zaopatrzonym w siedzenia kamienne. Postanowienia dżemmy zapadają jednomyślnie: dyskusja trwa póty, póki wszyscy obecni nie zgodzą się na jedno lub nie poddadzą się pewnemu postanowieniu. Ponieważ w spólnocie wiejskiej nie było żadnej władzy, zdolnej narzucać swe postanowienia, system uchwał jednomyślnych panował wszędzie i panuje do dzisiejszego dnia pomiędzy conajmniej stu miljonami ludzi, rozrzuconymi po całym świecie. Dżemma wybiera swych wykonawców w osobie starosty, pisarza i skarbnika; sama nakłada na siebie podatki, sama postanawia o podziale ziemi spólnej i przedsiębierze wszelkie prace użyteczności powszechnej. Bardzo znaczna część pracy wykonywana jest spólnie: spólnie budowane są drogi, meczety, studnie, kanały irrygacyjne, baszty do obrony od rabusiów i t. d.; wielkie drogi, wielkie meczety i wielkie place targowe są dziełem całego plemienia. Wciąż jeszcze widzimy ślady kultury, opartej na pracy spólnej i wiele domów wznoszone jest przy pomocy wszystkich kobiet i mężczyzn całej wsi. Zresztą nawet przy pracy w rodzinach oddzielnych przywoływanie „pomocy“ sąsiadów należy do zjawisk najzwyklejszych — pomocy tej używa się do uprawy pól, do sprzętu zboża i t. d. Każda wieś posiada również swego kowala, rozporządzającego częścią ziemi spólnej i pracującego na rzecz gminy; gdy zbliża się pora robót polnych, kowal odwiedza wszystkie gospodarstwa i poprawia narzędzia, a szczególnie pługi, nie biorąc za to żadnej zapłaty. Sporządzenie nowego pługa uważane jest za czyn godny uznania, za pewnego rodzaju akt religijny, co w żadnym razie nie może być wynagradzane pieniędzmi lub jakąbądź inną zapłatą.

Skoro Kabyle posiadają już własność prywatną, rozumie się samo przez się, że muszą być i biedni pomiędzy nimi. Lecz jak

wszyscy ludzie żyjący blizko jedni z drugimi i wiedzący, jak rozpoczyna się bieda, uważają ją oni za coś, co każdemu zdarzyć się może. „Nie mów, że nigdy nie weźmiesz sakwy żebraczej i nigdy nie będziesz w więzieniu" — głosi przysłowie chłopów rosyjskich. Kabyle wyznają to samo i nie można znaleźć u nich różnicy w zachowaniu się względem człowieka ubogiego lub bogatego: — gdy biedny wzywa „pomocy", bogaty pracuje na jego polu, i to samo czynić potem będzie biedny na polu bogatego. Przytem dżemmy wyznaczają pewne części ogrodów i pól uprawianych spólnie na specjalny użytek ludzi najbiedniejszych. Istnieje tam wciąż jeszcze niemało zwyczai podobnych. Ponieważ rodziny biedniejsze nie mogłyby same kupować mięsa, jest ono nabywane regularnie za pieniądze, pochodzące z grzywien lub z darów wyznaczonych prze dżemmę, albo wreszcie za pieniądze, wpływające z wynajmu spólnych zbiorników na oliwę; tak nabyte mięso dzielone jest równo pomiędzy wszystkich, którzy sami nabyć go nie mogą. Gdy jaka rodzina zabije wołu lub owcę na własny użytek w dzień nietargowy, o fakcie tym oznajmia się całej wsi, a to w celu, aby wszyscy chorzy i kobiety brzemienne mogły wziąć tyle mięsa, ile im potrzeba. Pomoc wzajemna przenika całe życie Kabylów, i jeśli który z nich, podróżując, spotka innego Kabyla, znajdującego się w potrzebie, obowiązkiem jego jest przyjść mu z pomocą, choćby nawet sam przez to narażał się na wielkie niebezpieczeństwo. Gdyby kto zaniedbał tego zwyczaju, dżemma takiego egoisty natychmiast postara się krzywdę naprawić i wynagrodzić tego, który pomocy powinien był doznać. Spotykamy tu ten sam obyczaj, który tak uderza badaczów gildji średniowiecznych. Każdy cudzoziemiec, wchodzący do wsi kabylskiej, ma prawo zamieszkać tam przez zimę, a jego konie mogą w ciągu całej doby paść się na spólnem pastwisku. W razie potrzeby taki cudzoziemiec może liczyć na pomoc niemal nieograniczoną. Tak np. podczas głodu w r. 1867 — 1868 Kabyle przyjęli i karmili bardzo wielu zgłodniałych, chroniących się do ich wsi — nie robią przytem żadnych rozróżnień w ich pochodzeniu. W okręgu Dellys zgromadziło się w ten sposób niemniej niż 12.000 ludzi, przybyłych z Algerji, a nawet z Marokka i wszyscy byli żywieni. Podczas gdy w Algerji ludzie ginęli z wycieńczenia, na ziemi kabylskiej nie było ani jednego wypadku śmierci głodowej. Dżemmy robiły wszyst-

kie wysiłki możliwe i nie cofały się przed żadnemi ofiarami, byleby tylko przyjść z pomocą nieszczęśliwym — nie domagając się przytem żadnego spółdziałania rządowego, ani bynajmniej nie skarżąc się. Uważali to za swój obowiązek naturalny. I gdy pomiędzy osadnikami europejskimi trzeba było uciekać się do najrozmaitszych środków policyjnych w celu zapobiegnięcia kradzieżom i nieporządkom, wywoływanym przez taki napływ cudzoziemców, na terytorjum kabylskiem żadne tego rodzaju środki nie były potrzebne. Dżemmy nie potrzebowały ani pomocy, ani opieki z zewnątrz.

Wspomnę tu jeszcze o dwóch szczególnych znamionach kabylskich; mianowicie — o a n a j i, czyli o opiece, którą otoczone są studnie, kanały irygacyjne, place targowe, niektóre drogi i t. p. na wypadek wojny i o tem, co nazywa się s o f. A n a j a — to szereg instytucji, mających na celu zarówno zmniejszenie szkód, wyrządzonych przez wojnę, jak zapobieganie konfliktom. Tak np. plac targowy jest a n a j a, jeśli znajduje się na granicy i jest miejscem spotkania Kabylów z cudzoziemcami. Nikt nie ośmiela się zakłócić spokoju na takim targowisku i jeśli zdarzy się waśń, jest ona natychmiast uspokajana przez obecnych tam cudzoziemców. Droga, wiodąca do wsi od źródła skąd kobiety noszą wodę, również jest a n a j a w czasie wojny; przykładów takich możnaby podać więcej. Co się tyczy s o f, jest to bardzo rozpowszechniona forma zrzeszenia, pokrewna średniowiecznym gildjom i B ü r g s c h a f t o m, a także zrzeszeniom pomocy wzajemnej dla celów najrozmaitszych — umysłowych, politycznych lub rozrywkowych—którym nie może zadość uczynić miejscowa organizacja wiejska, klanowa lub związkowa. S o f nie zna granic kraju; członkowie jego pochodzą z najrozmaitszych wsi, a nawet z pośród cudzoziemców; stowarzyszenie opiekuje się swym członkiem w najrozmaitszych okolicznościach życia. Jest to próba dopełnienia zrzeszeń terytorjalnych przez zrzeszenia pozaterytorjalne, dające wyraz pokrewieństwom i spólnotom, istniejącym poprzez granice. — Widzimy więc, że międzynarodowe zrzeszenie upodobań i poglądów indywidydualnych, uważane za szczególne znamie życia spółczesnego, sięga swem pochodzeniem do starożytności barbarzyńskiej.

Górale kaukascy dostarczają tutaj również przykładów ciekawych. Prof. Kowalewski, badając obyczaje Osetyńców — ich

„wielkie rodziny“, gminy i pojęcia prawne — miał możność w swem dziele „Sowremiennyj obyczaj i drewnieje prawo“ przeprowadzić paralelę pomiędzy podobnymi urządzeniami u różnych barbarzyńców i w ten sposób sięgnąć do źródeł feudalizmu. Badając inne szczepy kaukaskie, możemy zajrzeć w dzieje narodzin spólnoty wiejskiej, a mianowicie w ten okres, kiedy nie opierała się na spólnem pochodzeniu, na plemieniu, lecz stanowiła dobrowolny związek oddzielnych rodzin Miało to miejsce w niektórych wsiach Chewsurów, którzy składają przysięgę „spólnoty i braterstwa“. W innej części Kaukazu, w Dagestanie, widzimy rozwój stosunków feudalnych pomiędzy dwoma plemionami, podczas gdy w obydwóch zachowały się jednocześnie spólnoty wiejskie (a nawet szczątki klas rodowych); daje to nam przykład tych form, które rozwinęły się we Włoszech i w Galji po zawojowaniu tych krajów przez barbarzyńców. Lezginowie, będący zwycięzcami, panującymi nad wsiami gruzińskiemi i tatarskiemi w obwodzie Zakatalskim, bynajmniej nie poddali ich panowaniu rodzin poszczególnych; utworzyli oni klan feudalny, obejmujący dzisiaj dwanaście tysięcy gospodarstw w trzech wsiach, i posiadają spólnie nie mniej niż dwadzieścia wsi gruzińskich i tatarskich. Zwycięzcy podzielili ziemię pomiędzy klanami, a klany podzieliły ją równo pomiędzy rodzinami; nie mieszali się jednak do dżemmy, swych poddanych, przestrzegających wciąż jeszcze zwyczajów, opisywanych przez Juljusza Cezara: Dżemma co rok decyduje, jaka część spólnej ziemi ma być uprawiana i część ta dzielona jest pomiędzy wszystkie rodziny, przyczem oddzielne działki wyznaczane są losem. Warto tu zaznaczyć, że jakkolwiek pomiędzy rodzinami (posiadającemi ziemię na własność prywatną, a chłopów pańszczyźnianych spólnie), jest dużo proletarjuszy, niema ich pomiędzy pańszczyźnianymi chłopami gruzińskimi, wciąż jeszcze spólnie dzierżącymi ziemię. Co się tyczy prawa obyczajowego górali kaukaskich, jest ono niemal takie samo, jak prawo longobardzkie lub salickie frankońskie, i poznanie się z niem może nam wyjaśnić niejeden ciemny rys procedury sądowej dawnych barbarzyńców. Jako ludzie bardzo wrażliwi, czynią oni wszystko, co mogą, aby uniknąć waśni, kończących się tragicznie. Tak np. Chewsurowie dla bardzo błahych powodów chwytają za miecze, jeśli jednak stanie między nimi kobieta i

rzuci chustę, noszoną zwykle na głowie, miecze natychmiast wracają do pochew i kłótnia uspakaja się. Chusta z głowy kobiecej jest a n a j a. Jeśliby waśń nie ustała i zakończyła się morderstwem, rekompensata pieniężna jest wówczas tak duża, że napastnik będzie zrujnowany na całe życie — chyba, że zostanie zaadaptowany przez rodzinę pokrzywdzoną; jeśli zaś chwycił za miecz z powodów błahych i poranił przeciwnika, na zawsze traci szacunek pomiędzy swymi .We wszystkich sporach sprawę ujmują w ręce pośrednicy. Z pomiędzy członków klanu wybierają oni sędziów — w sprawach drobniejszych sześciu, a w ważniejszych od dziesięciu do piętnastu — i badacze rosyjscy twierdzą, że sędziowie ci sądzą bardzo sprawiedliwie. Przysięga ma tak duże znaczenie, że ludzie, cieszący się szacunkiem ogólnym, są zwalniani od niej: wystarcza tu proste stwierdzenie faktu, tembardziej, że w sprawach ważnych Chewsura nigdy nie cofa się przed przyznaniem się do winy (mam na myśli Chewsurę, niedotkniętego jeszcze przez cywilizację). Przysięgę stosuje się w tych wypadkach, kiedy — jak np. w sporach o własność — zachodzi potrzeba pewnego rodzaju oceny, będącej dopełnieniem prostego stwierdzenia faktów; w tych razach ludzie, których zdanie będzie miało znaczenie decydujące, postępują z zachowaniem wielkich ostrożności. Wogóle niewątpliwe jest, że w stosunkach wewnętrznych kaukazkich społeczeństw barbarzyńskich bynajmniej nie brak uczciwości i poszanowania prawa.

Szczepy afrykańskie dostarczają takie mnóstwo przykładów społeczeństw, stojących na wszystkich stopniach rozwojowych — od spólnoy wiejskiej do barbarzyńskiej monarchji despotycznej— że muszę zaniechać tu zamiaru dania krótkiego porównawczego opisu ich instytucji. Wystarczy powiedzieć, że nawet pod najokrutniejszym despotyzmem królewskim, zgromadzenia wiejskie i ich prawa obyczajowe są czynnikiem decydującym w bardzo wielu sprawach. Prawo państwowe upoważnia króla do zabicia każdego z poddanych dla prostego kaprysu lub choćby dla zaspokojenia swego żarłoctwa; jednocześnie jednak ludowe prawo obyczajowe wciąż jeszcze utrzymuje tę samą sieć instytucji pomocy wzajemnej, które istniały u innych barbarzyńców lub u naszych przodków. Przyczem u niektórych szczepów (w Bornu, w Ugandzie, w Abisynji), szczególnie zaś u Bogosów znajdujemy obycza-

je, będące przejawem uczuć bardzo rozwiniętych i delikatnych.

Spólnoty wiejskie dawnych mieszkańców obydwóch Ameryk posiadają ten sam charakter. Tupijowie brazylijscy mieszkali w „długich domach", zajmowanych przez cały klan; spólnie uprawiali swe pola zbożowe i mandjokowe. Podobnie Aranjowie, dużo bardziej posunięci w cywilizacji, zwykle spólnie uprawiali swe pola. Nie inaczej postępowali Ukagowie, którzy pod swym systemem komunizmu pierwotnego i mieszkając „w długich domach", umieli budować dobre drogi i tak rozwinęli wiele gałęzi przemysłu domowego, że bynajmniej nie ustępowały one średniowiecznemu przemysłowi europejskiemu. Wszystkie te szczepy żyły pod tem samem prawem obyczajowem, którego przykłady podaliśmy na stronicach poprzednich. Na drugim krańcu świata znajdujemy feudalizm Malajczyków, który niezdolny był wytępić n e g a r j ę, czyli spólnotę wiejską z jej spólnem władaniem ziemi i ze zwyczajem podziału ziemi pomiędzy oddzielne n e g a r j e w plemieniu. U Alfurów z Minahasa znajdujemy spólną uprawę ziemi z płodozmianem; u indyjskiego szczepu Wyandotów spotykamy perjodyczny podział ziemi wewnątrz plemienia i uprawę klanową; w tych częściach Sumatry, gdzie instytucje muzułmańskie nie zniszczyły jeszcze starej organizacji, znajdujemy „wielką rodzinę" (s u k a) i spólnotę wiejską (k o t a), rozciągające swe władanie nawet na te części ziemi, które były wykarczowane bez ich przyzwolenia. Widzimy z tego, że wszystkie obyczaje pomocy wzajemnej lub mające na celu zapobieganie zemstom i wojnom, tak znamienne dla spólnoty wiejskiej, są nadzwyczajnie rozpowszechnione. Widzimy nawet, że im pełniejsze jest spólne władanie ziemią, im dalej od własności prywatnej, tem łagodniejsze są obyczaje ludzkie. De Stuers twierdzi, że im mniej spólnota wiejska zdławiona była przez zdobywców, tem mniejsze były nierówności majątkowe pomiędzy ludźmi i tem łagodniejsze były przepisy l e x t a l i o n is; i przeciwnie — gdzie spólnota wiejska została zniszczona całkowicie, tam despotyczni władcy panują najbardziej niepodzielnie. Jest to zupełnie naturalne. I gdy Waitz zauważył, że szczepy, które utrzymały związki plemienne, stoją na wyższym stopniu rozwoju i posiadają literaturę bogatszą, niż szczepy, u których dawne związki rozpadły się — podkreślił tylko to, co mogło być z góry przewidziane.

Społeczeństwa barbarzyńskie są tak podobne do siebie poprzez wszystkie rasy i klimaty, że podawanie dalszych przykładów byłoby wprost nużące. Rozwój ludzkości odbywał się z zabijającą jednostajnością. Gdy organizacja klanowa była atakowana odwewnątrz przez oddzielną rodzinę, od zewnątrz przez napływ nowych klanów i konieczność przyjmowania cudzoziemców najrozmaitszego pochodzenia — zrodziła się spólnota wiejska, oparta na pewnem terytorjum. Ta nowa instytucja, rozwinięta w sposób naturalny z poprzedzającej ją — mianowicie z klanu — umożliwiła barbarzyńcom przejście przez najbardziej niespokojny okres dziejowy, nie rozpadając się na rodziny oddzielne, które niewątpliwie pokonaneby były w walce o byt. W nowej organizacji rozwinęły się nowe formy kulturalne; rolnictwo dosięgło tak wysokiego stopnia, że u bardzo wielu ludów nie przekroczyło go do dnia dzisiejszego; wysoko również rozwinął się pewien szczególny przemysł domowy. Człowiek opanował puszczę, przeciął ją drogami i od starych wsi oddzieliły się nowe osiedla. Powstały place targowe, miejsca obronne, a także miejsca kultu publicznego. Powoli rozwinęły się pojęcia związków szerszych, obejmujących całe szczepy, a nawet wiele szczepów różnego pochodzenia. Stare pojmowanie sprawiedliwości, opierające się głównie na odwecie, stopniowo uległo przemianom: na miejsce odwetu zjawiło się wynagrodzenie pieniężne. Prawo obyczajowe, będące do dnia dzisiejszego prawem powszedniem dwuch trzecich ludzkości, wyrobiło się w tej właśnie organizacji; z okresu tego pochodzi również cały system zwyczajów mających na celu obronę mas przez mniejszościami, których potęga wzrastała równolegle do możliwości gromadzenia bogactw w rękach prywatnych. Takie były nowe formy dążeń masowych do zapewnienia pomocy wzajemnej. I ekonomiczny, umysłowy i moralny postęp, dokonany przed mniejszościami, których potęga wzrastała równolegle do wielki, że państwa — gdy zostały powołane do życia — poprostu stanęły na stanowisku interesów mniejszości i objęły ich funkcje pod względem prawnym, ekonomicznym i administracyjnym — funkcje, które spólnota wiejska wykonywała przedtem dla dobra powszechnego.

ROZDZIAŁ V.

POMOC WZAJEMNA W MIEŚCIE ŚREDNIOWIECZNEM.

Wzrost władzy w społeczeństwie barbarzyńskiem. — Chłopi pańszczyźniani we wsiach. — Rewolucje miast obronnych: — ich wyzwolenie i przywileje. — Gildje. — Dwojakie pochodzenie grodu średniowiecznego. — Sądownictwo i administracja własna. — Praca znajduje się w poszanowaniu. — Handel prowadzony przez gildje i miasta.

Towarzyskość i potrzeba pomocy wzajemnej są czemś tak nieodłącznem od natury ludzkiej, że w żadnym okresie dziejów nie znajdziemy człowieka, żyjącego małemi rodzinami oddzielnemi, pomiędzy któremi istniałaby walka o środki do życia. Wprost przeciwnie — jak widzieliśmy w rozdziałach poprzednich — badania spółczesne wykazują, że od zarania dziejów przedhistorycznych ludzie gromadzili się w rody, klany lub plemiona, utrzymywane w całości przez pojęcie pochodzenia spólnego i przez kult spólnych przodków. Przez całe tysiącolecia organizacja ta utrzymywała ludzi w gromadzie, jakkolwiek nie istniała żadna władza, mogąca ją narzucić. Na całym późniejszym rozwoju ludzkości wycisnęło to piętna niezatarte. I kiedy później więzy pochodzenia spólnego rozluźniły się pod naporem wielkich wędrówek i kiedy rozwój rodziny oddzielnej wewnątrz samego klanu rozsadził jego dawną jedność, zjawiły się nowe formy organizacji, oparte na zasadzie terytorjalnej: powstaje do życia spólnota wiejska. Instytucja ta znowu łączy ludzi przez długi szereg wieków, pozwala na dalszy rozwój instytucji społecznych i umożliwia przejście przez najczarniejsze okresy dziejowe; dzięki niej ludzkość nie rozpada się na luźne zbiorowisko rodzin i jednostek, posuwa się dalej w rozwoju i wypracowuje drugorzędne instytucje społeczne, utrzymujące się niekiedy aż do dnia dzisiejszego. Wypada nam teraz przyjrzeć się dalszemu rozwojowi tego samego

wiecznego dążenia do pomocy wzajemnej. Jeśli weźmiemy t. zw. barbarzyńskie spólnoty wiejskie w okresie rozpoczynania przez nie nowej cywilizacji po upadku Państwa Rzymskiego, znajdziemy nowe postacie zaspakajania potrzeb społecznych, występujące masowo w średnich wiekach, szczególnie zaś w gildjach i w grodach średniowiecznych.

Człowiek bynajmniej nie jest zwierzęciem walczącem tylko, jak to głoszono o barbarzyńcach z pierwszych wieków naszej ery (podobnie mówiono o Mongołach, Afrykańczykach, Arabach i t. d., wciąż jeszcze żyjących na tem samem stadjum barbarzyństwa) — i zawsze przedkładał pokój nad wojnę. Z wyjątkiem plemion nielicznych, które podczas wielkich wędrówek zepchnięte zostały na wyżyny bezpłodne i wten sposób zmuszone do perjodycznego napadania na szczęśliwszych sąsiadów — znakomita większość Teutonów, Saksonów, Celtów, Słowian i innych, gdy tylko zdobyła stałe siedziby, powracała do uprawy roli i do ogniska domowego. Najwcześniejsze prawa barbarzyńskie przedstawiają nam społeczeństwa, oparte na pokojowych gminach rolnych, i bynajmniej nie będące hordami ludzi, pozostających w nieustannej walce wzajemej. Ci barbarzyńcy pokryli kraj wsiami i gospodarstwami; wykarczowali lasy, ujęli w tamy strumienie, skolonizowali puszcze i pustynie; wyprawy wojenne pozostawiali oni drużynom zbrojnym ludzi niespokojnych, zgromadzonych wokół naczelników tymczasowych, przejeżdżających z miejsca na miejsce i ofiarowujących swoje zdolności i wiedzę wojenną tym ludom, które chciały bronić się przed wojną. Gromady wojaków przechodziły w tę i ową stronę, walcząc o swe zemsty rodzinne, jednocześnie jednak masy ludowe uprawiały ziemię, naogół mało interesując się tymi, którzy panować nad nimi chcieli — póki nie została naruszona niezależność spólnoty wiejskiej. Nowi mieszkańcy Europy rozwinęli system dzierżenia ziemi i uprawiania jej, wciąż jeszcze stosowany przez setki miljonów ludzi; na miejsce plemiennej zemsty krwawej wypracowali oni cały system rekompensat za krzywdy; wprowadzili zaczątki przemysłu; i gdy tylko umocnili palisadami i fosami swe wsie, gdy wznieśli baszty lub forty ziemne, poza którymi schować się można było na wypadek nowego napadu nieprzyjaciół, natychmiast pozostawiali sprawę

obrony tych baszt i fortów tym, którzy z wojny uczynili swoją specjalność.

Tak więc punktem wyjścia dla poddania się barbarzyńców pokojowych późniejszym naczelnikom wojennym była właśnie pokojowość tych barbarzyńców, a nie ich instynkty wojownicze. Niewątpliwie sam sposób życia drużyn zbrojnych zapewniał im większą łatwość bogacenia się, niż uprawa roli w gminach wiejskich. Aż do dzisiejszego dnia widzimy wyprawy zbrojne, udające się do afrykańskich Matabelów w celu odebrania im bydła, jakkolwiek ludy te pragną tylko pokoju i gotowe są drogo za pokój zapłacić. Drużyny zbrojne dawniejsze napewno nie miały więcej skrupułów niż spółczesne. W ten sposób zdobywano stada bydła, żelazo (będące wówczas w bardzo dużej cenie) i niewolników. Chociaż większość tych zdobyczy trwoniona była natychmiast na owych wielkich ucztach, o których poeci tak wiele opowiadają, — zawsze jednak pewna część zagrabionych bogactw służyła do dalszego bogacenia się. Nie brak było ziemi niezajętej i nie brak ludzi, chcących uprawiać ją, byleby tylko dostarczono im bydła i narzędzi. Całe wsie, zrujnowane przez epidemje ludzkie czy bydlęce, przez pożary lub przejścia nowych imigrantów, często były opuszczane, i dawni mieszkańcy osiedlali się gdzieindziej. Do dzisiejszego dnia podobne rzeczy spotkać możemy w Rosji. I jeśli którykolwiek z h i r d m e n ó w drużyn zbrojnych zaofiarowywał chłopom nieco bydła na początek i nieco żelaza na pług lub sam pług, jeśli obiecywał obronę przed najściem ludzi obcych, jeśli wreszcie zapewniał na kilka lat zwolnienie od wszelkich danin — chłopi chętnie osiedlali się na ziemiach im wskazanych. I gdy po szeregu ciężkich walk z nieurodzajami, powodziami i zarazami ci pionierzy poczynali wypłacać się z długów, wpadali w stałą zależność pańszczyźnianą od opiekuna swej ziemi. W ten sposób gromadziły się bogactwa, a potęga zawsze idzie za bogactwami. Im bardziej wnikamy w życie i obyczaje owych czasów, w szóste i siódme stulecie naszej ery, tembardziej przekonywamy się, że dla ustalenia władzy garstki nielicznej trzeba było czegoś innego, niż tylko bogactwa i siły zbrojnej. Tem czemś innem było poczucie prawa i sprawiedliwości, dążenie mas do utrzymania pokoju, do ustalenia tego, co uważali oni za sprawiedliwość, a co zapewniało naczelnikom drużyn zbrojnych — kró-

lom, dukom, kniaziom i t. p. — władzę, którą zdobyli ostatecznie w 200 lub 300 lat później. To samo pojęcie sprawiedliwości, ujmowanej jako zapłata za krzywdę wyrządzoną, które rozwinęło się w okresie plemiennym, przechodzi teraz jak nitka czerwona przez dzieje całego szeregu instytucji staje się znacznie bardziej niż czynniki militarne lub gospodarcze, tą podstawą, na której wznosiła się władza królów i panów feudalnych.

Rzeczywiście, jedną z głównych trosk wsi barbarzyńskiej — podobnie jak barbarzyńców spółczesnych —są zabiegi około szybkiego zakończenia waśni i sporów, powstających na tle panującego pojęcia sprawiedliwości. Gdy tylko powstała kłótnia, natychmiast gmina wglądała w nią, i zgromadzenie ludowe, po wysłuchaniu sprawy, ustalało wysokość rekompensaty (W e r g e l d), którą należało zapłacić osobie pokrzywdzonej lub jej rodzinie, a także wysokość grzywny, należnej gminie za zakłócenie pokoju. Kłótnie wewnętrzne nie trudno było zażegnać w ten sposób. Gdy jednak powstawały nieporozumienia pomiędzy dwoma plemionami lub pomiędzy związkami plemion, pomimo wszystkich wysiłków zapobiegnięcia im, nie łatwo było znaleźć arbitra, którego decyzja byłaby przyjęta przez obydwie strony i uznana za bezstronną i opartą na znajomości prawa. Trudność była tem większa, że różne plemiona posiadały różne prawa obyczajowe, różną też stosowały rekompensatę w najrozmaitszych wypadkach. To też stało się rzeczą zwykłą, że arbitra szukano pomiędzy rodzinami lub plemionami, o których mniemano, że przechowują stare prawa w całej czystości — że znają dobrze pieśni, święte przysłowia, sagi, i t. p., przy pomocy których przechowywano prawo w pamięci. Przechowywanie prawa stało się w ten sposób pewnego rodzaju „tajemnicą“, starannie przekazywaną w rodzinach z pokolenia na pokolenie. Tak np. na Islandji i w innych krajach skandynawskich podczas każdego zgromadzenia narodowego (A l l t h i n g) l ö v s ö g m a t h r zwykle recytował z pamięci całe prawodawstwo w celu oświecenia zgromadzonych; w Irlandji zaś, jak wiadomo, istniała cała specjalna klasa ludzi, znających stare tradycje i dzięki temu cieszących się wielkiem uznaniem jako sędziowie. Podobnie, gdy dawne kroniki rosyjskie opowiadają, że szczepy północno-zachodniej Rosji, zaniepokojone wzrastającymi pomiędzy nimi nieporządkami i powstawaniem „rodów przeciwko

rodom", zwróciły się do varingiarów normańskich, aby byli ich sędziami i dowódcami drużyn zbrojnych, gdy dalej widzimy, jak kniaziowie wybierani byli w ciągu 200 lat zawsze z tej samej rodziny normańskiej — dojść musimy do wniosku, że Słowianie tak ufali Normanom za ich lepszą znajomość prawa, uznawanego również za dobre przez różne grupy słowiańskie. W tych wypadkach posiadanie runów, przy pomocy których można było przekazywać dawne obyczaje, było wielkim przywilejem Normanów; w innych wypadkach jednak mamy dane do przypuszczenia, że do roli sędziów powoływano najstarszą gałąź szczepu, domniemaną gałąź macierzystą i wyroki jej uznawano za sprawiedliwe. Jednocześnie w epoce późniejszej widzimy dążność do brania sędziów z pośród kleru chrześcijańskiego, trzymającego się jeszcze zapomnianej dzisiaj zasady chrześcijańskiej, że nawet odwet bynajmniej nie jest niesprawiedliwością. W owych czasach duchowieństwo katolickie otwierało kościoły jako miejsca ucieczek dla tych którzy chronili się przed zemstą krwawą, i chętnie występowało w roli sędziów nad przestępcami, przyczem zawsze przeciwstawiało się starej zasadzie plemiennej — „życie za życie", „rana za ranę". Słowem — im głębiej wnikamy w dzieje instytucji zadawnych, tem mniej znajdujemy podstaw dla militarnej teorji pochodzenia władzy. Nawet ta władza, która później stała się źródłem tak wielkiego ucisku, początkowo opierała się na pokojowych dążnościach mas.

We wszystkich tych wypadkach grzywna, dorastająca niekiedy do połowy całej rekompensaty, była własnością zgromadzenia ludowego i od czasów niepamiętnych używano jej na dzieła użyteczności publicznej lub na obronę całej gminy. Do dzisiejszego dnia pieniądze z grzywien mają takie właśnie przeznaczenie pomiędzy Kabylami i niektórymi szczepami mongolskimi; mamy także dowody, że w kilka wieków później grzywny sądowe w Pskowie i niektórych miastach francuskich i niemieckich używane były na naprawę murów miejskich. Rozumie się samo przez się, że grzywna musiała się dostawać do rąk wydającemu wyrok, który wzamian obowiązany był do utrzymywania drużyny zbrojnej, do bronienia całego terytorjum i wykonywania wyroków. Było to obyczajem powszechnym w wieku VIII i IX-ym, nawet w tych wypadkach, gdy wydającym wyrok był biskup. Widzimy tu za-

czątek tego, co dzisiaj nazywamy władzą sądowniczą i wykonawczą. Atoli do tych dwóch funkcji ograniczała się ściśle władza króla lub księcia, który bynajmniej nie był rozkazodawcą dla całego ludu: — władza najwyższa wciąż należała do zgromadzenia ludowego, i król nie był nawet wodzem milicji ludowej. Gdy lud chwytał za broń, na czele jego stawał dowódca specjalny, przez sam lud wybrany i bynajmniej nie będący podwładnym królewskim, lecz osobą, równą mu w dostojeństwie. Król był panem tylko w swoim majątku osobistym. W językach barbarzyńskich słowo k o n u n g, k o n i n g lub c y n i n g, odpowiadające łacińskiemu r e x, król, nie posiada innego znaczenia, oprócz czasowego wodza gromady ludzi. Dowódca flotyli łódek lub nawet jednego statku rozbójniczego był również k o n u n g i e m i do dnia dzisiejszego dowódca rybaków w Norwegji nazywa się N o t k o n g — król sieci. Cześć, przywiązana do osoby króla nie istniała jeszcze, i gdy zdrada rodu karana była śmiercią, za zabicie króla można było wnieść rekompensatę: król był oceniany poprostu tylko nieco więcej, niż każdy wolny człowiek. I kiedy król Knu (K a n u t) zabił kogoś ze swej własnej drużyny — jak mówi saga — zwołał wszystkich towarzyszy na zgromadzenie i, uklęknąwszy, prosił o przebaczenie. Przebaczono mu, musiał jednak zobowiązać się, że zapłaci dziewięciokrotną rekompensatę obyczajową, z czego 1/3 miała przypaść w udziale jemu samemu, jako wynagrodzenie za stratę człowieka, 1/3 poszła na rzecz krewniaków zabitego, a pozostała 1/3 (grzywna) na rzecz drużyny. Zanim ustaliła się świętość osoby królewskiej, zajść musiały bardzo głębokie zmiany w pojęciach obyczajowych, a to pod wpływem kościoła i prawa rzymskego.

Dalsze badanie rozwoju władzy z pierwiastków zaznaczonych leżałoby już poza granicami tej książki. Historycy tacy jak Green dla Anglji, Augustin Thierry, Michelet i Luchaire dla Francji, Kaufmann, Janssen, W. Arnold i nawet Nitsch dla Niemiec, Leo i Botta dla Włoch ,Bielajew, Kostomarow i ich uczniowie dla Rosji — a także wielu innych — obszernie zajmowali sin tym przedmiotem. Wykazali oni, jak ludy początkowo wolne i godzące się tylko na „karmienie" części swych obrońców wojennych, stopniowo stały się poddanymi swych opiekunów; jak „polecenie" się kościołowi lub panu stało się koniecznością dla człowieka

wolnego; jak dalej każdy zamek biskupi lub książęcy stał się gniazdem rozbójniczem — słowem, jak został narzucony feudalizm i jak wreszcie pochody krzyżowe, uwalniając poddanych, niosących krzyż, dały pierwszą pobudkę do wyzwolenia ludowego. Wszystkiego tego nie potrzebujemy tutaj powtarzać, głównym bowiem naszym celem jest ujawnianie *twórczych* zdolności mas, występujących w instytucjach pomocy wzajemnej.

W czasie, gdy resztki wolności barbarzyńskiej ginęły w Europie, gdy zapanowały tysiące drobnych władców, ludzkość szła w kierunku tych teokracji i państw despotycznych, które nastąpić miały po rozpoczynającym cywilizację okresie barbarzyńskim; monarchje, które powstały wówczas, przypominały to, co widzimy dzisiaj w Afryce i życie europejskie zmieniło kierunek dotychczasowy. Weszło ono na drogi podobne do tych, jakie widzimy w miastach Grecji starożytnej. Z jednomyślnością, przez długi czas zadziwiającą historyków, zgromadzenia miejskie — aż do najmniejszych grodów włącznie — poczęły strząsać z siebie jarzmo swych panów świeckich lub kościelnych. Wieś ufortyfikowana powstała przeciwko zamkowi pańskiemu: zaczęło się od nieufności, doszło potem do walk i zamek uległ zburzeniu. Ruch rozszerzał się szybko z miejsca na miejsce, objął wszystkie miasta europejskie i w niespełna sto lat powołane do życia wolne miasta na wybrzeżach morza Śródziemnego, nad morzem Północnem i Baltyckiem, nad oceanem Atlantyckim — aż do fiordów skandynawskich; to samo powtórzyło się u podnóża Apenin i Alp, w górach Szwarcwaldu i w Karpatach; na równinach Rosji, Węgier, Francji i Hiszpanji. Wszędzie widzimy te same powstania miejskie, wszędzie posiadają one te same znamiona, przechodzą przez takie same okresy i kończą się w taki sam sposób. Gdy tylko ludzie spodziewali się znaleźć opiekę w murach miejskich, wiązali się „w sprzysiężenia", „w bractwa" i w najrozmaitsze związki, ożywione jedną ideą spólną i śmiało zmierzające ku życiu nowemu, opartemu na pomocy wzajemnej i wolności. A powodziło im się tak dobrze, że po trzystu lub czterystu latach całkowicie zmienili oblicze Europy. Kraje pokryły się pięknemi i wspaniałemi budowlami, wyrażającemi wolne dążenia ludzi wolnych, budowlami niezrównanemi dotąd w pięknie i wyrazistośc; pokolenia owe po-

zostawiły po sobie w spadku wszystkie sztuki i rzemiosła, które w naszej cywilizacji późniejszej tylko rozwinęły się. I gdy dzisiaj spoglądamy na siły, dzięki którym osiągnięto te wyniki olbrzymie, dochodzimy do wniosku, że mamy tu do czynienia nie z bohaterami indywidualnymi, ani nie z potężnymi organizacjami państw olbrzymich i nie z politycznemi zdolnościami władców, lecz poprostu z tym samym prądem pomocy wzajemnej, który widzieliśmy przy pracy we spólnocie wiejskiej, a który tylko w wiekach średnich wzmocnił się i odział w nowe formy, zwane gildjami i cechami.

Wiemy dzisiaj dobrze, że feudalizm bynajmniej nie pociągał za sobą rozkładu spólnoty wiejskiej. Jakkolwiek panu feudalnemu udało się narzucić chłopom robotę pańszczyźnianą i przywłaszczył on sobie prawa, należne przedtem wyłącznie spólnocie (cła, prawo martwej ręki, opłaty, związane z dziedziczeniami i małżeństwami), chłopi utrzymali dla gminy dwa prawa podstawowe: spólne dzierżenie ziemi i prawo własnego sądu. W czasach dawniejszych, gdy król posyłał swego urzędnika do wsi, chłopi przyjmowali go z mieczem w jednej ręce a z kwiatami w drugiej i pytali — jakie prawo ma zamiar stosować: czy prawo, które zastał we wsi, czy też to, które przynosi ze sobą? W pierwszym wypadku wręczali mu kwiaty, a w przeciwnym walczyli z nim. Później musieli przyjmować urzędników królewskich i nie mieli możności przeciwstawić się im; zachowali jednak sądownictwo gromadzkie, sami mianowali sześciu, siedmiu lub dwunastu sędziów i występowali wobec zgromadzenia łącznie z sędzią pańskim jako arbitrzy. W większości wypadków zadanie urzędnika królewskiego ograniczało się do potwierdzenia wyroku i do pobrania grzywny obyczajowej. To nadzwyczaj cenne prawo sądu własnego, będące w owych czasach równoznaczne z samorządem, utrzymało się po przez wszystkie walki; nie zdołali obalić go nawet prawnicy, otaczający Karola Wielkiego, i zmuszeni byli potwierdzić je. Jednocześnie we wszystkich sprawach, odnoszących się do majątku gminnego, gromada utrzymywała swoje pierwszeństwo i niejednokrotnie domagała się posłuszeństwa od samego pana. Najpełniejszy rozwój feudalizmu nie był w stanie złamać tego oporu. Spólnota wiejska trzymała się mocno i kiedy w wieku IX i X-ym napaści Normanów, Arabów i Hunnów dowiodły, że drużyny woj-

skowe niewiele zdziałać mogą dla obrony kraju, począł się w całej Europie ruch, zmierzający ku umocnieniu wsi palisadami i fortami. Wzniesiono wówczas wyłącznie siłami spólnot wiejskich całe tysiące małych twierdz; skoro zaś tylko wzniesiono wały obronne, natychmiast rodził się nowy interes spólny wokół nowego przedmiotu czci — wałów wiejskich: — wieś zrozumiała, że dzięki tym wałom może bronić się od napaści wszelkich nieprzyjaciół zewnętrznych — zarówno panów, jak cudzoziemców. Wewnątrz tych fortec gminnych poczęło rozwijać się nowe życie wolne. — Zrodziło się miasto średniowieczne.

Niema drugiego okresu dziejowego, który mógłby nam dostarczyć lepszych przykładów potęgi twórczej mas ludowych, niż wiek X i XI-y, kiedy to ufortyfikowane wsie i targowiska, będące „oazami pośród puszczy feodalnej", poczęły wyzwalać się z jarzma pańskiego i powoli wypracowywały organizację miejską. Niestety jednak jest to okres, po którym pozostało szczególnie mało dokumentów dziejowych: znane nam są jego wyniki, drogi jednak, wiodące do nich, giną w tajemnicy. Pod opieką murów miejskich zgromadzenia ludowe — bądź zupełnie niezależne, bądź też kierowane przez najwybitniejsze rodziny szlacheckie lub kupieckie — zdobywały i utrzymywały dla siebie prawo wybierania obrońcy wojennego (d e f e n s o r) i najwyższego sędziego miejskiego, lub conajmniej prawo wyboru pomiędzy pretendentami na to stanowisko. We Włoszech młode gminy miejskie nieustannie wypędzały swych d e f e n s o r ó w lub d o m i n i, ostro zwalczając tych, którzy opierali się. To samo działo się na wschodzie. W Czechach bogaci i biedni na równych prawach brali udział w wyborach; w miastach rosyjskich wiece raz po razu wybierały dowódców z tej samej rodziny Rurykowiczów, układały się z nimi i wypędzały kniaziów, jeśli wywołali niezadowolenie. W tym samym czasie w większości miast Zachodniej i Południowej Europy zapanował zwyczaj brania za defensora biskupa, wybranego przez samo miasto; biskupi ci niejednokrotnie kierowali obroną „immunitetów" miejskich, bronili wolności miejskiej i znaczna ich część została uznana po śmierci za świętych, za patronów miast poszczególnych. Takim jest np. św. Uthelred dla Winchesteru, św. Ulryk dla Augsburga, św. Wolfgang dla Ratlebony, św. Heribert dla Kolonj, św. Wojciech dla Pragi i t. d.; również niemało mnichów i przeorów

klasztornych zostało świętymi za obronę praw ludowych. Pod wo=dzą swych defensorów, bądź świeckich, bądź duchownych, mie=szczanie zdobywali prawo sądownictwa własnego i samorządu, opartego na zgromadzeniu ludowem.

Była to druga sprawa wyzwalania się, odbywająca się szere=gami drobnych czynów, poświęcenia się dla dobra ogólnego, czy=nów, dokonywanych przez ludzi z mas — przez bohaterów nieznа=nych, po których nie zachowały się nawet imiona. W młodych miastach właśnie zrodził się ten ruch dziwny, zwany „pokojem bożym" (t r e u g a D e i), przy pomocy którego masy ludowe usi=łowały położyć kres nigdy nie kończącym sę walkom rodzin szla=checkich; biskupi i mieszczanie próbowali w ten sposób doprowa=dzić szlachtę do tego pokoju, który panował wewnątrz murów miejskich. Już w owym czasie handlowe miasta włoskie, a szcze=gólnie Amalfi (posiadające swych konsulów z wyboru, już od r. 884 i często zmieniające swych dożów w w. X=ym wypracowały obyczajowe prawo handlowe i morskie, które później stało się wzorem dla całej Europy. Rawenna wypracowała organizację ce=chową, a Medjolan, który przeszdł rewolucję już w r. 980, stał się poważnym ośrodkiem handlowym: jego obroty handlowe cieszyły się pełną niezależnością już od w. XI=go. Podobne rzeczy spotyka=my w Bruges i w Gandawie; również w niektórych miastach fran=cuskich M a h l lub f o r u m, stało się instytucją niemal niezależ=ną. W tym samym okresie rozpoczyna się również praca nad ozdo=bieniem miast dziełami architektonicznemi, które podziwiamy do dnia dzisiejszego i które są wymownym dowodem ówczesnego ruchu umysłowego. Jak pisze w swojej kronice Raul Glaber — „bazyliki były wówczas wszędzie odbudowane, i najpiękniejsze budowle średniowieczne pochodzą właśnie z tego okresu". Cudo=wny stary kościół w Bremen wzniesiony był w w. IX=ym, św. Ma=rek w Wenecji był ukończony w roku 1071, a wspaniała katedra Pizańska w 1063. Rzeczywiście ruch umysłowy, nazywany odro=dzeniem wieku XII=go lub racjanalizmem wieku XII=go, będący poprzednikiem reformy, pochodzi właśnie z tego okresu, kiedy większość miast była wciąż jeszcze grupami małych spólnot wiej=skich, otoczona murami.

Potrzeba jednak było jeszcze innego czynnika, oprócz spól=noty wiejskiej, aby tym ośrodkom wolności i oświaty nadać je=

dność myśli i czynu, aby obdarzyć je inicjatywą, będącą ich głów-
ną potęgą w w. XII-m i XIII-ym. Łącznie z powstającą różnoro-
dnością zajęć, rzemiosł i sztuk, łącznie z rozwojem handlu w kra-
jach odległych, zjawiła się potrzeba nowych form organizacyjnych
— te nowe formy organizacyjne i ten nowy czynnik rozwoju —
to były gildje. Niezliczone tomy napisano już o związkach, zna-
nych pod imieniem gildji, bractw, związków przyjaźni, „drużestw"
i arteli w Rosji, esnaifów w Serbji i w Turcji, jako ankari w
Gruzji i t. d.; związki te nadzwyczajnie rozwinęły się w miastach
średniowiecznych i odegrały rolę pierwszorzędną w sprawie ich
wyzwolenia. Potrzeba jednak było 60-ciu lat pracy historyków,
abyśmy mogli zrozumieć całość tej instytucji. Dopiero dzisiaj,
gdy ogłoszono i zbadano setki ustaw gildyjnych i gdy określono
ich stosunek do rzymskich kollegji i do dawniejszych związków
w Grecji i w Indjach, możemy twierdzić napewno, że w bractwach
tych odbywał się dalszy rozwój tych samych zasad, które niegdyś
działały w rodach i wspólnocie wiejskiej.

Doskonałym przykładem tego, czem były bractwa średnio-
wieczne, służyć mogą te związki czasowe, które zawierano na po-
kładzie statku. Gdy statek hanzeatycki przepłynął pierwsze pół
dnia podróży po wyjściu z portu, kapitan zwoływał na pokład ca-
łą załogę i pasażerów i miał do nich przemowę następującą (według
opisu spółczesnego):

„Otośmy teraz na łasce Boga i fal — mówił on — musimy
„być wszyscy równi sobie nawzajem. Abyśmy zaś pośród burz,
„fal morskich, rozbójników i innych niebezpieczeństw mogli do-
„płynąć szczęśliwie do kresu podróży, musimy ściśle przestrzegać
porządku. Winniśmy modlić się o wiatry pomyślne i podróż szczę-
„śliwą, a także, zgodnie z prawem morskim, mamy powołać sę-
„dziów".—Po tem przemówieniu całe zgromadzenie wybierało wój-
„ta i 4-ch ławników (scabini), mających spełniać funkcje sę-
„dziów. Na końcu podróży wójt i scabini składali swoje urzędy
i zwracali się do zgromadzenia z następującem przemówieniem:
— „Bez względu na to, co zaszło na pokładzie, musimy uważać za
umarłe wszystko to, co było między nami. Wyroki, które wydali-
śmy, miały na celu sprawiedliwość. Oto dlaczego w imieniu spra-
wiedliwości prosimy was, abyście zaniechali wszelkiej niechęci
„przeciw bliźnim i przysięgli na chleb i sól, że nic o nich złego my-

„śleć nie będziecie. Jeśliby jednak, pomimo to wszystko, ktokol-„wiek uważał się za pokrzywdzonego, niech odwoła się o sprawie-„dliwość do wójta na lądzie przed zachodem słońca". Po wylądowaniu sakiewka, zawierająca pieniądze z grzywien, oddawana była wójtowi portowemu do podziału pomiędzy biednych.

Ten prosty opis zapewne lepiej, niż cobądź innego, oddaje ducha gildji średniowiecznej. Organizacje takie powoływane były do życia wszędzie, gdzie jaka bądź grupa ludzi — rybaków, myśliwych, kupców podróżujących, budowniczych lub osiadłych rzemieślników — zebrała się razem dla celów spólnych. Na pokładzie statku panowała władza kapitana, lecz dla samego powodzenia przedsięwzięcia spólnego, wszyscy znajdujący się na statku, zarówno bogaci jak biedni, panowie i słudzy, kapitan i majtkowie, godzili się na równość w stosunkach wzajemnych, godzili się na to, że będą poprostu ludźmi i że wszystkie powstające pomiędzy nimi spory przedłożą sędziom spólnie obranym. Podobnie gdy pewna liczba rzemieślników — murarzy, stolarzy, kamieniarzy i t. d. — zeszła się w celu budowania dajmy na to katedry, wszyscy oni należeli do miasta, posiadającego swą organizację polityczną i każdy należał do własnego cechu; pozatem jednak wszyscy razem tworzyli nowy związek, mający na celu przedsięwzięcie spólne, tworzyli całość społeczną, jakkolwiek czasową; zakładali gildję dla wzniesienia katedry. To samo widzimy do dnia dzisiejszego w kabylskiej s o f: Kabylowie posiadają swą spólnotę wiejską; organizacja ta jednak nie wystarcza dla wszystkich celów politycznych, handlowych i osobistych, i powstają bractwa ściślejsze.

Co się tyczy charakteru społecznego gildji średniowiecznej, jako przykład służyć może pierwsza lepsza ustawa gildyjna. Jeśli np. weźmiemy s k r a a jakiebądź dawnej gildji duńskiej, znajdziemy tam przedewszystkiem stwierdzenie uczuć ogólnobraterskich, które panować winny w gildji; dalej idą paragrafy, odnoszące się do sądownictwa własnego na wypadek waśni powstających pomiędzy dwoma braćmi lub pomiędzy bratem i obcym; i wreszcie wyliczone są obowiązki społeczne braci. Jeśli spali się dom brata lub postrada on swój statek, albo też poniesie straty podczas pielgrzymki, wszyscy bracia muszą przyjść mu na pomoc. Jeśli brat zachoruje niebezpiecznie, dwaj bracia muszą siedzieć przy łóżku, póki nie wyzdrowieje, a w razie śmierci muszą pochować go — za-

danie bynajmniej nie błahe w tym czasie epidemji — winni także odprowadzić go do kościoła i na cmentarz. Po śmierci brata muszą zaopiekować się w razie potrzeby jego dziećmi; wdowa niejedno=krotnie stawała się siostrą gildji.

Te dwa znamiona główne występowały we wszystkich bra=ctwach, zawiązywanych dla jakiegobądź celu. Zawsze członkowie uważali się nawzajem za braci i nazywali się braćmi i siostrami. wszyscy też byli równi wobec gildji. Często posiadali spólnie jakiś majątek (bydło, ziemię, budowle, miejsca kultu lub spólną kasę). Wszyscy bracia przysięgali, że zaniechają wszelkich waśni daw=nych; i, nie zobowiązując się, że nigdy kłócić się nie będą, prze=strzegali, aby żadna waśń nie zwyrodniała w zemstę krwawą lub w sprawę sądową, wytoczoną przed sądem zewnętrznym — nie przed sądem braterskim. Jeśli zaś jaki brat był wciągnięty w kłót=nię z człowiekiem, stojącym poza gildją, gildja pomagała mu w złem i w dobrem, bez względu na to, czy był on niesłusznie posą=dzonym o napaść, czy też rzeczywiście był napastnikiem, gildja spółdziałała w załagodzeniu całej sprawy. Bracia stali przy nim z pomocą póty, póki sprawa nie dotyczyła zarzutu napaści pod=stępnej — w tym ostatnim wypadku uważana była za wyjętą z pod prawa. Jeśli krewni człowieka pokrzywdzonego chcieli mścić się, bractwo dostarczało swemu członkowi, znajdującemu się w niebez=pieczeństwie, konia, na którym mógłby uciec, lub czółna, pary wioseł, albo też noża i krzesiwa: gdy pozostawał w mieście, towa=rzyszyło mu dwunastu braci dla obrony; jednocześnie zaś bractwo czyniło zabiegi w celu ułożenia się o rekompensatę. W razie po=trzeby stawali w sądzie jako świadkowie i zeznawali pod przysię=gą, jeśli zaś uznany został za winnego, ochraniali go przed ruiną ostateczną, przed niewolą, grożącą mu za niewypłacenie rekom=pensaty, i rekompensatę tę wnosili za niego: ciężar ten ponosili wszyscy członkowie bractwa, zupełnie tak samo, jak dawniej po=nosili go wszyscy członkowie „rodu". Jedynie gdy brat sprzenie=wierzył się swym braciom gildyjnym, lub innym ludziom, bywał on wypędzanym z bractwa z imieniem nicponia. („With a No=thing's name").

W średniowieczu tylko napaść podstępna uważana była za morderstwo. Zemsta krwawa, dokonana jawnie, była sprawiedliwo=

ścią; zabicie kogoś w kłótni bynajmniej nie było morderstwem, jeśli napastnik ujawniał chęć naprawienia zła, które uczynił.

Takie były myśli przewodnie tych bractw, które powoli pokryły całość życia średniowiecznego. Wiemy dzisiaj o istnieniu gildji we wszystkich zawodach możliwych; były gildje chłopów pańszczyźnianych, gildje ludzi wolnych, gildje obejmujące zarówno ludzi wolnych jak niewolnych; gildje powołane do życia wyłącznie w celu polowania, rybołówstwa, wypraw kupieckich — i rozwiązujące się z chwilą dokonania tych czynności; były także gildje trwające przez wieki całe, w jednym jakimś zawodzie lub w dziale handlu. W miarę wzrastającej złożoności życia mnożyły się również różne rodzaje gildji. Widzimy też połączonych w gildje nietylko kupców, rzemieślników, myśliwych i chłopów, lecz również gildje księży, malarzy, nauczycieli szkół elementarnych lub uniwersytetów, gildje dla wykonywania przedstawień pasyjnych, dla budowy kościołów, dla rozwoju jakiejś „tajemnicy" lub pewnego kierunku w sztuce czy rzemiośle, wreszcie gildje dla celów rozrywkowych; — były nawet gildje żebraków, katów, kobiet upadłych—zorganizowane wszystkie na tej samej zasadzie własnego sądownictwa i pomocy wzajemnej. Co się tyczy Rosji, posiadamy dzisiaj dowody, że samo tworzenie Rosji było w jednakiej mierze dziełem „arteli" myśliwych, rybaków i kupców, jak rodzących się spólnot wiejskich; do dzisiejszego dnia cała Rosja pokryta jest artelami.

Spostrzeżenia powyższe udowadniają nam całą błędność poglądów tych badaczy, którzy upatrywali w gildjach głównie organizację dla obchodzenia świąt dorocznych. Rzeczywiście — dzień biesiady spólnej był zawsze dniem, lub wilją, wyborów zarządu, dyskusji, zmiany statutu, a także dniem sądów z powodu kłótni, jakie mogły powstać pomiędzy braćmi; był to również dzień odnawiania przysięgi gildyjnej. Biesiada spólna — podobnie jak dawna biesiada zgromadzenia ludowego w plemieniu. m a h l lub m a l u m lub a r a burjacka, jak wreszcie biesiada parafialna czy angielska wieczerza dożynkowa — była poprostu potwierdzeniem braterstwa. Wieczerza ta symbilizowała czasy, kiedy wszystko było spólną własnością klanu: przynajmniej tego dnia wszystko należało do wszystkich, wszyscy zasiadali przy tym samym stole i spożywali jadło to samo. Nawet w czasach znacznie późniejszych

stali bywalcy domu biednych w Londynie zasiadali dnia tego obok kupców bogatych. Co się tyczy różnicy, którą pewni badacze chcieli przeprowadzić pomiędzy starą saksońską gildją pokojową („frith guild“) i t. zw. gildjami towarzyskiemi lub religijnemi, to jest ona nie do utrzymania: — wszystkie gildje były gildjami pokojowemi w znaczeniu wyżej opisanem i wszystkie były gildjami religijnemi, ponieważ każda gmina wiejska lub miasto oddane było pod opiekę specjalnemu świętemu. Gildje tak bardzo rozwinęły się w Azji, Afryce i Europie, że przeżyły tysiące lat i nieustannie wciąż jeszcze zjawiają się, gdy tylko znajdą się okoliczności sprzyjające; a wszystko to dzięki temu, że bynajmniej nie były one tylko zrzeszeniami biesiadnemi, lub zrzeszeniami uroczystego pochodu do kościoła w dni święte, czy stowarzyszeniami pogrzebowemi. Odpowiadały one głębokim potrzebom natury ludzkiej i zawierały w sobie wszystko to, co w czasach późniejszych przywłaszczyło sobie państwo dla biurokracji i policji — zawierały znacznie więcej jeszcze. Gildja była organizacją pomocy wzajemnej we wszystkich okolicznościach i we wszystkich wypadkach życia; pomagano sobie „czynem i radą“; była to organizacja utrzymująca sprawiedliwość pomiędzy ludźmi, sprawiedliwość ta jednak tem różniła się od sprawiedliwości państwowej, że przy wymierzaniu jej wchodził w grę pierwiastek ludzki, zamiast pierwiastka formalnego, występującego wszędzie, gdzie tylko wmiesza się państwo. Członek gildji nawet wówczas, gdy stawał przed sądem gildyjnym, odpowiadał wobec ludzi, znających go dobrze, pracujących z nim spólnie w pracy powszedniej, zasiadających do spólnej biesiady i wykonywujących obowiązki braterstwa: byli to rzeczywiście bracia równi mu we wszystkiem, a nie teoretycy prawa i nie obrońcy czyichś tam, obcych interesów.

Widoczne jest, że instytucja tak dobrze przystosowana do zaspakajania potrzeb zrzeszeniowych, zachowująca jednocześnie całą siłę inicjatywie indywidualnej, musiała szybko rozwinąć się, rozpowszechnić i wzmocnić. Trudność polegała tylko na znalezieniu takich form, które pozwalałyby tworzyć związki międzyreligijne bez wchodzenia w drogę spólnotom wiejskim i aby można było doprowadzić wszystko do większych całości sharmonizowanych. To też, gdy forma ta została znaleziona i gdy cały szereg okoliczności przyjaznych umożliwił miastom zapewnienie sobie

samodzielności, osiągnęły one taką olbrzymią jedność myśli, że może ona tylko wzbudzać podziw w naszem stuleciu dróg żelaznych, telegrafów i maszyn drukarskich. Doszły do nas tysiące „przywilejów“, w których zawarte są swobody zdobyte przez miasta, i przez wszystkie te przywileje — poza całą różnorodnością szczegółów zależnych od większego lub mniejszego stopnia usamodzielnienia się — jak nić czerwona ciągną się te same myśli przewodnie. Miasto średnioweczne zorganizowane było jako związek małych spólnot wiejskich i gildji.

Przywilej z roku 1188 nadany przez Filipa hr. Flandrji mieszkańcom Aire opiewa:

„Wszyscy należący do przyjacielskiego związku miejskiego, „obiecali i przysięgą to stwierdzili, że po bratersku będą pomagac „sobie nawzajem we wszystkiem pożytecznem i uczciwem; że je„śli kto bądź obrazi drugiego słowem lub czynem, pokrzywdzony „nie będzie szukał zemsty, ani sam ani przez swych domowników..., „lecz złoży skargę, przenosząc na sąd całą zemstę i podporządkowując się temu co orzeknie 12 sędziów, występujących jako arbi„trzy. Jeśliby zaś krzywdziciel lub pokrzywdzony pomimo trzy„krotnego ostrzeżenia nie poddał się orzeczeniu arbitrów, wyłą„czony będzie ze związku przyjaźni jako człowiek zły i wiaro„łomny“.

„Każdy przynależny do gminy miejskiej winien być wierny „swym spółobywatelom i pomagać im czynem i radą zgodnie ze „wskazaniami sumienia“ — mówi przywilej miast Amiens i Abbevile. — „Wszyscy w miarę swych sił w granicach miasta winni po„magać sobie nawzajem i nie wolno im ścierpieć, aby ktobądź za„brał cobądź obywatelowi lub zmusił go do płacenia daniny“ — czytamy w przywileju miasta Soissons, Compiegne, Senlis i w wielu innych podobnych. To samo w odmianach nieskończonych spotykamy w mnóstwie innych przypadków.

„Gmina miejska — pisał Guilbert de Nogent — jest sprzy„siężeniem pomocy wzajemnej; Jest to wyraz nowy i ohydny. Dzię„ki niemu poddani pańscy zostają zwolnieni z poddaństwa; dzię„ki niemu mogą być za przestępstwa prawne skazywani tylko na „grzywny ściśle określone; dzięki niemu przestają podlegać opła„tom wnoszonym zwykle przez poddanych“.

W wieku XII-ym ta fala wyzwoleńcza przeszła przez wszyst-

kie kraje kontynentu, obejmując jednako miasta bogate jak mieściny najuboższe. Powiedzieć możemy, że miasta włoskie wyzwoliły się najpierwsze, nie moglibyśmy jednak wskazać ośrodka, z którego rozchodził się ten ruch. Bardzo często rozpoczynało się to od jakiejś mieściny w Europie środkowej; potem wielkie zbiorowiska ludzkie przyjmowały za wzór swego przywileju to, co mieścina ta dla siebie wypracowała. Tak np. przywilej drobnego miasta Lorris przyjęty był przez 83 miasta Francji południowo-zachodniej, a przywilej Beaumont stał się wzorem dla 500 miast i osad w Belgji i Francji. Specjalne poselstwa wysyłane były do miast sąsiednich w celu otrzymania odpisów z przywileju i konstytucja miejska była potem układana podług tego wzoru. Bynajmniej jednak nie kopjowano mechanicznie. Każdy przywilej układany był zgodnie z temi ulgami, które miastu udało się otrzymać od swego pana; dzięki temu — jak wyraził się pewien historyk — przywileje miast średniowiecznych przedstawiają tę samą różnorodność co architektura gotycka ich katedr i kościołów. We wszystkich znajdujemy te same myśli przewodnie — katedra była symbolem jedni parafji, gildji i miasta — i tę samą nieskończoną różnorodność szczegółów.

Punktem głównym było prawo do sądownictwa własnego: a sądownictwo własne znaczy to samo, co samorząd. Gmina miejska jednak bynajmniej nie była „autonomiczną" częścią państwa — ten wyraz dwuznaczny nie był jeszcze wówczas wynaleziony— była ona samem państwem. Gmina posiadała prawo wojny i pokoju, mogła wchodzić w związki ze wszystkimi swymi sąsiadami. Była niepodległa we wszystkich sprawach; najwyższa władza polityczna znajdowała się w rękach forum demokratycznego — jak to np. miało miejsce w Pskowie, którego wiece przyjmowały i wysyłały ambasadorów, zawierały traktaty pokojowe, wprowadzały na tron lub wypędzały książąt, albo też przez całe dziesiątki lat zupełnie się bez nich obchodziły; zdarzało się także, że władza miejska uzurpowana była przez arystokrację szlachecką lub mieszczańską — jak to miało miejsce w setkach miast włoskich i środkowo-europejskich.

Zasada jednak pozostawała zawsze ta sama: miasto było państwem i — co być może jest jeszcze bardziej znamienne—gdy władza miejska została pochwycona przez arystokrację miejską

lub szlachecką, wewnętrzne życie miejskie i jego demokratyzm codzienny bynajmniej nie zniknęły: tylko w bardzo nieznacznym stopniu zależały one od tego, co nazwać możemy polityczną formą państwa.

Tajemnica tej anomalji pozornej wyjaśnia się w ten sposób, że miasto średniowieczne bynajmniej nie było państwem centralistycznem. W ciągu pierwszych wieków swego istnienia miasto ze względu na swą organizację wewnętrzną zgoła nie mogłoby być nazwane państwem — średniowiecze nie znało spółczesnej centralizacji czynności, jak nie znało spółczesej centralizacji terytorjalnej. Każda grupa posiadała swą cząskę niepodległości. Każde miasto podzielone było zwykle na cztery lub pięć dzielnic, promienisto rozchodzących się od środka, przyczem każda dzielnica zgruba odpowiadała jakiemuś zawodowi lub działowi handlu, który przeważał w niej; jednocześnie jednak zawierała ona mieszkańców różnego zajęcia i różnej pozycji społecznej, — szlachtę, kupców, rzemieślników, a nawet półchłopów niewolnych. Każda dzielnica była zbiorowiskiem niemal niezależnem. W Wenecji każda wyspa była niezależną spólnotą polityczną. Posiadała swój własny handel, własny rynek solny, własne sądownictwo, administrację i forum; i naznaczenie takiego lub innego doży dla całego miasta nie zmieniało w niczem wewnętrznej niezależności każdej jednostki miejskiej. W Kolonji widzimy mieszkańców podzielonych na G e b u n t s c h a f t e n i H e i m s c h a f t e n t. j. na gildje sąsiedzkie, datujące się aż od epoki frankońskiej. Każda taka gildja miała swojego sędziego, 12 ławników, wójta i dowódcę milicji miejskiej. Dzieje dawnego Londynu przed podbojem — jak mówi Green — są dziejami pewnej liczby grup ludzkich, rozrzuconych tu i owdzie wewnątrz murów i rozwijających każda swe własne instytucje, gildje, sądy, własne domy zgromadzeń religijnych i t. p. i tylko powolnie zrastających się w jedno miasto. Jeśli sięgniemy do roczników miast rosyjskich, Nowgorodu i Pskowa, — a obydwa dość są bogate w szczegóły — znajdziemy tam dzielnice (kaniec), składające się z niezależnych ulic, z których każda — zamieszkana głównie przez rzemieślników jednego jakiegoś rzemiosła, lecz także przez kupców i właścicieli ziemi — była gminą oddzielną. Odpowiadała ona spólnie na wypadek przestępstwa, posiadała swe własne sądownictwo i swą własną administrację, sprawo-

waną przez starostów ulicznych, posiadała własną pieczęć i w razie potrzeby własne forum; miała także własną milicję i wybranych przez siebie kapłanów — słowem własne życie zbiorowe i zbiorowe przedsięwzięcia.

Widzimy więc, że miasto średniowieczne jest związkiem dwojakiego rodzaju: związkiem właścicieli domów, połączonych terytorjalnie — jako związek ulicy, parafji lub dzielnicy — i związkiem jednostek, złączonych przysięgą w gildje odpowiednio do zawodów. Pierwsza z tych form organizacji była wytworem spólnoty wiejskiej, z której wyrosło miasto, gdy druga jest tworem późniejszym, powołanym do życia przez nowe warunki.

Główną troską miasta średniowiecznego było zapewnienie wolności samorządu i pokoju; podstawą zaś całej organizacji miejskiej była praca — jak to wnet zobaczymy, gdy mówić będziemy o gildjach rzemieślników czyli o cechach. „Produkcja" jednak bynajmniej nie zaprzątała całej uwagi ekonomisty średniowiecznego. Z właściwym sobie zmysłem praktycznym pojmował on, że dla zabezpieczenia produkcji należy również uregulować spożycie, t. j. zapewnić ludności mieszkanie i pożywienie — zarówno ludności biednej jak zamożnej. Wokół tych szkół obracały się interesy miasta. Surowo zakazane było kupowanie produktów pierwszej potrzeby, jak np. węgiel, drzewo i t. p., zanim nie zostały one wystawione na rynku, czyli uniemożliwiano korzystanie z wyjątkowo dogodnych okoliczności kupna. Każda rzecz musiała iść na rynek i być wystawiona na sprzedaż publiczną póty, póki dzwonek nie oznajmił o zakończeniu targu. Dopiero wówczas detalista mógł nabywać to, co pozostało; lecz nie mógł ciągnąć zysku nieograniczonego i musiał zadowolić się „zyskiem „uczciwym". Gdy zboże zostało kupione przez piekarza hurtownika po zakończeniu targów, każdy obywatel mógł zażądać należnej mu części (około pół ćwierci) na swój własny użytek po cenie hurtowej. I odwrotnie — każdy piekarz mógł zażądać tego samego, jeśli obywatel nabył zboże lub mąkę w celu odprzedaży. W pierwszym wypadku zboże winno było być odniesione do młyna miejskiego i tam zostawało zmielone za opłatą stałą, chleb zaś mógł być wypieczony w piecu miejskim (f o u r b a n a l). Słowem — jeśli okazał się w mieście brak żywności, cierpieli na tem wszyscy jednakowo w większym lub mniejszym stopniu; poza tymi szczególnymi wypadkami

jednak w mieście średniowiecznem nikt nie mógł umrzeć z głodu, jak to niestety zbyt często zdarza się w naszych miastach spół-czesnych.

Zaznaczyć należy, że wszystkie te postanowienia odnoszą się do późniejszego okresu życia miast średniowiecznych; we wcześniejszym zaś okresie miasto samo nabywało jadło i przedmioty pierwszej potrzeby dla swoich obywateli. Ogłoszone w ostatnich czasach przez Gross'a dokumenty nie pozostawiają pod tym względem żadnej wątpliwości; widzimy z nich, że całe ładunki jadła kupowane były dla miasta przez urzędników miejskich i dzielone potem pomiędzy detalistów; przyczem nikomu nie wolno było nabywać towarów w porcie póty, póki władze miejskie nie oznajmiły, że nabywać ich nie mają zamiaru. Jak mówi Gross —było to zwyczajem w Anglji, w Irlandji, Walji i Szkocji. Nawet w wieku XVI-ym spotykamy spólne zakupy zboża, czynione przez miasta; opowiada o tem jeden z dokumentów miasta Londynu z roku 1565. Wiadomą jest rzeczą, że w Wenecji cały handel zbożem znajdował się w rękach miasta; dzielnice miejskie otrzymywały zboże od administracji centralnej i obowiązane były dostarczyć każdemu obywatelowi tyle, ile na niego przypadło. Miasto Amiens we Francji kupowało sól i rozdzielało ją pomiędzy obywateli po cenie kosztu. Do dzisiejszego dnia widzimy jeszcze w wielu miastach francuskich t. zw. „hale", które niegdyś były składami miejskimi soli i zboża. Podobne zwyczaje panowały w Rosji — w Nowgorodzie i w Pskowie.

Cała ta bardzo ciekawa sprawa zakupów miejskich, czynionych dla wygody obywateli, i sposoby, którymi się posługiwano, jest wciąż jeszcze bardzo niedostatecznie zbadana przez historyków; w dziełach historycznych spotykamy tylko tu i owdzie nieco faktów, w ciekawy sposób rzecz całą oświetlających. Tak np. pomiędzy dokumentami, ogłoszonymi przez Gross'a, znajdujemy rozporządzenie z roku 1367, ujawniające w jaki sposób ustalano ceny. „Kupcy i marynarze — pisze Gross — musieli pod przysię-„gą zeznać, jakie były rzeczywiste koszty nabycia towarów i kosz-„ty transportu. Wówczas „major" miasta łącznie z dwoma męża-„mi zaufania określał cenę, po której wolno było sprzedawać". Ten sam obyczaj przestrzegany był w Thurso dla wszystkich towarów „przychodzących morzem lub lądem". Ten sposób ozna-

czania ceny tak dobrze odpowiada powszechnym w średniowieczu poglądom na handel, że spotykamy go wszędzie. Cena niemal zawsze oznaczana była przez osobę trzecią; wrazie zaś wymiany pomiędzy miastem i instytucjami zewnętrznemi było we zwyczaju oznaczanie ceny przez mężów zaufania — przez osobę trzecią— a bynajmniej nie przez nabywcę i sprzedawcę. Ten stan rzeczy cofa nas w dzieje handlu pierwotnego, a mianowicie w czasy, kiedy handel głównymi produktami spożycia prowadzony był przez miasto, kupcy zaś byli tylko komisjonerami lub miejskimi pełnomocnikami, sprzedającymi czy nabywającymi w imieniu miasta. Dekret miasta Waterfordu, ogłoszony również przez Grossa, opiewa, że wszelkie rodzaje towarów winny być nabywane przez burmistrza i ławników na rzecz miasta, aby potem mogły być podzielone pomiędzy obywateli. Dekret ten może być zrozumiały jedynie wówczas, gdy przyjmiemy, że zewnętrzny handel miasta prowadzony był przez agentów miejskich. Bezpośrednie dowody takiego stanu rzeczy posiadamy dla Nowgorodu i Pskowa. Niepodległy Nowgorod i niepodległy Psków wysyłały swe karawany kupców w kraje odległe.

Wiemy także, że niemal we wszystkich miastach średniowiecznych, w środkowej i zachodniej Europie cechy rzemieślnicze występowły jako całość przy zakupie surowców, łącznie również — przez samych urzędników — sprzedawały produkty własne. Byłoby dziwne, gdyby tego samego sposobu nie stosowano do handlu zewnętrznego, tembardziej, że, jak wiadomo, aż do wieku XIII-go uważano wszystkich kupców jakiegoś miasta za odpowiedzialnych nazewnątrz solidarnie za wszystkie zobowiązania, zaciągnięte przez któregobądź z nich; więcej — całe miasto odpowiadało za zobowiązanie każdego ze swych kupców. Dopiero w XII i XIII-ym wieku miasta reńskie przez traktaty specjalne zniosły tę odpowiedzialność. Mamy wreszcie ciekawy dokument w Ipswich — ogłoszony również przez Grossa, — mówiący nam, że gildja kupiecka tego miasta złożona była ze wszystkich wolnych obywateli miejskich, którzy zgodzili się płacić składkę gildyjną; przyczem cała gmina miejska roztrząsała spólnie, jak utrzymać gildję kupiecką i zdobyć dla niej przywileje. Widzimy z tego, że gildja kupiecka w Ipswich była raczej zrzeszeniem miejskich urzędników zaufanych, niż zwykłą gildją prywatną.

Słowem — im bardziej poznajemy miasto średniowieczne, tem jaśniej widzimy, że było ono nietylko organizacją dla obrony pewnych wolności politycznych. Była to próba zorganizowana na większą skalę, niż w spólnocie wiejskiej, ścisłego związku pomocy wzajemnej, związku spożywczego i wytwórczego, będącego jednocześnie związkiem życia społecznego wogóle; — a wszystko to bez nakładania na ludzi kajdan państwowych, lecz dając pełną swobodę ujawniania się zdolności twórczej każdej grupy jednostek zarówno w sztuce, rzemiosłach i nauce, jak w handlu i organizacjach politycznych. W jakiej mierze próba ta powiodła się, to zobaczymy w rozdziale następnym, gdzie omówimy organizację pracy w mieście średniowiecznem i stosunek miasta do otaczającej ludności chłopskiej.

Rozdział VI.

POMOC WZAJEMNA W MIEŚCIE ŚREDNIOWIECZNEM

(ciąg dalszy.)

Podobieństwa i różnice pomiędzy miastami średniowiecznemi. — Gildje rzemieślnicze; ich państwowe właściwości. — Postawa miasta względem chłopów; próby wyzwolenia ich. — Panowie. — Wyniki osiągnięte przez miasto średniowieczne — w sztukach, w nauce. — Przyczyny upadku.

Miasta średniowieczne nie były zorganizowane podług jakiegoś planu z góry obmyślanego i zgodnie z wolą prawodawcy zewnętrznego. Każde z nich w pełnem znaczeniu tego wyrazu, było wynikiem rozwoju naturalnego — wynikiem zawsze zmiennej walki pomiędzy różnemi siłami, układającemi się tak lub inaczej zależnie od ustosunkowania wzajemnego, od możliwości starć i od spółdziałania środowiska. Dzięki temu, nie mamy dwóch miast, posiadających identyczną organizację wewnętrzną. Każde z nich, wzięte oddzielnie, zmienia się ze stulecia na stulecie. Jeśli jednak narodowe i jesteśmy zdumieni panującą pomiędzy niemi jednostajnością—pomimo tego, że każde z nich rozwijało się niezależnie od innych i w warunkach odmiennych. Małe miasteczko w północnej Szkocji, zamieszkane przez prostodusznych rolników i rybaków; bogate miasto flandryjskie ze swym handlem światowym, zbytkiem i upodobaniem w życiu ożywionem i pełnem rozrywek; miasto włoskie, wzbogacone na stosunkach ze Wschodem i hodujące w swych murach wydelikacony zmysł artystyczny i cywilizację; a obok nich mieścina rosyjska, zaludniona głównie przez rolników i zgubiona gdzieś pośród bagien — cóż mogą mieć spólnego? — A przecie wszędzie spotykamy tę samą przewodnią ideę organizacyjną i duch, ożywiający wszystkie te miasta, nadaje im wybitne podobieństwo rodzinne. Wszędzie widzimy te same związki

małych gmin i gildji, te same przedmieścia rozłożone wokół miasta macierzystego, ten sam wiec ludowy i te same znamiona niepodległości. Defensor miasta pod rozmaitemi imionami i pod różną odzieżą jest przedstawicielem tej samej władzy i tych samych interesów. Dostarczanie jadła, organizacja pracy i handlu — wszystko to odbywa się w sposób bardzo podobny; walki wewnętrzne i zewnętrzne staczane są pod parciem tych samych ambicji; więcej — formuły używane w walkach, w rocznikach, w dekretach i ustawach są identyczne; podobnie — pomniki architektoniczne, bądź gotyckie, bądź romańskie czy bizantyjskie, wyrażają te same dążenia i te same ideały — są one pomyślane i wznoszone w taki sam sposób. Różnice są zależne od czasu. Jedność myśli przewodniej i tożsamość pochodzenia zapanowują tu nad różnicami klimatu, położenia geograficznego, zamożności, języka i religji. Dzięki temu właśnie, możemy mówić o mieście średniowiecznem, jako o wyraźnie określonym okresie cywilizacyjnym i, jakkolwiek pożądane byłoby wykazywanie i odnajdywanie różnic indywidualnych, możemy zwrócić uwagę na główne linje rozwojowe, spólne wszystkim miastom.

Nie ulega wątpliwości, że opieka, którą otaczano plac targowy, była czemś bardzo ważnem już w czasach barbarzyńskich; odegrała ona poważną — jakkolwiek nie jedyną — rolę w sprawie wyzwalania się miasta średniowiecznego. Barbarzyńcy pierwotni nie znali handlu zewnątrz spólnoty wiejskiej; handlowali oni wyłącznie z cudzoziemcami, na miejscach ściśle określonych i w dni określone. Aby zaś cudzoziemiec mógł przyjść na miejsce wymiany, nie narażając się na to, że będzie zabity z powodu walki, toczącej się pomiędzy jego rodem i którymś z rodów gminy, plac targowy znajdował się zawsze pod szczególną opieką wszystkich rodów. Był on nietykalny, podobnie jak świątynia, pod której patronatem targ się odbywał. U Kabylów plac targowy jest zawsze anaja, na równi ze ścieżką, po której chodzą kobiety, noszące wodę ze źródła — nie wolno tamtędy przechodzić z bronią nawet podczas wojen międzyplemiennych. W czasach średniowiecznych plac targowy korzystał z tych samych przywilejów, żadnej zemsty nie wolno było dokonywać na placu targowym, ani w pewnym promieniu od niego; w razie zaś powstania kłótni w tłumie kupujących i sprzedających, spór musiał być

przedłożony do rozpatrzenia tym, którzy uważani byli za opiekunów targowiska — a więc przed trybunał gminny, bądź przed biskupa, barona, czy sędziego królewskiego. Cudzoziemiec, przychodzący w celach handlowych, uważany był za gościa. Nawet baron, nie mający żadnych skrupułów, gdy chodziło o ograbienie kupca na gościńcu, umiał uszanować „Weichbild", t. j. słup stojący na placu targowym i dźwigający bądź herb królewski, bądź miecz, bądź też wyobrażenie świętego miejscowego czy też poprostu krzyż — a to zależnie od tego, czy targowisko znajdowało się pod opieką króla, barona, kościoła miejscowego, czy wreszcie zgromadzenia ludowego — wiecu.

Nie trudno zrozumieć, w jaki sposób własne sądownictwo miejskie rozwinęło się ze specjalnego sądownictwa na placu targowym — gdy to ostatnie prawo, dobrowolnie lub nie, przyznano samemu miastu. To pochodzenie swobód miejskich — a możemy je ujawnić w niejednym wypadku—nieuniknienie położyło znamię szczególne na późniejszym ich rozwoju. Zapewniło ono przewagę handlowi w gminie miejskiej. Obywatele, posiadający dom w mieście i będący jednocześnie spółwłaścicielami gruntów miejskich, tworzyli często gildję kupiecką, dzierżącą w swych rękach handel miejski; i jakkolwiek pierwotnie każdy mieszkaniec miasta, bogaty lub biedny, mógł być członkiem gildji kupieckiej i sam handel był, jak się zdaje, prowadzony na rzecz całego miasta przez jego agentów, gildja kupiecka stała się powoli pewnego rodzaju ciałem uprzywilejowanem. Poczęła ona zazdrośnie zamykać się przed przybyszami, tłumnie napływającymi do miast wolnych, i korzyści ciągnione z handlu usiłowała zachować dla nielicznej garstki „rodzin", które miały obywatelstwo miejskie w czasie uniezależnienia się miasta. Jasne jest, że prowadziło to wprost do oligarchji kupieckiej. Atoli już w X-ym, a jeszcze bardziej w XI i XII-ym stuleciu, organizują się również główne rzemiosła i tworzą gildję dość potężne na to, aby przeciwstawić się oligarchicznym dążnościom kupców.

Gildja rzemieślnicza, cech, zajmowała się wówczas sprzedażą wytworów swych członków i nabywała dla nich materjały surowe; członkowie jej byli jednocześnie kupcami i rękodzielnikami. Dzięki temu wpływ dawnych cechów rzemieślniczych od samgeo początku miasta wolnego zapewnił pracy ręcznej tę pozycję wysoką,

którą i później zajmowała w mieście. Rzeczywiście — w mieście średniowiecznem praca ręczna bynajmniej nie posiadała piętna czegoś niższego; przeciwnie — była ona otoczona szacunkiem nie mniejszym, niż w dawnej spólnocie wiejskiej. Praca ręczna przy jakimś „misterjum" uważana była za spełnienie obowiązku pobożnego wobec spółobywateli :było to wykonywanie funkcji społecznej równie czcigodnej jak każda inna. Wytwórczość i wymiana przeniknięta była ideą sprawiedliwości zarówno w stosunku do wytwórcy jak do spożywcy — co wydałoby się dzisiaj rzeczą tak dziwaczną. Praca rymarza, kotlarza lub szewca musi być piękna i sprawiedliwa — pisano w owych czasach. Drzewo, skóra, lub nici, używane przez rzemieślnika, winny być „prawe"; chleb winien być wypiekany „podług sprawiedliwości" — i t. d., i t. d. Wyrażenia tego rodzaju, przeniesione w nasze czasy, wydałyby się czemś przesadzonem i nienaturalnem; nie miały jednak w sobie nic nienaturalnego wówczas, ponieważ rzemieślnik średniowieczny bynajmniej nie wytwarzał dla jakiegoś nieznanego nabywcy, ani też na rynek nieznany. Wytwarzał on przedewszystkiem dla swojej własnej gildji; dla bractwa ludzi znających się nawzajem, świadomych techniki rzemiosła i mogących łacno określić cenę każdego wytworu, a także ocenić zręczność rozwiniętą przy wyrabianiu go i ilość pracy włożonej. Wyprodukowane dobra wystawiane były na sprzedaż w gminie nie przez oddzielnego wytwórcę, lecz przez gildję czyli cech; jeśli zaś szły na sprzedaż zewnętrzną, sprzedawane były przez całą gminę miejską, która brała na siebie odpowiedzialność za ich jakość. Przy tego rodzaju organizacji, żaden cech nie mógł usiłować dawać wyrobów jakości niższej, i braki techniczne lub zafałszowania musiały być tępione przez całą gminę, ponieważ—jak wyrażano się w owych czasach— „zburzyłyby zaufanie powszechne". Wytwarzanie było więc jednym z obowiązków społecznych, znajdowało się pod nadzorem całej a m i t a s i praca ręczna nie mogła spaść do tego upośledzonego miejsca, które zajmuje dzisiaj.

Różnica pomiędzy majstrem i uczniem, lub pomiędzy majstrem i czeladnikiem istniała w miastach średnowiecznych już od samego początku; pierwotnie jednak była to tylko różnica wieku lub wyćwiczenia w rzemiośle, a bynajmniej nie różnica zamożności i wpływów. Po siedmiu latach nauki i po wykazaniu swego

przygotowania (przez „majstersztyk"), uczeń sam stawał się majstrem. Dopiero znacznie później w wieku XVI-ym, kiedy władza królewska zniszczyła miasta i organizację cechową, stało się możliwem zostanie majstrem przez proste odziedziczenie majsterstwa lub dzięki posiadanemu majątkowi. Był to jednak również czas ogólnego upadku średniowiecznych sztuk i rzemiosł.

W mieście średniowiecznem, w pierwszym kwitnącym jego okresie, niewiele było miejsca na pracę najemną, a jeszcze mniej dla najemników indywidualnych. Praca płatnerza, tkacza, kowala, piekarza i t. d. wykonywana była dla cechu i dla miasta; jeśli zaś członkowie cechu najmowani byli do wznoszenia budowli, pracowali w związkach czasowych (jak to dotychczas odbywa się w rosyjskich artelach) i praca ich opłacana była en bloc. Dopiero znacznie później poczęła płaca napływać do rąk samego majstra; lecz nawet wówczas płaca robotnika opłacana była lepiej, niż dzisiaj w Anglji, i znacznie lepiej niż na kontynencie Europy. Obszernie pisze o tem Thorold Rogers, a także Falke i Schönberg. Nawet w wieku XV-ym murarz lub cieśla, czy też czeladnik kowalski, pobierał w Amiens 4 soldy dziennie, co odpowiada 48 funtom chleba, lub ósmej części byczka. W Saksonji zarobek czeladnika budowlanego był tak wysoki, że — jak powiada Falke — mógł on za swój 6-dniowy zarobek kupić 3 owce i parę obuwia. Ofiary składane przez czeladników, pracujących przy wznoszeniu katedr, również świadczą o względnym dobrobycie — pomijając już wspaniałe ofiary całych cechów, lub gildjii i pomijając olbrzymie wydatki na uroczystości i procesje. Rzeczywiście — im bardziej poznajemy miasto średniowieczne, tem bardziej przekonywujemy się, że w żadnym okresie dziejowym praca nie cieszyła się tak pomyślnymi warunkami i takim szacunkiem, jak wtedy, gdy miasta znajdowały się u szczytu rozwoju.

Więcej powiem — urzeczywistnione były wówczas nietylko liczne marzenia radykałów spółczesnych, lecz niejedno z tego, co dzisiaj wydaje nam się utopją, było rzeczą powszednią. Wyśmiewają nas, gdy domagamy się, aby praca była przyjemna, a oto w dekrecie z Kuttenbergu czytamy, że „każdy musi znajdować przyjemność w swej pracy i że nikomu nie wolno przywłaszczać sobie „pracy innych, jeśli sam nie pracuje, ponieważ prawo musi być „tarczą obronną dla pracy". Niemało mówi się dzisiaj o 8-godzin-

nym dniu roboczym, warto jednak byłoby przypomnieć dekret Ferdynanda I, odnoszący się do kopalni królewskiej i określający dzień górnika na 8 godzin „jak to zdawna było we zwyczaju". Praca w sobotę po południu również była zakazana. Jansen powiada, że dłuższy dzień niż 8 godzin spotykany był bardzo rzadko, często natomiast spotykamy dzień krótszy. W Anglji, jak pisze Rogers, w wieku XV-ym pracowali robotnicy tylko 48 godzin na tydzień. Półświęto w sobotę, które uważane jest dzisiaj za zdobycz spółczesną, było w rzeczywistości starym zwyczajem średniowiecznym; był to czas kąpieli dla większej części gminy miejskiej, gdy jednocześnie środa po południu przeznaczona była na kąpiel dla czeladników. Nie istniały wprawdzie posiłki szkolne dla dzieci — prawdopodobnie z tego powodu, że nie było dzieci głodnych idących do szkoły — rozdawano jednak dzieciom rodziców niezamożnych pieniądze na kąpiel. Co się tyczy kongresów pracy, odbywały się one regularnie w średniowieczu. W niektórych częściach Niemiec rzemieślnicy tego samego rzemiosła, należący do rozmaitych gmin miejskich, co roku zbierali się razem w celu spólnego omówienia spraw swego rzemiosła, określenia lat trwania nauki, lat wędrówek, płac i t. p. W roku 1572 miasta hanzeatyckie uznały formalnie prawo rzemiosł do odbywania kongresów perjodycznych i do uchwalania na nich rezolucji dowolnych, byleby tylko nie sprzeciwiały się te rezolucje ustawom miejskim ,odnoszącym się do jakości produktów. Tego rodzaju kongresy pracy, posiadające częściowo charakter międzynarodowy — jak sama Hanza — zwoływane były przez piekarzy, giserów, kowali, rymarzy, płatnerzy i t. d.

Organizacja cechowa wymagała zresztą zawsze ścisłej kontroli członków przez gildję i w tym celu wyznaczeni byli specjalni urzędnicy przysięgli. Znamienne jest jednak, że póki miasta cieszyły się pełną swobodą, nie było żadnych skarg na tych dozorców: i przeciwnie — gdy państwo jęło wkraczać do miasta, gdy jęło konfiskować własność cechów i burzyć ich niezależność, wprowadzając urządzenia biurokratyczne, skargi stały się wprost nieprzeliczone. Z drugiej strony olbrzymi postęp — urzeczywistniony we wszystkich dziedzinach życia za panowania średniowiecznego systemu gildyjnego, jest najlepszym dowodem, że system ten bynajmniej nie był przeszkodą dla inicjatywy indywi-

dualnej. Nie należy zapominać, że średniowieczny system gildyjny bynajmniej nie polegał na oddaniu parafji, „ulicy“ lub dzielnicy pod kontrolę urzędników państwowych: podstawą jego był związek ludzi należących do jakiegoś działu pracy — do związku należeli zaprzysiężeni dostawcy produktów surowych, przedawcy tego, co cech wytworzył, i wreszcie majstrowie, czeladnicy i uczniowie. Instancją najwyższą we wszystkich sprawach wewnętrznych było zgromadzenie cechowe: jeśli zaś chodziło o interesy innych cechów, rozstrzygała gildja gildji, t. j. miasto. Było tam jednak jeszcze coś więcej. — Cech posiadał swe własne sądownictwo, własną siłę zbrojną, własne zgromadzenia ogólne, własne tradycje walk o niepodległość i własne stosunki z innymi cechami w innych miastach: słowem — posiadał on pełne życie organiczne, co mogło być tylko następstwem całkowitości funkcji życiowych. Gdy miasto musiało występować zbrojnie, cechy wychodziły do walki grupami oddzielnemi z własną bronią i pod dowództwem własnych naczelników. Cech średniowieczny był jednostką społeczną nie mniej niezależną, niż kanton szwajcarski w szwajcarskim związku przed laty pięćdziesięciu. To też zasadniczy błąd popełniają ci, którzy porównują cech do spółczesnego związku zawodowego, całkowicie pozbawionego znamion niepodległości państwowej i ograniczonego w swej działalności do spełniania kilku funkcji zgoła podrzędnych. Jest to tak, jakby ktoś porównywał Florencję lub Brügge do jakiejś gminy francuskiej, wegetującej pod kodeksem Napoleona, lub do miasteczka rosyjskiego, postawionego pod działaniem prawa Katarzyny II. I w jednym i w drugim wypadku jest burmistrz, a w miastach rosyjskich nawet organizacja cechowa, lecz różnica jest tak wielka, jak pomiędzy dożą weneckim i burmistrzem spółczesnym, nisko kłaniającym się każdemu poważniejszemu urzędnikowi państwowemu.

Cechy i gildje średniowieczne posiadały dość sił, aby utrzymać swą niepodległość i później w wieku czternastym, kiedy wskutek działania wielu czynników, o których wnet mówić będziemy, życie miast średniowiecznych uległo zmianom głębokim, młode cechy okazały się dość silne na to, aby zdobyć sobie należny udział w zawiadywaniu sprawami miejskiemi. Masy zorganizowane w cechach „mniejszych“ ruszyły na zdobycie władzy z rąk wyrastającej oligarchji i po większej części wyszły z walki zwycięsko, roz-

poczynając nowy okres pomyślności miejskiej. Nie obeszło się jednak bez porażek i w niektórych miastach powstania robotników zatopione były we krwi, jak to np. miało miejsce w Paryżu w roku 1306 i w Kolonji w 1371. W tych wypadkach wolności miejskie szybko upadały i miasto dostawało się pod rządy władzy centralnej. Większość miast jednak zachowała dość sił, aby wyjść z próby ze świeżym zapasem energji życiowej. Nagrodą zwycięzców był nowy okres młodości. Popłynęły nowe prądy życiowe i znalazły swój wyraz we wspaniałych pomnikach architektonicznych, w nowej fali dobrobytu, w postępie odkryć i wynalazków i w ruchu umysłowym, wiodącym ku Odrodzeniu i Reformacji.

Życie miasta średniowiecznego było szeregiem ciężkich walk, mających na celu zdobycie i utrzymanie wolności. — W ciągu tych walk wyrosła silna i wytrwała rasa mieszczan, a miłość i cześć dla miasta ojczystego zrodziła się w tych walkach i wielkie rzeczy. dokonane przez miasta średniowieczne, były płodem bezpośrednim tej miłości twórczej. Nie należy jednak zapominać, że miasta średniowieczne w celu zdobycia wolności prowadziły walki ciężkie, po których pozostały ślady głębokie nietylko nazewnątrz, lecz również w ich życiu wewnętrznem. Tylko nielicznym miastom, znajdującym się w warunkach szczególnie pomyślnych, udało się zdobyć i utrzymać wolność za jednym zamachem; w większości wypadków wolność tracona była znowu i niejednokrotnie miasta prowadziły walkę bez przerwy w ciągu piećdziesięciu lub stu lat, niekiedy nawet dłużej, zanim wywalczyły sobie uznanie swych wolności — poczem trzeba było jeszcze stu lat, zanim wolność ta stanęła na mocnej podstawie. Widzimy z tego, że przywileje miejskie wieku XII-go były tylko jednym z kamieni, leżących w fundamentach tej wolności. — W rzeczywistości miasto średniowieczne było oazą obronną w pośród kraju, pogrążonego w poddaństwie feodalnem i musiało zbrojnie wywalczać sobie miejsce. — Dzięki przyczynom, o których pokrótce wspomnieliśmy w rozdziale poprzednim, każda gmina miejska dostała się później pod jarzmo jakiegoś świeckiego lub kościelnego władcy. — Dom tego władcy stał się zamkiem obronnym, a jego drużyna bojowa — bandą awanturników, zawsze gotowych do grabienia chłopów. — W dodatku do trzech dni, przez które chłopi obowiązani byli pracować na pana, musieli oni ponosić jeszcze bardzo liczne ciężary wza-

mian za prawo siania, żęcia zboża, za prawo być wesołym lub smutnym, za prawo ożenienia się lub zmarcia. — Co najgorsze zaś — gospodarstwa ich plądrowane były nieustannie przez ludzi jakiegoś pana sąsiedniego, który uważał, że, grabiąc chłopów swego sąsiada, niszcząc ich zboża lub bydło, wykonywa zemstę nad ich właścicielem. — Każda łąka, każde pole, każda rzeczka i droga dookoła miasta i każdy człowiek na ziemiach okolicznych należał do jakiegoś paan.

Nienawiść mieszczan do baronów feodalnych znalazła swój wyraz w charakterystycznym brzmieniu przywilejów, do których podpisania panowie byli zmuszani. — Henryk V zmuszony był w r. 1111 do podpisania dla miasta przywileju, w którym uwalnia mieszczan od „okropnego i ohydnego prawa martwej ręki, doprowadzającego miasto do nędzy ostatecznej".—C o u t u m e miasta Bayonne, pisane w r. 1273, zawiera ustępy jak naprz.: lud jest „starszy aniżeli panowie. — Lud znacznie liczniejszy aniżeli ktokolwiekbądź inny i pragnący pokoju stworzył panów w celu „ujarzmienia i złamania możnych". — Wyrażeń takich spotykamy więcej. — Niemniej charakterystyczny jest przywilej, podany do podpisu królowi Robertowi. — Król mówi w nim: „Nie będę grabił bydła, ani innych zwierząt. Nie będę chwytał kupców, nie będę im odbierał pieniędzy, ani nakładał haraczu. — Od Zwiastowania aż do Wszystkich Świętych nie chwycę na łąkach ani konia, ani klaczy, ani źrebięcia. — Nie będę palił młynów, ani grabił mąki... nie będę otaczał opieką złodziei" i t. d. i t. d. Przywilej dany miastu Besançon przez arcybiskupa Hugues'a, który zmuszony jest do wyliczenia wszystkich krzywd, jakie wyrządził miastu, jest niemniej charakterytyczny. — Przykładów takich możnaby przytoczyć znacznie więcej.

W takiem środowisku wolność nie mogła być utrzymana i miasta zmuszone były przenieść wojnę nazewnątrz murów. — Mieszczanie wysyłali emisarjuszy w celu podniecania do buntu chłopów; wsie przyjmowane były do związków miejskich i wypowiadały szlachcie wojnę bezpośrednią.

We Włoszech, gdzie cały kraj był bardzo gęsto usiany zamkami feodalnymi, wojna ta przybrała rozmiary bohaterskie i była prowadzona z wielką zawziętością ze stron obydwóch. — Florencja w ciągu 77 lat prowadziła wojnę krwawą w celu wyzwole-

nia od szlachty swego c o n t a d o. —Atoli po osiągnięciu zwycięstwa w roku 1181, trzeba było wszystko zaczynać na nowo. Szlachta stworzyła wielki związek i przeciwstawiła go związkowi miast, otrzymywała przytem pomoc bądź od cesarza, bądź od papieża. — Dzięki temu wojna zaciągnęła się jeszcze na 130 lat. — To samo zaszło w Rzymie, w Lombardji—w całym kraju włoskim. W wojnach tych mieszczanie ujawnili olbrzymią odwagę, wytrwałość i dokazali cudów waleczności. — Pomimo to jednak łuki i topory rzemieślników i artystów nie zawsze mogły skutecznie przeciwstawić się rycerzom opancerzonym, a niejeden zamek pański musiał znosić oblężenie pomysłowych maszyn wojennych, wynajdywanych przez mieszczan. — Niektóre miasta, jak naprz. Florencja, Bolonja i miasta francuskie, a także niektóre niemieckie i czeskie, z powodzeniem wyzwoliły wsie okoliczne; te wysiłki miejskie zostały wynagrodzone przez długi okres pomyślności i pokoju. — Atoli nawet w tych miastacn, a jeszcze bardziej w miastach słabszych i mniej ruchliwych kupcy i rzemieślnicy, wyczerpani walką i nierozumiejąc własnego interesu, wchodzili w układy z panami o głowy chłopskie. — Zmuszali oni pana do zaprzysiężenia sojuszu z miastem; zamek pański, położony poza miastem, został zburzony i pan musiał się zgodzić na przeniesienie się do miasta; budował sobie dom w mieście i sam stawał się spółobywatelem miejskim; wzamian jednak zachowywał większość swych praw nad chłopami, którzy tylko częściowo zwalniani byli od ciężarów. — Mieszczanin nie rozumiał jeszcze, że chłopu winny być zapewnione te same prawa obywatelskie, chłopu, który był przecież żywicielem miasta; dzięki temu wytworzyła się głęboka przepaść pomiędzy miastem i wsią. — W niektórych wypadkach chłopi poprostu zmienili właściciela, ponieważ miasta odkupiły od panów ich prawa w stosunku do chłopów. Poddaństwo chłopów zostało utrzymane i dopiero znacznie później w końcu XIII-go wieku, powstanie rzemieślników zamierzyło położyć kres niewoli osobistej; jednocześnie jednak pozbawiono chłopów ziemi. Zbyteczne byłoby dodawać, jak opłakane wyniki miała tego rodzaju polityka dla samych miast: wsie okoliczne stały się wrogami miast.

Walka z zamkami pańskimi miała jeszcze inne złe następstwa. Wciągała ona miasta w długi szereg wojen wzajemnych, dzięki którym powstała teorja, bardzo rozpowszechniona aż do

czasów ostatnich, jakoby miasta postradały niepodległość dzięki zawiściom wzajemnym i waśniom braterskim. Historycy imper=jalistyczni szczególnie podtrzymywali te teorje, coraz bardziej jednak podważaną przez badania spółczesne. Niewątpliwe wpraw=dzie jest, że miasta włoskie walczyły między sobą ze ślepą zawzię=tością, nigdzie jednak poza Włochami walki między miastami nie przybrały tych samych rozmiarów. A nawet w samych Włoszech wojny miejskie, szczególnie z okresów dawniejszych, miały swe przyczyny specjalne. Były one (jak to już udowodnili Sismondi i Ferrari) prostym dalszym ciągiem wojny z zamkami: zasada miejska swobodnego łączenia się w związki nieuniknienie wejść musiała w starcie ostre z feudalizmem, imperjalizmem i papie=stwem. Wiele miast, które tylko częściowo zrzuciły jarzmo bisku=pa, barona lub cesarza, były poprostu wciągane przez szlachtę, cesarza lub kościół do walki przeciwko miastom wolnym; polity=kę tę uprawiano specjalnie w celu rzucenia niezgody pomiędzy miasta. Te okoliczności szczególne (powtarzające się w pewnej mierze również w Niemczech) tłomaczą nam, dlaczego miasta włoskie szukały częściowo pomocy u cesarza przeciwko papieżo=wi, częściowo zaś opierały się na Kościele, aby przeciwstawić się cesarzowi; doprowadziło to do znanego podziału na Gibelinów i Gwelfów, a podział ten nietylko różnił jedno miasto od drugiego, lecz również jedne warstwy od drugich w tym samym mieście.

Obrzymi postęp gospodarczy, osiągnięty wówczas przez większość miast włoskich, właśnie w najgorętszej chwili tej walki, jak również łatwość zawierania związków pomiędzy małemi mia=stami, doskonale charakteryzuje te walki i tem skuteczniej obala teorję, wyżej zaznaczoną. Już w latach 1130 — 1150 powstały po=tężne ligi miejskie, a nieco później, kiedy Fryderyk Barbarossa na=padł na Włochy i podtrzymywany przez szlachtę i część miast zacofanych, szedł na Medjolan, olbrzymia fala entuzjazmu ludo=wego została podniesiona po miastach przez kaznodziei ludowych. Cremona, Piazenza, Brescia, Tortona i t. d. szły na pomoc; sztan=dary gildji z Verony, Padwy, Vicenzy i Trevizy powiewały jedne obok drugich w obozie miast, zwróconych przeciwko wojskom szlachty i cesarza. W rok później powstała liga lombardzka, a po upływie lat 60=ciu widzieliśmy ją wzmocnioną przez przyłączenie się wielu innych miast i podniesioną do organizacji potężnej,

sięgającej jednem skrzydłem do Genui, a drugiem do Wenecji. W Toskanji i Florencji panowała inna liga potężna, do której należały Lucca, Bolonja, Pistoja i t. d.; liga ta przyczyniła się bardzo poważnie do złamania potęgi szlachty we Włoszech Środkowych. Jednocześnie powstawały nieustannie ligi mniejsze. Niewątpliwie jest wobec tego, że jakkolwiek istniały drobne zawiści i niezgody powstawały dość łacno, nie stanowiły one przeszkody do łączenia się miast między sobą wówczas, gdy chodziło o spólną obronę wolności. Dopiero później, kiedy miasta oddzielne stały się małemi państwami, doszło do wojny pomiędzy niemi, jak to bywa zawsze, gdy państwa walczą pomiędzy sobą o pierwszeństwo lub o kolonje.

Podobne ligi powstawały również w Niemczech dla celów podobnych. Gdy za panowania następców Konrada cały kraj pogrążony był w niedoli z powodu nieustannych walk pomiędzy szlachtą, miasta westfalskie stworzyły związek zwrócony przeciwko rycerzom; jednym z punktów zasadniczych tego związku było zobowiązanie niepożyczania pieniędzy rycerzowi który będzie się zajmował przechowywaniem rzeczy ukradzionych. Podczas gdy „rycerze i szlachta żyli z grabieży i mordów“ — jak skarży się Wormser Zorn — miasta Reńskie (Mainz, Kolonja, Speier, Strasburg i Bazylea) połączyły się w związek, liczący wkrótce 60 miast, i mający na celu utrzymanie pokoju i poskromienie rozbójników. Później liga miast szwabskich podzielona na trzy „okręgi pokojowe“ (Augsburg, Konstancja i Ulm) zmierzała ku tym samym celom. Nawet po złamaniu takich lig okazywało się, kto był rzeczywistym obrońcą pokoju: ujawniło się, że broniły go miasta, gdy królowie, cesarze i Kościół rozsiewały wojny. Miasta same były bezbronne wobec rycerzy grabiących, nic też dziwnego, że od nich właśnie wychodziła myśl pokoju i związku. To też prawdziwa jedność narodowa powstawała w miastach, miasta ją budowały, a nie cesarze.

Związki podobne i dla celów podobnych powstawały również pomiędzy wioskami — i dzisiaj, kiedy uwaga historyków na ten przedmiot została zwrócona przez Luchaire'a, możemy spodziewać się, że wkrótce znacznie rozjaśni się ta sprawa. Wsie łączyły się w małe związki w obrębie c o n t a d o florenckiego, a również na ziemiach podległych miastom rosyjskim, takim jak

Nowgorod i Pskow. Co się tyczy Francji, istnieją dowody niewątpliwie związku 17-stu wsi w Laonnais; związek ten istniał bez mała sto lat (aż do roku 1256) i walczył o swą niepodległość. Trzy podobne republiki chłopskie, które wkrótce oparły się na ustawach podobnych do ustaw z Laon i Soissons, istniały w sąsiedztwie Laon i pomagały sobie nawzajem w walkach o wolność. Luchaire jest zdania, że wiele z tych związków powstało we Francji w w. XII i XIII-ym, lecz że odnośne dokumenty uległy zniszczeniu. Wsie zwykle nie były otoczone murami, to też bez trudu mogły być rozbite przez rycerzy i szlachtę; atoli w pewnych okolicznościach pomyślnych, gdy znalazły obronę bądź w związku miast, bądź dzięki położeniu między górami, tego rodzaju republiki chłopskie zdobywały trwałą niepodległość i stały się federacją szwajcarską.

Związki miast, zmierzające ku celom pokojowym, należały do zjawisk najpowszedniejszych. Wzajemne stosunki pomiędzy miastami, rozpoczęte w okresie walk o wolność, nie przerwały się później. Niekiedy, gdy scabini jakiegoś miasta włoskiego nie mogli znaleźć wyroku w sprawie zawiłej, posyłali po wyrok do miasta innego. Wiemy dobrze, że miasta włoskie Forli i Ravenna nadały nawzajem obywatelstwo swoim obywatelom i zapewniły im wszystkie prawa miejskie. Do rzeczy zwykłej w owych czasach należało poddawanie zatargów pomiędzy dwoma miastami lub też zatargu wewnątrz-miejskiego do rozstrzygnięcia jakiemuś innemu miastu, występującemu w roli arbitra. Do rzeczy najzwyklejszych również należały układy handlowe pomiędzy miastami. Powstawały związki regulujące pojemność beczek, używanych w handlu winem, „związki śledziowe" i t. p., będące poprzednikami takich wielkich organizacj handlowych, jak Hanza flamandzka, a potem wielka Hanza niemiecka. Dzieje tych wielkich organizacji mogą być najlepszym dowodem ducha, przenikającego owe czasy. Czyż trzeba dodawać, że dzięki związkom hanzeatyckim miasta średniowieczne bardziej przyczyniły się do rozwoju stosunków międzynarodowych, do rozwoju żeglugi morskiej i odkryć geograficznych, niż wszystkie państwa pierwszych 17-tu wieków naszej ery.

Słowem — związki pomiędzy małemi jednostkami terytorjalnemi, jak również związki pomiędzy oddzielnymi ludźmi, zmie-

rzającymi ku tym samym celom, a taże związki miast i grup miast wypełniały całe życie owego okresu. Cały okres od wieku XI do XV-go może być rozpatrywany jako olbrzymi wysiłek organizacji pomocy wzajemnej na zasadzie związków i zrzeszeń, jako wysiłek rozciągający się na całe życie ludzkie i obejmujący wszystkie stopnie możliwe. Próba ta dała wyniki wprost wspaniałe. Połączyła ona ludzi poprzednio rozdzielonych, zapewniła im wolność i udziesięciokrotniła ich siły. W czasach, kiedy partykularyzm nieustannie podniecany był przez czynniki tak liczne i kiedy powody do waśni i zawiści spotykało się wprost na każdym kroku, miło jest widzieć, jak miasta rozrzucone na olbrzymich przestrzeniach kontynentu mają tak dużo spólnego pomiędzy sobą, jak zawsze gotowe są do łączenia się dla celów spólnych. Ostatecznie upadły one wobec wrogów przemożnych. Nie zrozumiawszy należycie zasady pomocy wzajemnej, popełniły szereg błędów fatalnych. Główną jednak przyczyną ich upadku bynajmniej nie była zawiść i walki wzajemne i błąd ich zgoła nie polegał na tem, że brakło im ducha jednoczenia się pomiędzy sobą.

Rezultaty tego wielkiego ruchu, z którego narodziły się i powstawały miasta włoskie, były wprost olbrzymie. Na początku wieku XI-go miasta europejskie były gromadkami nędznych chat, ozdobionemi niekształtnymi kościołami, których budowniczowie z trudem umieli związać sklepienie. Sztuki i rzemiosła, ograniczające się do tkactwa i kowalstwa, były w kolebce; książki znaleźć można było zaledwie w nielicznych klasztorach. W 350 lat później oblicze Europy zmieniło się zupełnie. Wszędzie widniały miasta bogate, otoczone wysokimi i grubymi murami, na których stały baszty i przez które prowadziły bramy, będące każda dziełem sztuki. Katedry pomyślane w wielkim stylu i ozdobione bogato, wznosiły swe dzwonnice ku niebu, rozwijając nieporównaną czystość form i taką śmiałość wyobraźni, że próżno usiłujemy prześcignąć ją do dnia dzisiejszego. Sztuki i rzemiosła dosięgły takiej doskonałości, że w wielu kierunkach nic lepszego nie osiągnęliśmy do dnia dzisiejszego, a pomysłowość robotnika i wykończenie dzieła znakomicie przewyższały wówczas to, co dzisiaj daje nam szybkość fabrykacji. Okręty miast wolnych przerzynały we wszystkich kierunkach morze Północne i Śródziemne; jeszcze wysiłek niewielki i byłyby przepłynęły ocean. Na olbrzymich przestrze-

niach kraju dobrobyt zajął miejsce nędzy; nauka rozwinęła się i rozpowszechniła. Zostały wyrobione metody naukowe; położono podstawy filozofji przyrody i utorowano drogę dla tych wszystkich wynalazków mechanicznych, z których tak dumne są nasze czasy. Takie są zmiany cudowne dokonane w Europie w ciągu niespełna 400 lat. I straty, poniesione przez Europę z powodu upadku miast wolnych, ocenione mogą być dopiero wówczas, gdy porównamy wiek XVII-y z XIV i XIII-ym. Zniknął dobrobyt, tak znamienny wówczas dla Szkocji, Niemiec i równin włoskich; drogi stały się nie do przebycia, miasta wyludniły się, praca spadła do poziomu niewolnictwa, sztuka zamarła, nawet handel chylił się do upadku.

Gdyby miasta średniowieczne nie pozostawiły nam żadnych dokumentów, świadczących o ich wspaniałości, gdyby nie pozostało po nich nic oprócz dzieł architektonicznych, które podziwiamy dzisiaj poprzez całą Europę — od Szkocji do Włoch i od Gerony w Hiszpanji do Wrocławia na ziemiach Słowiańskich — jeszcze musielibyśmy dojść do wniosku, że okres miast wolnych był najpłodniejszym w następstwa okresem dziejowym całej ery chrześcijańskiej aż do końca wieku XVIII-go. Spojrzyjmy np. na malowidło średniowieczne przedstawiające Norymbergę z jej kilkunastu wieżami, noszącemi każda wyraźne piętno genjuszu artystycznego, a z trudem tylko będziemy mogli wyobrazić sobie, że 300 lat przedtem miasto to było tylko grupą kilkunastu nędznych chałup. Nasz zachwyt wzrośnie jeszcze, jeśli wejdziemy w szczegóły architektoniczne kościołów niezliczonych, dzwonnic, bram miejskich i ratuszów, rozrzuconych po całej Europie i sięgających na wschód aż do Czech i do martwych dzisiaj miast w Galicji Polskiej. Nietylko Włochy, ta ojczyzna sztuki, lecz cała Europa pełna jest takich pomników. O charakterze owych czasów wymownie świadczy ten niezwykle wysoki rozwój architektury— sztuki społecznej nadewszystko. Aby miasta europejskie mogły być tem, czem stworzyło je średniowiecze, musiały one zrodzić się z silnego tętna życia społecznego.

Architektura średniowieczna doszła do swej wspaniałości nietylko dzięki temu, że była wynikiem rozwoju rękodzielnictwa; nietylko dlatego, że każdy budynek, każda ozdoba architektoniczna wykonywana była przez ludzi świadomych (dzięki doświad-

czeniu rąk własnych), jakie nadzwyczajne efekty artystyczne otrzymać można z kamienia, żelaza, bronzu, a nawet z prostych belek drzewnych i zaprawy wapiennej; nietylko dzięki temu, że każdy pomnik był wynikiem doświadczeń zbiorowych, nagromadzonych w tajemnicach cechowych—budowle średniowieczne były wielkie, ponieważ zrodziła je wielka idea. Wyrosły one, jak sztuka grecka, z wielkiej idei braterstwa i zjednoczenia, wykuwanej w miastach. Architektura ta posiadała śmiałość, którą dają tylko bitwy i zwycięstwa; posiadała ona rozmach i energję życiową, ponieważ rozmach męski przenikał całe życie miasta średniowiecznego. Katedra lub ratusz był wyrazem wielkości organizmu społecznego i gmachy te wznoszone były spólnym twórczym wysiłkiem każdego murarza i każdego kamieniarza; nie był to plan jednostkowy, wykonywany przez tysiące niewolników — gmachy średniowieczne wznoszone były przez całe miasto. Smukła dzwonnica wyrastała nad katedrą, w której tętniło życie całego miasta, a bynajmniej nie była rusztowaniem bezmyślnem, jak np. paryska wieża Eiffla, ani też nie brzydką budowlą jak londyńska Tower Bridge, wstydliwie ukrywająca szkielet żelazny pod powłoką kamienną. Katedra średniowieczna, jak Akropolis Ateńskie, miała na celu głoszenie wielkości miasta zwycięskiego; była ona symbolem zjednoczenia rzemiosł, wyrażała chwałę każdego z obywateli, uważającego miasto za coś bardzo swojego. Dokonawszy rewolucji rzemieślniczej, niejedno miasto rozpoczynało budowę nowej katedry w celu dania wyrazu szerszemu, nowemu związkowi, który teraz powołany został do życia.

Środki, którymi rozporządzano dla tych wielkich przedsięwzięć, były zadziwiająco skromne. Katedrę kolońską rozpoczęto z sumą składek 500 marek rocznie; dar stumarkowy zapisywany był do darów wielkich; nawet wówczas, gdy dzieło już zbliżało się do końca, gdy wraz z jego wielkością wzrosły i ofiary, roczny dopływ środków był nie większy niż 5000 marek i nigdy nie przeszedł 14.000. Katedra Bazylejska wzniesiona była przy pomocy również małych środków. Nie należy jednak zapominać, że każdy związek miejski, każdy cech przynosił swoją część wysiłku i swoje zdolności artystyczne dla dobra spólnego gmachu. Każda gildja usiłowała w gmachu tym uwiecznić swe pojęcia polityczne, opowiadając w kamieniu lub bronzie dzieje miasta, głosząc zasady

„wolności, równości i braterstwa", (odpowiadające tym pojęciom trzy figury znajdują się pomiędzy zewnętrznemi ozdobami katedry Notre Dame w Paryżu), wychwalając sojuszników miasta i posyłając jego wrogów do ogni piekielnych. Każda gildja dawała wyraz swej miłości ku pomnikowi spólnemu, ozdabiając go barwnymi witrażami lub drzwiami „godnymi wejścia do raju" — jak powiedział Michał Anioł — lub też pokrywając rzeźbami najdrobniejsze załamy murów. Małe miasta, a nawet małe parafje spółzawodniczyły pod tym względem skutecznie z wielkiemi zbiorowiskami ludzkiemi i katedry w Laon lub St. Quen nie ustępują w niczem katedrze w Rheims, ratuszowi w Bremen lub dzwonnicy na placu Wieców we Wrocławiu. Rada miasta Florencji orzekła, że „miasto „powinno przystępować tylko do takich dzieł, które odpowiadają „wielkiemu sercu miasta, złożonemu z serc wszystkich obywateli, „złączonych jedną spólną wolą". Duch taki występuje we wszystkich dziełach miejskich, takich jak kanały, tarasy, winnice i ogrody owocowe, otaczające Florencję, a także kanały irygacyjne, przecinające równiny Lombardji; występuje on również w akwadukcie Genueńskim i we wszystkich wielkich dziełach przedsiębranych przez miasta średniowieczne.

W ten sposób w mieście średniowiecznem rozwijały się wszystkie sztuki i to, czem sztuka żyje dzisiaj, jest tylko dalszym ciągiem rzeczy zrodzonych w średniowieczu. Dobrobyt i pomyślność miast flamandzkich oparte były na delikatnych, wyrabianych przez mieszczanina, tkaninach wełnianych. Florencja na początku wieku XIV-go, przed czarną zarazą, wyrabiała od 70,000 do 100,000 panni tkanin wełnianych ocenianych na 1,200,000 florenów złotych. Cyzelowanie drogich metali, sztuka giserska, kowalstwo artystyczne — wszystko to zrodziło się w „tajemnicach" cechowych, które osiągnęły każda w swojej dziedzinie wszystko, co bez pomocy silnika mechanicznego człowiek osiągnąć może. Wszystko to było dziełem ręki i wynalazczości ludzkiej, jak powiada Whewell:

„Pergamin i papier, druk i drzeworytnictwo, udoskonalone „szkło i stal, proch strzelniczy, zegary, teleskopy, igła magnesowa, „kalendarz zreformowany, znaki dziesiętne, algebra, trygonome„trja, chemja, kontrapunkt (wynalazek równający się nowej mu„zyce) — wszystko to zawdzięczamy okresowi, który tak niesłusz„nie nazwano okresem zastoju" (History of Inductive Sciences).

Wprawdzie żadna nowa zasada — jak mówi Whewell — nie została wysunięta przez te wynalazki; atoli nauka średniowieczna uczyniła coś więcej, niż spółczesne odkrycia nowych zasad. Przygotowała ona te wszystkie zasady, które dzisiaj leżą u podstawy nauk mechanicznych: przyzwyczaiła badacza do obserwowania faktów i do wyciągania stąd wniosków. Była to wiedza indukcyjna, jakkolwiek sama sobie nie zdawała jeszcze sprawy z potęgi indukcji; to też położyła podwaliny zarówno pod nauki fizyczne, jak pod filozofję przyrody. — F. Bacon, Gallileusz i Kopernik byli bezpośrednimi potomkami Rogera Bacona i Michała Scota, podobnie jak maszyna parowa jest bezpośrednim rezultatem poszukiwań prowadzonych w uniwersytetach włoskich nad ciężarem atmosfery, a także rezultatem matematycznych i technicznych zdobyczy, osiągniętych w Norymberdze.

Lecz poćóż zadawać sobie trud, udawadniania rozwoju nauki w mieście średniowiecznem? Czyż nie dosyć wskazać na katedry, jeśli chodzi o sprawność techniczną, a na język włoski i na poemat Dantego, gdy chodzi o myśl — aby naocznie udowodnić, co stworzyło miasto średniowieczne przez czas swego istnienia?

Miasta średniowieczne oddały cywilizacji europejskiej usługi olbrzymie. Nie dopuściły do tego, aby teokracje i stare państwa despotyczne zniszczyły cywilizację: nadały kulturze zdolność samorozwoju i inicjatywę — a te olbrzymie intelektualne i materjalne siły, które cywilizacja posiada dzisiaj, pochodzą z miast średniowiecznych, skutecznie opierających się najściom ze wschodu. Czemu jednak te środki cywilizacji, tak głęboko odpowiadające potrzebom ludzkim i tak bardzo żywotne, powstrzymane były w swoim rozwoju? Czemu w wieku XVI-ym przyszła na nie starość i czemu po odparciu tylu ataków zzewnątrz upadły wreszcie pod parciem walk wewnętrznych?

Złożyły się na to liczne przyczyny: — jedne z nich tkwiły w przeszłości odległej, gdy inne miały swe źródło w błędach, popełnionych przez same miasta. W końcu wieku XV-go zaczęły pojawiać się państwa potężne, zorganizowane na stary wzór rzymski. W każdym kraju, w każdej okolicy, jakiś pan feudalny bardziej przebiegły bardziej chciwy, a często posiadający mniej skrupułów niż sąsiedzi, zagarniał na własność osobistą wielkie obszary ziemi, znaczną liczbę chłopów, miał więcej rycerzy w swej drużynie i

więcej złota w skarbcu. Pan taki za siedzibę swoją obierał zwykle grupę wsi szczęśliwie położonych, niewciągniętych jednak jeszcze w życie miejskie; — takimi ośrodkami przyszłej władzy, nie będącymi miastami samodzielnymi, był Paryż, Madryt, Moskwa i inne. Z tej siedziby przy pomocy pracy chłopów poddanych czyniono miasta obronne, do których wciągano potem towarzyszy, zachęcając ich nadawaniem wsi, i kupców przez zapewnienie opieki dla handlu. Tak powstał zarodek państwa przyszłego, wchłaniajcego w siebie stopniowo inne ośrodki podobne. Prawnicy, znawcy prawa rzymskiego, napływali do tych ośrodków; a była to rasa ludzi ambitnych i wytrwałych, jednakowo nienawidzących próżniactwo panów, jak to, co nazywali bezprawiem chłopów. Prawnicy ci nie znali podstaw spólnoty wiejskiej, a zasady wolnych związków budziły w nich odrazę jako spadek po „barbarzyńcach". Ideałem ich był cezaryzm, podtrzymywany przez fikcję zgody ludowej i przez siłę zbrojną; to też usilnie pracowali na rzecz tych, którzy podejmowali się urzeczywistnić ich ideały.

W tym samym kierunku działał również Kościół chrześcijański — niegdyś wróg prawa rzymskiego, a dziś jego sojusznik. Ponieważ próba stworzenia teokratycznego państwa w Europie zawiodła, najinteligentniejsi i najambitniejsi biskupi spółdziałali teraz z prawnikami rzymskimi w celu odbudowania potęgi królów izraelskich lub imperatorów konstantynopolitańskich. Kościół uświęcał wzrastających w potęgę władców, koronował ich jako przedstawicieli Boga na ziemi; do ich potrzeb przystosowywał nauczanie powszechne i rozkazy dla swych podwładnych; ich obdarzał błogosławieństwami i na ich usługi oddawał te sympatje, które udało mu się zdobyć między ubogimi. Chłopi, których miasta nie chciały lub nie mogły wyswobodzić, widząc, że nie można liczyć na miasta w celu położenia kresu nieustannym walkom rycerzy — jak wiemy, za walki te chłopi płacili bardzo drogo — zwrócili się teraz z całą nadzieją ku królowi, ku cesarzowi lub ku wielkiemu księciu; i pomagając tym wielkim władcom do opanowania drobniejszych panów feudalnych, tem samem spółdziałali z nimi w stworzeniu państwa zcentralizowanego. Do tego wszystkiego przyłączyły się napady Mongołów i Turków, święta wojna przeciwko Maurom w Hiszpanji, a także okropne wojny, które wnet wybuchły pomiędzy wzrastającymi ośrodkami władzy pań-

stwowej: — pomiędzy Ile de France i Burgundją, pomiędzy Szkocją i Anglją, Anglją i Francją, Litwą i Polską, Moskwą i Twerem i t. d. Potężne państwa zjawiły się na scenie i miasta musiały teraz walczyć nietylko z luźnymi związkami panów, lecz z silnie zorganizowanymi centrami władzy, posiadającymi do rozporządzenia całe armje chłopów poddanych.

Co najgorsze zaś, to to, że rozwijające się autokracje znalazły oparcie w waśniach pomiędzy samemi miastami. Idea państwowa miasta średniowiecznego była wielka i szczytna, brakło jej jednak obszerności. Pomoc wzajemna nie może ograniczać się do małego zrzeszenia: musi ona rozszerzać się na całe otoczenie, gdyż w przeciwnym razie otoczenie, środowisko, wchłonie w siebie nową organizację. A pod tym względem obywatel miasta średniowiecznego popełnił ciężki błąd na samym wstępie. Zamiast spoglądać na chłopów i rzemieślników, skupionych pod ochroną murów miejskich, jako na pomocników współdziałających we wznoszeniu miasta — czem byli oni rzeczywiście — mieszczanin wytworzył głęboki przedział pomiędzy staremi „rodzinami“ miejskiemi i nowymi przybyszami. Dla starych rodzin przeznaczone były wszystkie korzyści handlu miejskiego i dla nich też zatrzymane były ziemie, należące spólnie do miasta, przybyszom zaś nie pozostawiono nic prócz prawa swobodnego rozporządzana wytworem rąk własnych. Dzięki temu miasto rozdzieliło się na „obywateli“ i „pospólstwo“ lub „mieszkańców“. Handel, który przedtem był prowadzony przez całe miasto, stał się teraz przywilejem garstki rodzin kupieckich lub rzemieślniczych, co w dalszym ciągu nieuniknienie prowadziło do handlu indywidualnego, względnie do przejścia podziału dóbr w ręce związków, mających na celu wyzysk.

Ten sam podział zaszedł pomiędzy miastem właściwem i wsiami okolicznemi. Miasto próbowało wprawdzie wyzwolić chłopów, lecz jego walki z panami, jak to już zaznaczyliśmy, miały na celu wyzwolenie tylko samego miasta, o chłopach zaś przepomniano. Miasto pozostawiło panu wszystkie jego prawa w stosunku do chłopów, byleby tylko pozostawił w spokoju miasto i byleby zgodził się zostać jego spółobywatelem. Atoli szlachta, „adoptowana“ przez miasto i mieszkająca teraz wewnątrz murów, poprostu przeniosła swe dawne waśnie do miasta. Panowie nie mieli naj-

mniejszej ochoty poddawać się trybunałom, złożonym z prostych kupców i rzemieślników, i rozstrzygali swe stare waśnie na ulicach miejskich. Każde miasto miało teraz swych Colonnów i Orsinich, swych Overstolzów i Wisów. Panowie ci, ciągnący ogromne dochody z posiadłości ziemskich, które zatrzymali, otaczali się w miastach liczną gromadą służalców i samo miasto wciągali w obrąb zwyczajów feudalnych. Jeśli zaś powstawało niezadowolenie w rzemieślniczych grupach miasta, ofiarowywali swe drużyny i swój miecz w celu rozstrzygnięcia walki; dzięki temu walka tylko zaostrzała się, zamiast żeby spór spłynął spokojnie starymi kanałami organizacji miejskiej.

Największym i najfatalniejsze następstwa mającym błędem większości miast było to, że dobrobyt swój założyły one na handlu i przemyśle, zupełnie zaniedbawszy rolnictwo. W ten sposób weszły na tę samą drogę, po której kroczyły niegdyś miasta Grecji Starożytnej, i droga ta doprowadziła je do tych samych przeszkód. Obcość, powstająca pomiędzy miastem i krajem otaczającym, nieuniknienie wciągała miasta w politykę wrogą względem całej reszty kraju; stawało się to coraz bardziej widoczne w czasach Edwarda III-go, podczas żakerji francuskich, za wojen husyckich i podczas wojny chłopskiej w Niemczech. Z drugiej strony polityka handlowa wciągała miasta w niebezpieczne przedsięwzięcia w krajach odległych. Włosi pozakładali kolonje na południo-wschodzie. Poczęto utrzymywać armje najemne w celu prowadzenia wojen kolonjalnych i armje te wkrótce zostały użyte również dla obrony na miejscu. Zaciągano pożyczki w takich rozmiarach, że zdolne one były zupełnie zdemoralizować mieszczan; jednocześnie zaś przy każdych wyborach waśnie wewnętrzne zaostrzały się coraz bardziej i pozwalały wysuwać się na czoło politykom kolonjalnym i interesom rodzin nielicznych. Podział na bogatych i biednych pogłębił się bardzo znacznie i w w. XVI-ym władza królewska znalazła łatwe oparcie w masach ubogich każdego miasta.

Jest jednak jeszcze inna przyczyna rozkładu instytucji miejskich, sięgająca wyżej i leżąca głębiej niż wszystko co dotąd powiedzieliśmy. Dzieje miast średniowiecznych są niezmiernie wyraźnym przykładem potęgi i d e i i z a s a d w dziejach ludzkich; widzimy w nich, do jak różnych rezultatów dojść możemy, gdy

zajdą zmiany w ideach przewodnich. Samopomoc i federalizm, niepodległość każdej grupy i tworzenie się ciała społecznego od dołu ku górze, od organizacji prostych do złożonych — oto była myśl przewodnia wieku XI-go. Później jednak pojęcia zmieniły się całkowicie. Prawnicy rzymscy i prałaci kościelni, ściśle związani ze sobą od czasu Inocentego III, skutecznie sparaliżowali ideę — starą ideę grecką — leżącą w założeniu miast średniowiecznych. W ciągu dwóch lub trzech wieków nauczali oni z ambon, z katedr uniwersyteckich i z sal sądowych, że ku zbawieniu wiedzie jedynie państwo zcentralizowane, poddane władzy półboskiej. Jeden człowiek może i powinien być zbawicielem całego społeczeństwa i w jego imieniu czynić można wszelki gwałt: palić ludzi na stosie, poddawać ich torturom najokropniejszym, pogrążać całe kraje w nędzy. Poglądy te ilustrowane były niezliczonymi przykładami i w wysiłkach łączyły się tu miecze rycerskie i płomienie kościelne. Te nauki i przykłady, powtarzane nieustannie i nieustannie wbijane ludziom w głowy, urobiły społeczeństwo na nową modłę. Ludzie doszli do tego, że żadnej władzy nie uważali za nadmierną, żadnej tortury za zbyt okrutną — byleby było to dla zbawienia powszechnego. Wraz z tym nowym kierunkiem myśli, wraz z tą nową wiarą w potęgę jednostki, dawna zasada federalistyczna poczęła upadać, zamierała też dawna twórczość mas. Zwyciężyła idea rzymska, a w tych warunkach państwo centralistyczne łatwo opanować mogło organizację miejską.

Florencja wieku XV-go jest tu przykładem typowym. W czasach dawniejszych powstanie ludowe było znakiem nowego okresu twórczości. Teraz zaś, kiedy lud doprowadzony do rozpaczy buntował się, nie było już w nim myśli twórczych; żadna idea nowa nie rodziła się z ruchu. Do Rady miejskiej wprowadzono tysiąc przedstawicieli zamiast czterystu; do signorji weszło stu ludzi zamiast osiemdziesięciu; lecz była to tylko zmiana osób, nie mająca żadnego poważnego znaczenia. Niezadowolenie ludowe wzrastało, a za niem pójść musiały następne rewolucje. Na czoło ruchu wysuwano zbawiciela „tyrana", który urządzał rzeź buntowników; co jednak niezdolne było wyleczyć miasta i rozkład posuwał się dalej. Nawet wówczas, gdy lud Florencki po powstaniu udał się po radę do najpopularniejszego wówczas człowieka, do Savonaroli, mnich odpowiedział: — „O ludzie mój, ty sam wiesz,

„że nie mogę mieszać się w sprawy państwowe... Oczyść duszę „własną, i jeśli w stanie łaski odmienisz gospodarkę miejską, wówczas, o ludu florenki, rozpoczniesz odnowienie Italji!". Spalono kostjumy karnawałowe i księgi rozpustne, wydano prawo o miłosierdziu i inne prawo przeciw lichwiarzom — a jednak demokracja florencka nie posunęła się saprzód — dawny duch zamarł. Zbytnie poleganie na rządzie doprowadziło do tego, że ludzie przestali wierzyć sami sobie i niezdolni już byli znaleźć wyjść nowych. Państwo potrzebowało tylko przyjść i ostatniem poruszeniem zniszczyć ostatni ślad wolności.

A przecież prąd pomocy wzajemnej, pomimo całej klęski, bynajmniej nie zamarł w masach i płynął dalej gdzieś w głębi. Wezbrał on znowu z wielką siłą w odpowiedzi na odezwę pierwszych propagatorów reformy i żył nieustannie nawet wówczas, kiedy masy zawiódłszy się w nadziei urzeczywistnienia nowego życia, złączonego z reformą religijną, dostały się pod panowanie władz autokratycznych. Prąd ten płynie nieustannie aż do dnia dzisiejszego i szuka sobie wyjścia, szuka wyrazu poza instytucjami państwowemi; wyrazem dla niego nie może już być miasto średniowieczne, ani barbarzyńska spólnota wiejska, ani też klan ludzi dzikich; prąd ten, pochodzący od wszystkich tamtych źródeł szuka sobie dzisiaj ujawnień i form wyższych, bardziej ludzkich, szerszych, w przyszłość wiodących.

Rozdział VII i VIII.

POMOC WZAJEMNA W NASZYCH CZASACH.

Powstania ludowe w początkach okresu państwowego. — Spółczesne instytucje pomocy wzajemnej. — Spólnota wiejska i jej walki z państwem. — Obyczaje, pochodzące od dawnej spólnoty wiejskiej a zachowane we wsiach spółczesnych. — Szwajcarja, Francja, Niemcy, Rosja. — Związki pracy, powstające po zburzeniu gildji przez państwo. — Pomoc wzajemna w strajkach. — Spółdzielczość. — Wolne zrzeszenia dla celów najrozmaitszych. — Ofiarność osobista. — Pomoc wzajemna między najbiedniejszymi.

Dążność do pomocy wzajemnej zakorzeniona w człowieku jest tak głęboko, tak daleko sięga w przeszłość ludzką, że zachowała się aż do dnia dzisiejszego, pomimo wszystkich błędów historji. Rozwijała się ona głównie w okresach pokoju i pomyślności; atoli nawet w czasach wielkich nieszczęść — kiedy całe kraje pustoszone były przez wojnę, kiedy całe narody dziesiątkowane były przez nędzę lub jęczały pod jarzmem tyranów — te same dążności żyły po wsiach i w klasach najuboższych po miastach. Pomoc wzajemna trzymała ludzi razem i ostatecznie, pomimo wszystkich przegród, oddziaływała nawet na tych, którzy rządząc, walcząc i wyzyskując masy, odwracali się od niej jako od sentymentalnego głupstwa. I ilekroć ludzkość musiała wypracowywać nowe formy organizacji społecznych, przystosowane do nowych okresów rozwojowych, twórczość ludzka zawsze zwracała się po natchnienie do tej samej wiecznie żywej dążności. Nowe instytucje gospodarcze i społeczne, jeśli tylko były tworem mas, nowe systemy etyczne i nowe religje — wszystko to pochodziło z tego samego źródła i postęp etyczny ludzkości, ujęty w granicach najszerszych, ujawnia się jako rozrastanie się zasad pomocy wzajemnej — od plemienia do coraz większych zgromadzeń ludzkich — aż w końcu obejmie całą ludzkość bez różnicy wierzeń, języków i ras.

Przeszedłszy przez plemię dzikie, potem przez spólnotę wiej≠ską, Europejczyk wyrobił w średniowieczu nową formę organiza≠cji, której zaletą było to, że pozostawiała szerokie pole inicjaty≠wie osobistej, odpowiedając jednocześnie ludzkiej potrzebie po≠mocy wzajemnej. W mieście średniowiecznem powołana została do życia federacja spólnot wiejskich, pokryta całą siecią gildji, ce≠chów i bractw. W rozdziałach poprzednich omówiliśmy szeroko te ogromne korzyści zarówno pod względem technicznym jak na≠ukowym i handlowym, które ta forma organizacyjna przyniosła ludzkości; próbowaliśmy także ujawnić te przyczyny, które w końcu wieku XV≠go sprowadziły upadek republik miejskich, oto≠czonych władcami feudalnymi i niezdolnych wyswobodzić chło≠pów — w znacznej mierze dzięki opętaniu przez poglądy cezary≠zmu rzymskiego: widzieliśmy, jak miasta stały się ofiarą wzrasta≠jących państw militarnych.

Atoli przed poddaniem się, na przeciąg trzech stuleci, wszyst≠ko pochłaniającej władzy państwa, masy ludowe raz jeszcze przedsięwzięły wysiłek wielki w celu odbudowania społeczeństwa na starej podstawie pomocy wzajemnej. Wiemy dobrze, że wielki ruch reformy kościelnej był czemś więcej niż tylko protestem przeciwko nadużyciom katolicyzmu. Posiadał on swój ideał twór≠czy, a był to ideał życia wolnego w komunach braterskich. Pisma i kazania pierwszych okresów Reformacji — a trzeba zaznaczyć, że te właśnie sposoby wyrażania się znajdowały najsilniejszy od≠dźwięk w masach — przepełnione były dążeniami do życia bra≠terskiego. „12 artykułów“ i podobne wyznania wiary, tak licznie obiegające wówczas pomiędzy niemieckimi i szwajcarskimi chło≠pami i rzemieślnikami, dopominały się nietylko prawa swobodne≠go wykładu biblji, lecz również wołały o spólne posiadanie ziemi, o powrót do spólnoty wiejskiej po obaleniu pańszczyzny i opie≠rały się zawsze na wierze „prawdziwej“—to jest na wierze w bra≠terstwo. Jednocześnie dziesiątki tysięcy kobiet i mężczyzn przy≠łączały się do komunistycznych bractw morawskich, oddawały im wszystko, co posiadały, i pędziły żywot w pomyślnie rozwija≠jących się osadach, zbudowanych na zasadach komunistycznych. Tylko olbrzymie rzezie masowe, dokonywane całemi tysiącami, mogły położyć tamę temu ruchowi ludowemu; rodzące się do ży≠

cia młode państwa zapewniły sobie zwycięstwo nad masami ludowemi przy pomocy miecza, ognia i tortur.

Rozpoczęło się teraz — zarówno na kontynencie Europy, jak na wyspach Brytańskich—systematyczne tępienie przez państwo wszystkich tych instytucji społecznych, w których dążenie do pomocy wzajemnej znalazło swój wyraz. Gminy wiejske zostały pozbawione prawa zbierania się, odebrano im sądownictwo i samorząd; ziemie gminne uległy konfiskacie. Gildje zostały ograbione z wolności i poddane kontroli, kaprysom i szykanom urzędników państwowych. Miastom odebrano niepodległość i pozbawiono je jądra życia miejskiego — zgromadzenia ludowego; sędziowie i urzędnicy z wyboru zostali usunięci, unicestwiono parafję i gildję niepodległą. Urzędnicy państwowi stanęli na miejscu tych ogniw społecznych, które przedtem składały się na całość organiczną. Pod działaniem takiej polityki okropnej i zrodzonych przez nią wojen, całe ogromne kraje, niegdyś licznie zaludnione i zamożne, opustoszały; bogate miasta spadły do rzędu nic nie znaczących osad; nawet drogi, łączące je niegdyś, stały się nie do przebycia. Przemysł, sztuka i wiedza upadły. Nauki społeczne, nauki przyrodnicze i prawo — wszystko poddane było idei centralizmu państwowego. Z katedr uniwersyteckich i kazalnic głoszono nieustannie, że instytucje pomocy wzajemnej, tak ważne niegdyś, nie mogą być cierpiane w państwie, dobrze zorganizowanem; uważano teraz, że tylko państwo może być wyrazem jedności pomiędzy poddanymi; głoszono, że federalizm i „partykularyzm“ są wrogami postępu i że jedynie państwo może być inicjatorem rozwoju. W końcu wieku XVIII-go królowie na kontynencie Europy, parlament w Anglji i rewolucyjna Konwencja we Francji — pomimo wojen istniejących między temi instytucjami — zgodziły sę na jedno — że poza państwem niedopuszczalne są żadne związki między obywatelami; jednogłośnie zawyrokowano, że roboty ciężkie i śmierć są jedyną karą, na którą zasługują robotnicy, tworzący „zmowy“.— „Nie może być państwa w państwie!“ — Wyłącznie państwo i kościół państwowy ma prawo dbać o interesy obywateli, którzy winni być jedynie luźnem zbiorowiskiem jednostek, niczem nie powiązanych nawzajem i zawsze gotowych stanąć na wezwanie państwa. Aż do połowy wieku XIX-go teorja ta panowała nad całem życiem euro-

pejskiem. Z niedowierzaniem spoglądano nawet na zrzeszenia kupców i przemysłowców. Co się zaś tyczy robotników, związki ich uważano poprostu za bezprawie — do lat trzydziestych w Anglji i do lat osiemdziesiątych na kontynencie. Cały system wychowania państwowego zmierzał ku temu, aby wszystkie wysiłki ludzkie skupić wokół państwa i aby przekonać obywateli, że wolne zrzeszanie się ludzi jest przestępstwem.

Pochłonięcie wszystkich zadań społecznych przez państwo nieuniknienie sprzyjało rozwojowi ciasnego, niczem nie okiełznanego indywidualizmu. W miarę wzrastania zobowiązań względem państwa, obywatelowie coraz bardziej czuli się zwolnieni od zobowiązań wzajemnych. W czasach średniowiecznych każdy był członkiem jakiejś gildji lub bractwa — i bracia obowiązani byli pomagać sobie nawzajem, w razie choroby dwóch braci musiało czuwać przy łożu chorego; teraz wystarczało dać choremu sąsiadowi adres najbliższego szpitala dla biednych. Jeśli w społeczeństwie barbarzyńskiem człowiek przyglądał się obojętnie walce zakończonej morderstwem, sam uważany był za mordercę; lecz pod panowaniem systemu państwowego przechodzień, widzący zło obok siebie, do niczego mieszać się nie potrzebuje — od tego przecie jest policjant. I kiedy w kraju dzikim, pomiędzy Hotentotami, byłoby czemś oburzającem, gdyby ktoś jadł sam, nie zaprosiwszy do jadła wszystkich głodnych, jacy w pobliżu znajdować się mogą — wszystko, do czego obowiązany jest szanowny obywatel spółczesny, to opłacanie składki na biednych i obojętne przechodzenie obok umierających z głodu. Wynikiem tego wszystkiego jest niepodzielne panowanie teorji, jakoby człowiek miał prawo i musiał uganiać się jedynie za szczęściem osobistem, bez względu na potrzeby bliźnich. Pogląd taki panuje dzisiaj w prawie, w nauce i w religji, i kto wątpi o jego prawdziwości, uważany jest za utopistę. Nauka głosi na wsze strony, że główną zasadą przewodnią przyrody jest walka wszystkich przeciw wszystkim i że w społeczeństwie ludzkiem ta sama zasada ma panować. Tej to walce bjologja przypisuje rozwój świata zwierzęcego. Historja opiera się na rozumowaniu podobnem i ekonomiści, w swej zupełnej nieznajomości świata zwierzęcego, cały przemysłowy postęp spółczesny przypisują cudownemu działaniu tej właśnie zasady.

Mogłoby się zdawać, że poszukiwanie instytucji pomocy wzajemnej w społeczeństwie spółczesnem byłoby wysiłkiem bez-celowym. Bo i cóż pozostać z nich mogło? A przecież jeśli spoj-rzymy bliżej na życie miljonów ludzi, jeśli wnikniemy w codzien-ne ich stosunki, uderza nas ogromne mnóstwo zwyczajowych in-stytucji pomocy wzajemnej. Pomimo wielowiekowego tępienia tych instytucji w praktyce i w teorji, wciąż trwają one i nieświadomy wysiłek mas nieustannie powołuje je do życia. W naszych sto-sunkach codziennych każdy z nas ma chwile buntu przeciwko konwencjonalnym wierzeniom indywidualistycznym i gdybyśmy powstrzymali wylew tych dążeń, w których ludzie dają ujście swej potrzebie pomocy wzajemnej, niewątpliwie zatamowali-byśmy cały postęp ludzki; społeczeństwo ludzkie nie utrzymało-by się dłużej, niż przez jedno pokolenie.

Gdy przyjrzymy się spółczesnym społeczeństwom europej-skim, uderzy nas fakt, że spólnota wiejska, pomimo tak długiego tępienia, wciąż jeszcze istnieje i nieustannie przejawiają się próby wznowienia jej. Zgodnie z powszechnie przyjętą dzisiaj teorją, gminne władanie ziemią zniknęło w Europie Zachodniej śmiercią naturalną, ponieważ było ono niezgodne z wymaganiami rolni-ctwa spółczesnego. Naprawdę jednak spólnota wiejska nigdzie nie zniknęła sama przez się; przeciwnie — we wszystkich krajach klasy rządzące zużyły kilka stuleci na walkę z gminą wiejską i na odebranie jej ziemi.

We Francji już w wieku XVI-ym rozpoczęło się ograbianie gmin wiejskich z ziemi i wolności; atoli dopiero w wieku XVII-ym, kiedy masy chłopskie doprowadzone były przez podatki i wojny do ostatniej nędzy, gmina wiejska otrzymała cios śmiertelny; gra-bienie ziemi gminnej przybrało wówczas, jak twierdzą historycy, rozmiary wprost niesłychane. „Z ziem gminnych każdy brał, ile „tylko mógł chwycić... Ziemie te obciążono długami zgoła nieist-„niejącymi, byleby tylko módz rozgrabić je“ — jak to czytamy w Edykcie Ludwika XIV z r. 1667. Państwo wobec tego wszyst-kiego zachowywało się jak jeden z rabusiów i we dwa lata później cały dochód z gmin wiejskich został skonfiskowany przez króla. Dzielenie się ziemiami gminnemi przez szlachtę i Kościół w latach

następnych przybierało rozmiary coraz poważniejsze i doszło do tego, że połowa uprawnej niegdyś ziemi leżała teraz odłogiem. Pomimo to jednak chłopi wciąż jeszcze utrzymywali instytucje gminne i zebrania gromadzkie odbywały się we Francji aż do r. 1787; wciąż jeszcze zbierano się pod starem drzewem lub u podnóża dzwonnicy, dzielono ziemię, ile jej jeszcze do podziału pozostało, ustanawiano opłaty gminne i wybierano funkcjonarjuszów — zupełne tak samo, jak to czyni mir rosyjski aż do dnia dzisiejszego.

Rząd jednak doszedł do wniosku, że zgromadzenia gminne są zbyt buntownicze i w r. 1787 na miejsce funkcjonarjuszy wybieralnych wprowadził mera, z góry naznaczanego, i również z góry naznaczanych trzech do sześciu syndyków, wybieranych z pośród włościan najzamożniejszych. We dwa lata później konstytuanta rewolucyjna najzupełniej potwierdziła te postanowienia, zgadzając się w tem ze starym porządkiem rzeczy (dnia 14 grudnia 1789); bourgeois miejski wszedł teraz na miejsce dawnego szlachcica jako ten, kto chciał się obłowić ziemią gminną. Trwało to przez cały okres rewolucyjny i dopiero 16 sierpnia roku 1792 Konwencja pod naciskiem buntów chłopskich zdecydowała się oddać część ziemi gminom; jednocześnie jednak postanowiono aby ziemie były podzielone równo pomiędzy najzamożniejszych chłopów. Oczywiście wywołało to nowe powstanie i postanowienie to zostało zniesione w r. 1793, kiedy orzeczono, że ziemia gminna winna być równo podzielona pomiędzy wszystkich gminiaków — tak biednych, jak bogatych.

Obydwa te postanowienia jednak tak zasadniczo sprzeciwiały się pojęciom, panującym pomiędzy chłopami, że nigdy nie zostały wykonane i gdzie tylko chłopi zawładnęli ziemią, dzierżyli ją spólnie, nie dzieląc. Potem jednak przyszły długie lata wojen i ziemie gminne zostały poprostu skonfiskowane przez państwo jako zastaw za pożyczki państwowe, wystawione na sprzedaż i rozgrabione; potem w r. 1813 raz jeszcze powróciły gminy i znowu były skonfiskowane; dopiero w r. 1816 to, co pozostało z ziem gminnych, a było tego około 15 miljonów akrów ziemi najmniej urodzajnej, zostało zwrócone gminom. Bynajmniej nie był to jednak koniec prześladowania gminy. Każdy nowy rząd we Francji sięgał po ziemie gminne w celu obdarowania swych sojuszników

i trzy prawa (pierwsze w roku 1837, a ostatnie za Napoleona III) były wydane specjalnie w celu zmuszenia gmin do podzielenia ziemi. Trzykrotnie te postanowienia prawne musiały być przypominane, ponieważ wsie ciągle stawiały opór.

Co się tyczy samorządu gminnego, to cóż pozostać z niego mogło po tylu ciosach? — Mer i syndykowie uważani byli poprostu za niepłatnych funkcjonarjuszów machiny państwowej. Nawet we Francji spółczesnej, za panowania trzeciej Republiki, gmina wiejska niemal nic samodzielnie przedsięwziąć nie może i dla każdego drobiazgu musi puszczać w ruch olbrzymią machinę państwową — aż do prefekta i ministerjów włącznie. Trudno temu uwierzyć, a jednak tak jest, że jeśli np. chłop francuski chce zamienić na pieniądze obowiązek pracy osobistej przy naprawie drogi, musi uzyskać pozwolenie 12 różnych urzędników państwowych, którzy sporządzić muszą 25 aktów. Wszystkie sprawy pozostałe noszą ten sam charakter.

To, co się działo we Francji, powtórzyło się wszędzie w Zachodniej i Środkowej Europie. Nawet daty głównych ataków na ziemie chłopskie wszędzie są mniej więcej te same. Anglja tylko pod tym względem wyróżnia się od Francji, że rabunku tego dokonano stopniowo, nie tak gwałtownie, jak we Francji. Ziemia angielskich gmin wiejskich zagarnięta została przez lordów; parlament usankcjonował tę grabież w każdym poszczególnym wypadku.

W Niemczech, w Austrji i w Belgji gmina wiejska była poprostu zniszczona przez państwo. Rzadko zdarzało się, aby gdziekolwiek gminiacy dobrowolnie dzielili ziemię; wszędzie państwo bądź wprost zmuszało ich do tego, bądź też szczególnymi przywilejami obdarzało tych, którzy ziemię dzielili. Pełne życie gminy wiejskiej w Europie środkowej kończy się w połowie w. XVIII. W Austrji rząd użył siły zbrojnej (w r. 1786) w celu zmuszenia gmin do podziału ziemi. W Prusach Fryderyk II w wielu swych rozkazach (w latach 1752, 1763, 1764 i 1769) polecał justiz-collegiom zmuszanie do podziału ziemi. Na Śląsku odnośne postanowienie wydane było w r. 1771. To samo działo się w Belgji; ponieważ jednak gminy opierały się, rząd w r. 1847 wydał rozkaz sprzedania łąk gminnych przez licytację.

Słowem — mówienie o naturalnej śmierci gminy wiejskiej

jest ironją złośliwą; jest to coś podobnego, jakbyśmy mówili o śmierci naturalnej żołnierza, ginącego na polu bitwy. Spólnota wiejska żyła przez tysiąc lat i jeśli tylko chłopi nie byli rujnowani przez wojny i pobory, nieustannie udoskonalali metody rolnictwa. Gdy jednak wzrosła cena ziemi dzięki rozwojowi przemysłu, a także gdy klasy uprzywilejowane osiągnęły pod panowaniem państwa taką potęgę, jakiej nie miały nigdy za czasów feudalnych, sięgnęły po ziemię gminne i uczyniły wszystko, co mogły, aby zburzyć samorząd gminny.

A jednak spólnota wiejska tak dobrze odpowiada wszystkim pojęciom rolnika, że wbrew prześladowaniom wciąż jeszcze aż do dnia dzisiejszego widzimy w Europie niezliczone pozostałości okresu gminnego. Nawet w Anglji, pomimo ostrych środków, zastosowanych przeciwko staremu porządkowi rzeczy, instytucje gminne niemal panowały jeszcze na początku wieku XIX-go. W Irlandji gminne władanie ziemią stanowiło większość aż do czasu wielkiego głodu.

Co się tyczy kontynentu, to istytucje gminne widzimy wciąż jeszcze przy życiu we Francji, Szwajcarji, w Niemczech, we Włoszech, w krajach Skandynawskich, w Hiszpanji — nie mówiąc już o wschodzie Europy. Ważnemu temu zagadnieniu poświęcono już niemało dzieł poważnych, ograniczę się więc do przytoczenia przykładów najwybitniejszych. Niewątpliwie najłatwiej znajdziemy je w Szwajcarji. Nietylko pięć republik—Uri, Schwytz, Appenzel, Glarus i Unterwalden — utrzymuje swe ziemie w stanie niepodzielnym i rządzone są one przez zgromadzenia ludowe, lecz również w innych kantonach spólnoty wiejskie posiadają rozległy samorząd i rozporządzają znaczną częścią ziemi szwajcarskiej. Dwie trzecie wszystkich łąk alpejskich i dwie trzecie wsystkich lasów szwajcarskich jest wciąż jeszcze we władaniu gminnem; to samo odnosi się do bardzo znacznej części pól, ogrodów, winnic, torfowisk, kamieniołomów i t. p. Duch gminny szczególniej żywy jest w kantonie Vaud, gdzie wszyscy gospodarze biorą udział w naradach gromadzkich. Co roku pod koniec zimy cała młodzież wiejska wybiera się na kilka dni do lasu w celu rąbania i spuszczania w doliny drzew, poczem drzewo budulcowe i opałowe dzielone jest pomiędzy wszystkie gospodarstwa. Te wycieczki są prawdziwemi świętami pracy męskiej. Nad brzegami jeziora Lemań-

skiego część pracy, koniecznej do utrzymania w porządku tarasów z winnicami, wciąż wykonywana jest spólnie; a na wiosnę, kiedy przymrozki, zdarzające się przedwschodem słońca, mogą zniszczyć winnicę, specjalni stróże stoją w nocy i w razie potrzeby rozpalają ogniska z traw i nawozu, z których wydziela się obfity dym i, rozpościerając się po winnicach, chroni je od mrozu. Niemal we wszystkich kantonach gminy wiejskie posiadają t. zw. Bürgernützen — to znaczy trzymają spólnie pewną liczbę krów w celu zaopatrywania w masło każdej rodziny; lub też spólnie uprawiają winnice, dzieląc produkt pomiędzy gospodarzy; lub wreszcie wydzierżawiają ziemię na rzecz całej gminy.

Można przyjąć za uzasadnione, że wszędzie, gdzie gminy wiejskie zachowały się w pełni życia, gdzie stały się żywą częścią organizmu narodowego i gdzie sztucznie nie zostały doprowadzone do nędzy — kultura rolna w ich gospodarce bynajmniej nie była zaniedbana. To też widzimy, że w Szwajcarji gminy wiejskie dają rezultaty bardzo dobre w przeciwieństwie do nędzy gminnej, panującej w Anglji. Lasy gminne w kantonie Vaud i Valais administrowane są bardzo dobrze i zgodnie z wymaganiami leśnictwa spółczesnego. Wszędzie, gdzie działki pól gminnych często zmieniają właścicieli, są one dobrze uprawne, szczególnie zaś odnosi się to do łąk i pastwisk. Górskie łąki alpejskie są wogóle utrzymane bardzo starannie, a drogi gminne doskonale. I jeśli podziwiamy szalet szwajcarski, drogę górską, bydło chłopskie, winnice na tarasach, lub budynki szkolne, pamiętać winniśmy, że drzewo na ten szalet zostało sprowadzone z lasów gminnych, a kamienie z gminnych kamieniołomów; gdyby krowy nie były utrzymywane na łąkach gminnych i gdyby drogi i szkoły nie były budowane spólnym wysiłkiem całej gminy — niewiele mielibyśmy tam do podziwiania.

Ne potrzebujemy chyba dodawać, że przy tego rodzaju urządzeniach we wsi szwajcarskiej pozostało bardzo dużo dawnych obyczajów pomocy wzajemnej. Znajdujemy tam zebrania wieczorne w celu spólnego łuskania orzechów włoskich, — zebrania te odbywają się kolejno w każdem gospodarstwie; do rzeczy zwykłych we wsi szwajcarskiej należy zgromadzanie się w celu szycia wyprawy dla panny młodej; gdy kto buduje dom, zwołuje sąsiadów do pomocy; rozpowszechniony również jest zwyczaj prze-

syłania dzieci z kantonu do kantonu w celu nauczenia ich obu języków krajowych — francuskiego i niemieckigo. Takich i tym podobnych zwyczai, moglibyśmy spotkać nie mało, jednocześnie zaś istnieje tam sporo przystosowań do czysto spółczesnych wymagań życia. Tak np. w kantonie Glarus większa część łąk alpejskich została sprzedana podczas lat ciężkich; gminy natomiast nieustannie kupują ziemię i wydzierżawiają ją oddzielnym gospodarzom na przeciąg 10, 20 lub 30 lat, przyczem ziemia znowu powraca do gminy i ulega podziałowi stosownie do potrzeby. Nieustannie powstają liczne stowarzyszenia drobne dla celów najrozmaitszych — dla wypieku chleba, wyrobu sera, wina i t. p. Nie mniej rozpowszechniona jest w Szwajcarji spółdzielczość rolna. Liczne są stowarzyszenia, tworzone przez 20 do 30 chłopów, kupujących spólnie łąki, pola i spólnie uprawiających je. Wszędzie też spotykamy mleczarnie spółdzielcze w celu sprzedaży mleka, masła i sera. Naprawdę Szwajcarja jest ojczyzną tego rodzaju spółdzielczości. Prócz tego znajdujemy tam niezliczone mnóstwo większych lub mniejszych zrzeszeń, zakładanych dla zaspokojenia najrozmaitszych potrzeb spółczesnych. W niektórych okolicach Szwajcarji niemal w każdej wsi znajdujemy zrzeszenia — w celu ubezpieczenia się od ognia, w celu budowy łódek, dla utrzymania w porządku wybrzeży jeziora, dla dostarczania wody i t. d.; prócz tego cały kraj pokryty jest najrozmaitszemi zrzeszeniami sportowemi, jak np. towarzystwa łuczników, strzelców, topografów, poszukiwaczy przejść górskich i różne inne.

A Szwajcarja pod tym względem bynajmniej nie jest jakimś krajem wyjątkowym w Europie — podobne zwyczaje i urządzenia spotykamy po wsiach francuskich i włoskich, w Niemczech, w Danji i t. d. Mówiliśmy już o tem, co rząd francuski uczynił w celu zburzenia gminy wiejskiej i zagarnięcia jej ziemi; pomimo to jednak wciąż jeszcze dziesiąta część całej ziemi, zdatnej do uprawy, t. j. 13 miljonów 500 tysięcy akrów, obejmujących połowę wszystkich łąk krajowych i piątą część lasów—pozostaje we władaniu gminnem. Lasy dostarczają gminniakom opału i drzewa budulcowego, a rąbane są spólnie podług wszelkich wymagań leśnictwa; pastwiska oddane sa do spólnego użytku bydła gromadzkiego, reszta zaś ziemi gminnej wciąż jest jeszcze dzielona i poddawa-

na uprawie w sposób zwykły — szczególnie ma to miejsce w Ardenach.

Łącznie z tem spotykamy znowu niemało starych zwyczajów związanych z temi instytucjami. Zamiast jednak opisywać je szczegółowo, wolę podać parę wyciągów z listów jednego z mych przyjaciół, który, mieszkając we Francji południowej, w Ariège, zebrał ich nie mało. Niektóre z tych przykładów odnoszą się do rzeczy drobnych, w sumie jednak dają niezły obraz życia wiejskiego.

„W niektórych gminach w sąsiedztwie — pisze mój przyja„ciel — jest w pełnem życiu stary obyczaj, zwany l'emprunt. „Gdy dla wykonania jakiej czynności gospodarczej — np. dla wy„kopania kartofli lub zebrania trawy—potrzeba dużo rąk, zwołu„je się młodzież z całego sąsiedztwa. Schodzą się chłopcy i dziew„częta i za darmo wykonują całą robotę, a wieczorem po wiecze„rzy tańczą".

„W tych samych gminach, gdy dziewczyna wychodzi za mąż, „sąsiadki gromadzą się i pomagają jej szyć wyprawę. W niektó„rych wsiach kobiety wciąż jeszcze zajmują się przędzeniem; gdy „rozczesywanie lnu ukończone zostało w jednej chacie, wszyscy „gromadzą się w drugiej w celu dokonania tej czynności spólne„mi siłami. W wielu gminach Ariege, a również w innych okoli„cach Francji południowo-zachodniej, łuskanie kukurydzy odbywa „się zawsze spólnemi siłami. Po robocie wszyscy podejmowani są „orzechami i winem i zabawiają się tańcem. Podobny zwyczaj ist„nieje w zastosowaniu do międlenia konopi. W gminie L., w ten „sam sposób odbywa się zwózka zboża — i te dni pracy ciężkiej „stają się zawsze dniami świątecznymi. Za pracę tego rodzaju ni„gdy nie daje się zapłaty—wszyscy robią to dla siebie nawzajem".

„W gminie S. pastwisko spólne powiększane jest co roku; do„szło wreszcie do tego, że niemal cała ziemia gminna znajduje się „we władaniu spólnem. Pastęrze wybierani są przez wszystkich „posiadaczy bydła — łącznie z kobietami. Buchaje są spólne".

„W gmienie N. 40 lub 50 drobnych stadek owczych spędza„ne są razem i dzielone na 3 lub 4 wielkie stada, zanim odprawio„ne zostaną w góry na łąki. Każdy z właścicieli idzie w góry na ty„dzień i spełnia obowiązek pasterza".

„W wiosce C. kilku gospodarzy nabyło spólnie młocarnię, a

„pomoc ludzka do niej, składająca się z 15 do 20 osób, dostarcza„na była przez wszystkie rodziny".

„W gminie R. musieliśmy wznieść mur wokół cmentarza. Po„łowa pieniędzy potrzebnych na zakup wapna i na opłacenie mu„rarzy, została dostarczona przez radę powiatową, a reszta ze„brana pomiędzy ludnością. Cała zaś praca pomocnicza — nosze„nie wody i wapna, rozrabianie wapna i pomaganie murarzom — „wykonana została przez ochotników (zupełnie tak samo, jak w „d ż e m m i e Kabylskiej). W ten sam sposób przy pomocy ochot„ników naprawiane bywają drogi gminne. Inne gminy przy pomo„cy podobnych środków pobudowały studnie".

Obyczaje tego rodzaju dowodzą niezbicie, z jaką łatwością zrzesza się chłop francuski. Spólnemi siłami utrzymywane są kanały, karczowane lasy, sadzone drzewa, zakładane dreny i t. d. W ostatnich czasach w miejscowości La Borne w departamencie Lozere dzięki pracy gminiaków, jałowe wzgórza przemienione zostały w ogrody bogate: — „ziemia przynoszona tam była przez ludzi; pozakładano tarasy, obsadzone orzechami włoskimi, brzoskwiniami, i t. d.; wodę do irygacji sprowadzono kanałami z odległości kilku kilometrów". W czasach ostatnich wykopano kanał irygacyjny długości 11 kilometrów.

Niemal to samo powiedzieć możemy o Niemczech. Gdzie tylko chłopi mogli obronić się przed zagrabieniem ziemi, utrzymali ją we władaniu spólnem. Gminne władanie ziemią znacznie jeszcze przeważa w Würtembergu, w Badenie, w Hohenzollernie, w prowincji Hesskiej i Starkenbergu. Lasy gminne są zwykle utrzymywane bez zarzutu i w tysiącach gmin budulec i drzewo opałowe co roku rozdzielane są pomiędzy mieszkańców. Szeroko rozpowszechniony jest nawet stary zwyczaj, zwany L e s h o l z t a g: na uderzenie dzwonu wszyscy udają się do lasu i każdy ma prawo przynieść tyle opału, ile udźwignąć zdoła. W Westfalji spotykamy gminy, gdzie cała ziemia uprawiana jest jakgdyby jeden wielki majątek i to uprawiana podług najnowszych wymagań rolnictwa. Oczywiście stare obyczaje gminne wciąż jeszcze żyją w wielu miejscach Niemiec. Przywoływanie sąsiadów na pomoc i organizowanie prawdziwych świąt pracy wciąż jeszcze należy do rzeczy zwykłych w Westfalji, w Hesji i w Nassau. W okolicach bogatych w lasy budulec na nowy dom sprowadzany jest zwykle z lasu

gminnego i wszyscy sąsiedzi pomagają przy budowie domu. Nawet na przedmieściach Frankfurtu jest rzeczą zwykłą pomiędzy ogrodnikami, że, gdy który z nich jest chory, sąsiedzi przychodzą w niedzielę i uprawiają jego ogród.

Przykładów takich i tym podobnych przytoczyć mógłbym jeszcze bardzo dużo, czerpiąc je z Włoch, Hiszpanji, Danji, i t. d. Warto również byłoby wspomnieć o Słowianach należących do państwa Austrjackiego, a także o Słowianach Bałkańskich, pomiędzy którymi wciąż jeszcze spotykamy „wielką rodzinę“ i „gospodarstwo nierozdzielone“. Muszę jednak przejść do Rosji, gdzie ta sama dążność ku pomocy wzajemnej przybiera postać nową i szczególną. Mówiąc o Rosji, znajdujemy się w położeniu tem korzystniejszem, że rozporządzamy olbrzymim materjałem rzeczowym, zgromadzonym przez „ziemstwa“ i obejmującym niemal 20 miljonów chłopów różnych stron kraju.

Na podstawie tych danych dojść możemy do dwóch wniosków. W Rosji środkowej, gdzie cała 1/3 część chłopów została doprowadzona do ruiny dzięki wysokim podatkom, lichwie i nieurodzajom, w ciągu pierwszych 25-ciu lat po uwłaszczeniu ujawniła się wyraźna skłonność do podziału gruntów spólnych na gospodarstwa oddzielne. Liczni, do zupełnej nędzy doprowadzeni, chłopi porzucali swoje kawałki ziemi, które stawały się własnością gospodarzy bogatszych, nie rzadko ciągnących zyski z handlu i z lichwy. Atoli w ciągu ostatnich 20-tu lat widzimy znowu silny prąd przeciwstawiający się podziałowi gruntu; prąd ten opiera się głównie na chłopach średniozamożnych, stojących pośrodku pomiędzy nędzą wiejską i wiejskimi bogaczami. Co się tyczy żyznych stepów południowych, będących dzisiaj najgęściej zaludnioną i najbogatszą częścią Rosji Europejskiej, były one kolonizowane w ciągu XIX-go wieku, pomiędzy kolonistów indywidualnych, cieszących się opieką państwa. Od czasu jednak udoskonalonych metod gospodarowania i z chwilą szerokiego zastosowania maszyn w rolnictwie, chłopi południowo-rosyjscy poczęli stopniowo przechodzić do gospodarstw spólnych; i dzisiaj znajdujemy w tym prawdziwym spichrzu rosyjskim cały szereg samorzutnie powstających gmin wiejskich, opartych na spólnem władaniu.

Krym i leżąca na północ prowincja Taurydzka dostarczają tu przykładu bardzo wymownego. Ziemie te po aneksji w r. 1783

zostały poddane kolonizacji przez Kozaków, pochodzących z Wielkorosji, z Małorosji i z Białorusi; byli to zarówno ludzie wolni jak zbiegli chłopi pańszczyźniani. Przychodzili oni w pojedynkę lub małemi grupami ze wszystkich zakątków Rosji. Przedewszystkiem chwycili się hodowli bydła; gdy później zaczęli uprawiać ziemię, każdy brał tyle, ile mógł podołać. W późniejszych czasach jednak — gdy napływ emigrantów był coraz większy i gdy wprowadzono pługi ulepszone — ziemi zaczęło brakować i powstały walki między i osadnikami. Walki te trwały latami całymi dopóki ci ludzie, przedtem nie związani ze sobą niczem, nie doszli do wniosku, że jedynem wyjściem z sytuacji będzie zaprowadzenie spólnego władania ziemią. Orzekli oni, że ziemia, którą dotąd dzierżył każdy oddzielnie, będzie odtąd uważana za własność spólną i poczęli ją dzielić stosownie do starych obyczajów uprawy gminnej. Ruch ten stopniowo rozszerzył się bardzo znacznie i statystycy znaleźli na niewielkiej przestrzeni Taurydy 161 wsi, w których władanie spólne zostało wprowadzone na miejsce indywidualistycznego w okresie czasu od 1855 do 1885.

Za panowania Mikołaja I-go wielu urzędników państwowych, właścicieli wielkich obszarów rolnych, miało zwyczaj zarządzać spólną uprawę małych kawałków ziemi w celu dostarczenia zapasów do spichrzy gminnych, z których wydawano zapomogi najbiedniejszym. Obyczaj ten, łączący się w umyśle chłopów z najgorszemi wspomnieniami pańszczyźnianemi, został zaniechany wraz ze zniesieniem pańszczyzny. Teraz jednak chłopi wprowadzają go znowu, lecz już z własnej inicjatywy. W jednym z powiatów (Ostrogosk w gub. Kurskiej) wystarczyło inicjatywy jednej osoby, aby ten stary zwyczaj wprowadzić w $^4/_5$ wszystkich wsi. Podobne rzeczy spotykamy w wielu innych miejscowościach. W dniu oznaczonym schodzą się wszyscy gminiacy — bogatsi z pługami i zaprzęgiem, biednejsi tylko z narzędziami ręcznemi — i wszyscy biorą się do roboty, przyczem pomiędzy zamożniejszymi i uboższymi nie czyni się żadnej różnicy. Zboże z takich kawałków ziemi używane jest na pożyczki lub zapomogi bezzwrotne dla najbiedniejszych, dla sierot i wdów lub wreszcie na potrzeby kościoła gminnego, na szkołę lub na spłatę długu gminnego.

Rozumie się samo przez się, że przy tego rodzaju zwycza-

jach, cały szereg robót takich, jak naprawa dróg, sprzęt siana na łąkach i t. p. wykonywany jest spólnemi siłami przez wszystkich gminiaków. Przy tem wszystkiem jednak gmina wiejska bynajmniej nie jest usposobiona wrogo wobec ulepszonych metod rolnictwa—byleby tylko podołała im pieniężnie i byleby rozporządzała dostatecznym zasobem wiedzy, która niestety wciąż jeszcze jest przywilejem klas zamożnych.

Powiedziawszy tyle o obyczajach gminnych w krajach cywilizowanych, widzę, że musiałbym zapełnić wielki tom opisami życia tych setek miljonów ludzi, którzy żyją w państwach mniej zcentralizowanych i pozostają poza wpływami cywilizacji spółczesnej i spółczesnych pojęć. Musiałbym szeroko opisywać życie wewnętrzne wsi tureckiej i całą sieć cudownie powiązanych instytucji i obyczajów pomocy wzajemnej. Gdy przeglądam kartki z notatkami o życiu chłopskiem na Kaukazie, spotykam fakty wprost wzruszające. Bardzo podobne rzeczy widzimy w d ż e m m a arabskiej i w p u r r a Afgańskiej; we wsiach perskich, indyjskich, na Jawie, w nierozdzielonej rodzinie chińskiej, w obozowiskach półkoczowniczych w Azji Środkowej i pomiędzy koczownikami na dalekiej północy. Przerzucając swe kartki, odnoszące się do Afryki, znowu znajduję pełno faktów tego samego rodzaju, wszędzie zwoływani są sąsiedzi dla sprzętu zboża lub dla wznoszenia zabudowań; nierzadko też gromadzi się gmina w celu naprawiania szkód, wyrządzonych przez flibustjerów europejskich. Gdy przeglądam tego rodzaju dzieła jak Posta podręcznik afrykańskiego prawa obyczajowego, zaczynam rozumieć, dzięki czemu ludzie ci nie rozproszyli się po lasach, pomimo wszystkich tyranów, pomimo ucisku, wypraw grabieżczych, wojen plemiennych, królów chciwych, pomimo wszystkich oszukaństw czarowników i kapłanów i t.d.; dzięki czemu zdołano utrzymać na pewnej wysokości cywilizację i ludzie nie spadli do poziomu błądzących po lasach orangutangów. Łowcy niewolników, poszukiwacze kości słoniowej, walczący królowie i rozmaitego rodzaju „bohaterowie" madagaskarscy — przechodzą przez te krainy, znacząc swe ślady krwią i ogniem; pomimo to jednak rdzeń społeczny instytucji i obyczajów pomocy wzajemnej wciąż żyje i rozwija się wewnątrz osady wiejskiej, umożliwia ludziom ciągłość życia

społecznego i czyni ich podatnymi na wpływy cywilizacji z chwilą gdy nadejdzie dzień, że otrzymają cywilizację zamiast kul.

To samo odnosi się do naszego świata cywilizowanego.

W ciągu ostatnich trzech wieków, dzięki szczególnym warunkom państwowym, rozwój instytucji pomocy wzajemnej spotykał szczególne przeszkody. Wiemy dzisiaj dobrze, że gdy w XVI-ym w. miasto średniowieczne dostało się pod panowanie wzrastających państw militarnych, wszystkie instytucje, utrzymujące życie społeczne pomiędzy rzemieślnikami i kupcami, cechy i gildje, zostały zniszczone przemocą.

W Wielkiej Brytanji, której politykę w stosunku do instytucji pomocy wzajemnej uważać możemy za typową, widzimy, że już w w. XV-ym parlament wypowiada wojnę gildjom; atoli poważne wysiłki w celu zdławienia ich przedsięwzięto dopiero w w. XVI-ym. Henryk VIII nietylko zburzył gildje, lecz nawet konfiskował ich majątki, przyczem usprawiedliwiał się mniej, niż wówczas, gdy konfiskował dobra klasztorne. Edward VI dopełnił tego dzieła i już w drugiej połowie w. XVI-go widzimy, że parlament rozstrzyga wszystkie zatargi pomiędzy cechami i kupcami — zatargi te przedtem załatwiane były przez samo miasto. Parlament i król nietylko wydawali ustawy prawne, odnoszące się do życia miejskiego, lecz poczęto nawet określać ściśle liczbę uczni, których mógł zatrudniać każdy majster i wchodzono w szczegóły techniczne fabrykacji — określano wagę materjału, liczbę nitek, którą obowiązkowo miał zawierać każdy jard tkaniny i t. p. Rozumie się samo przez się, że rezultaty tych postanowień prawnych były tylko ujemne, ponieważ zatargi wewnątrz miasta, a także techniczne warunki produkcji leżą całkowicie poza wpływami państwa. Nieustanne wtrącanie się urzędników państwowych paraliżowało przemysł i handel, doprowadzając niektóre gałęzie do zupełnej ruiny; to też gdy ekonomiści wieku XIX-go wystąpili przeciwko regulowaniu przemysłu przez państwo, dali oni wyraz oddawna nagromadzającemu się niezadowoleniu. Kiedy Rewolucja Francuska zniosła tę ingerencję państwa do przemysłu, akt ten

został powitany jako wyzwolenie — i inne kraje poszły za przykładem Francji.

Nie lepiej powiodła się państwu sprawa regulowania płacy. W mieście średniowiecznem, kiedy różnice zarobków pomiędzy majstrami i uczniami lub najemnikami stawały się zbyt rażące, powstawały — jak to np. miało miejsce w w. XV-ym — międzynarodowe organizacje uczniów i czeladników, przeciwstawiające się związkom majstrów i kupców. Teraz państwo postanowiło samo załatwiać te zatargi i prawodawstwo Elżbiety z r. 1566 próbowało ustalić zapłaty sprawiedliwe, zapewniające dostateczne utrzymanie uczniom i najemnikom. Władza państwowa okazała się jednak bezsilna i nie mogła zmusić majstrów do posłuszeństwa. Prawo stawało się stopniowo literą martwą i wreszcie zostało odwołane w końcu w. XVIII-go. W ten sposób państwo zaniechało zamiaru ustalania płac, w dalszym ciągu jednak surowo zabraniało najemnikom łączyć się w celu podniesienia zarobku. Przez cały ciąg wieku XVIII-go wydawane są prawa, zwrócone przeciwko związkom robotniczym, i wreszcie w r. 1799 pod grozą surowych kar zabrania się robotnikom tworzyć jakiebądź oganizacje.

Lecz czyż potrzebujemy mówić, że wszystkie te wystąpienia prawne okazały się bezsilne? W ciągu całego wieku XVIII-go związki robotnicze powstawały nieustannie. Rozwoju ich nie powstrzymały nawet ostre prześladowania z r. 1797 i 1799. Każda najmniejsza szczelina w prawodawstwie, najmniejszy brak dozoru ze strony majstrów lub władz wystarczył na to, aby związek powstał. Powstawały organizacje pod pokrywką zrzeszeń przyjacielskich, klubów pogrzebowych lub jako bractwa konspiracyjne; związki te szczególnie rozwijały się pomiędzy tkaczami, pomiędzy robotnikami fabryk nożowniczych w Schefield i pomiędzy górnikami.

Gdy w roku 1825 zniesiono prawo zakazujące związków, ruch ten wzmógł się znacznie. We wszystkich zawodach popowstawały związki a także ogólno-narodowe związki związków; i kiedy Robert Owen założył swój wielki narodowy związek zawodowy, objął nim w ciągu kilku miesięcy pół miljona członków. Niestety ten okres względnej swobody trwał niedługo. W latach trzydziestych zaczęły się nowe prześladowania i na robotników

spadły okrutne kary w latach 1832 — 1844. Założony przez Owena związek został rozpędzony i zarówno rząd jak przedsiębiorcy prywatni zmuszali robotników do podpisywania specjalnego dokumentu, mocą którego odżegnywali się od związku. Członkowie związku podlegali masowym prześladowaniom i dość było najsłabszej skargi majstra, aby aresztować robotnika. Strajki tłumiono przemocą i na to, aby dostać się do więzienia, wystarczało być delegatem strajkujących; — oczywiście nie obeszło się bez walk z wojskiem i towarzyszących im aktów przemocy. Zakładanie w takich warunkach organizacji pomocy wzajemnej bynajmniej nie było rzeczą łatwą. A jednak pomimo wszystkich trudności widzimy w r. 1841 nową falę ruchu związkowego i rozwój solidarności robotniczej jął szybko postępować. Po długiej, przeszło stuletniej, walce zostało wreszcie wywalczone prawo zrzeszania się i widzimy, że obecnie czwarta część wszystkich robotników angielskich, t. j. z górą półtora miljona członków, należy do związków zawodowych.

Co się tyczy innych państw europejskich, dość powiedzieć, że aż do czasów ostatnich wszelkie związki robotnicze były surowo zakazane; pomimo to jednak istniały wszędzie jakkolwiek nierzadko pod postacią towarzystw tajnych. A należy tu zaznaczyć, że tworzenie związków tajnych pociąga za sobą dla robotników konieczność wielkich ofiar pieniężnych, przynosi ogromną stratę czasu, wymaga wielkiej ilości pracy nieopłaconej i wreszcie wystawia na nieustanne niebezpieczeństwo. Przy tem wszystkiem członek związku nieustannie przygotowany musi być do strajku; a strajk jest przecie czemś bardzo ciężkiem dla rodziny robotniczej — kredyt w sklepiku i u piekarza wyczerpuje się bardzo szybko, zapomogi strajkowe nie wystarczają na jadło i na twarzach dzieci rychło występują oznaki głodu. Aż do ostatnich czasów strajki niejednokrotnie kończyły się zupełną ruiną rodzin robotniczych i zmuszeniem do masowej emigracji; a jednocześnie towarzyszyły im formalne rzezie przy lada jakiej okazji lub zgoła bez okazji.

Pomimo to wszystko jednak rok rocznie wybuchają niezliczone strajki zarówno w Europie jak w Ameryce. Najostrzej zaś prześladowane są t. zw. strajki „sympatyczne“, t. j. podejmowane

w celu przyjścia z pomocą strajkującym lub zlokautowanym robotnikom w innych zawodach. I gdy prasa mieszczańska łacno przypisuje strajki agitacji zewnętrznej i steroryzowaniu robotników, ludzie żyjący blizko z robotnikami wiedzą, jak wielką ilość pomocy wzajemnej rozwija każda walka strajkowa. Któż nie słyszał o tej olbrzymiej ilości pracy, wykonanej przez ochotników przy organizowaniu wielkiego strajku londyńskiego robotników w dokach; któż nie słyszał o górniku, który po chorobie wielotygodniowej wnosi swoją czteroszylingową składkę do kasy strajkowej — gdy tylko mógł wrócić do roboty; lub o owej wdowie po górniku, która podczas wielkiej walki pracy w Yorkschire w r. 1894 przyniosła do kasy strajkowej wszystkie oszczędności po zmarłym mężu; ostatni kawałek chleba jest nieraz dzielony z towarzyszami pracy i sąsiadami. Górnicy z Radstock, posiadający małe ogródki przy domach, zaprosili do siebie 400 strajkujących górników z Bristolu, aby podzielić się z nimi swą kapustą i kartoflami. Wszystkie dzienniki podczas wielkiej walki Yorkshirskiej w r. 1894 zanotowały wiele faktów tego rodzaju, fakty te jednak uważane są za niegodne, aby zajmować się nimi poważnie.

Atoli związki zawodowe nie są jedyną formą organizacyjną, w której robotnicze dążenia do pomocy wzajemnej znajdują sobie wyraz. Pozatem są jeszcze organizacje polityczne, uważane przez wielu robotników za skuteczniejsze niż związki zawodowe. Zresztą przynależności do partji politycznej nie możemy uważać za wyraz pomocy wzajemnej. Wszyscy bowiem wiemy, że polityka jest polem, na którem do pełnego rozwoju dochodzą skłonności czysto egoistyczne. Pomimo to jednak każdy doświadczony polityk wie dobrze, że najskuteczniej i najszerzej rozlewają się te ruchy polityczne, które zdolne są wywołać najwyższy i najbardziej bezinteresowny entuzjazm. Wszystkie wielkie ruchy dziejowe posiadały na sobie wybitne piętna entuzjazmu bezinteresownego, o czem najwymowniej świadczą już cztery pokolenia ruchu socjalistycznego. Ludzie, zgoła nie znający stosunków, przypisują wszystko „agitatorom płatnym". Naprawdę jednak u podstawy wszelkiej roboty społecznej leży oddanie się i ogromna ofiarność osobista; gdybyśmy przejrzeli żywoty i czyny działaczy społecznych, nieustannie przychodziłby nam na myśl wyraz bohaterstwo. Ludzie jednak, o których tu chodzi, bynajmniej nie uważali się za

bohaterów; byli to ludzie przeciętni, przejęci wielką ideą. Każdy dziennik socjalistyczny — a jest ich w samej Europie setki — posiada za sobą całe lata takiego życia opartego na poświęceniach, bez najmniejszej nadziei na nagrodę i w większości wypadków nawet bez podniety ambicji osobistej. Znałem rodziny, żyjące dosłownie z dnia na dzień i to przez czas długi, dzięki temu, że ojciec bojkotowany był wszędzie za swój udział w dzienniku socjalistycznym i rodzina cała utrzymywana była przez matkę, zarabiającą szyciem. Gdy wreszcie sił brakło, usuwali się od pracy, mówiąc: „róbcie dalej, my już nie możemy"; — znałem ludzi, umierających na suchoty i wiedzących o tem, a jednak na krótko przed śmiercią, biegających poprzez mgłę i błoto na drugi koniec miasta, aby urządzić zebranie robotnicze; gdy wreszcie sił brakło mówił taki: „koniec już ze mną, przyjaciele; lekarz powiada, że zostaje mi zaledwie parę tygodni; powiedzcie towarzyszom, że rad będę, jeśli odwiedzą mnie w szpitalu". Znam liczne fakty, które uważaneby były za sztuczną idealizację, gdybym je tu opowiedział. Imiona tych ludzi nieznane są poza ciasnem kołem przyjaciół i rychło ulegają zapomnieniu, gdy przejdą przyjaciele. Rzeczywiście sam nie wiem, co bardziej podziwiać, czy bezgraniczne oddanie się tych nielicznych, czy też olbrzymią sumę drobnych, codziennych ofiar, składanych przez masy. Każdy numer dziennika socjalistycznego, każde zgromadzenie robotnicze, każda setka głosów na kandydata robotniczego wyobrażają taką masę energji i ofiarności osobistej, że ludzie, stojący zzewnątrz ruchu, nie mają o tem najmniejszego pojęcia. A to, co dzisiaj robią socjaliści, czynione było w przeszłości przez każdą grupę ludową lub postępową, zarówno polityczną, jak religijną. Wszelki postęp w przeszłości był dziełem podobnych ludzi i takiej ofiarności.

Spółdzielczość, szczególnie w Anglji, niejednokrotnie uważana jest za „indywidualizm akcyjny". I niewątpliwie taka, jaką widzimy obecnie, ma w sobie dużo znamion egoizmu. Pomimo to jednak, niewątpliwe jest, że ruch ten w zaraniu swojem posiadał charakter wybitny ruchu pomocy wzajemnej. Nawet i dzisiaj najbardziej gorliwi spółdzielcy są przeświadczeni, że spółdzielczość prowadzi ludzkość na wyższy poziom stosunków ekonomicznych, opartych na zasadzie harmonji; dość jest zapoznać się bliżej z którym bądź z olbrzymów spółdzielczości w Anglji północnej, aby

przekonać się, że panuje tam duch podobny. Bardzo liczni członkowie spółdzielni zupełnie odwróciliby się od nich, gdyby przestali wierzyć, że prowadzą one rzeczywiście ku lepszemu ładowi społecznemu.

Dzisiaj nikt już nie zaprzecza olbrzymiego znaczenia spółdzielczości zarówno w Anglji, jak w Holandji i Danji; w Niemczech, a specjalnie w prowincjach nadreńskich, stowarzyszenia spółdzielcze są dzisiaj poważnym czynnikiem życia przemysłowego. Atoli krajem, w którym spółdzielczość poznawana być może pod postacią form najróżnorodniejszych, jest niewątpliwie Rosja. W Rosji ruch spółdzielczy rozwija się samorzutnie, a został odziedziczony po wiekach średnich; i jakkolwiek do niedawna jeszcze formalne zrzeszenie spółdzielcze napotykało na poważne przeszkody prawne, t. zw. „artel" jest poprostu podstawą życia społecznego chłopa rosyjskiego. Dzieje powstawania Rosji i kolonizacji Syberji są dziejami arteli myśliwskich i handlowych, w których ślady szły spólnoty wiejskie. W Rosji spółczesnej spotykamy się z artelą na każdym kroku. Gdy grupa 10 do 50 chłopów idzie ze wsi na pracę do fabryki, wiążą się w artel; to samo widzimy, gdy pracują przy budowie domu, nie inaczej jest między rybakami, pomiędzy zawodowymi myśliwymi; podróżni udający się w głąb Syberji, wiążą się w artele, artele tworzą tragarze kolejowi, komisanci na giełdzie i t. p.; wszędzie, gdzie tylko mamy do czynienia z grupą ludzi pracujących lub gdzie wymaga się ludzi zaufanych, występuje artel. Aż do dzisiejszego dnia okręgi rybackie na morzu Kaspijskiem są eksploatowane przez artele; rzeka Ural, należąca w całości do kozaków Uralskich, eksploatowana jest pod względem rybackim przez wsie okoliczne bez jakiego bądź wtrącania się władz. Na Wołdze i w całej Rosji południowej rybołóstwo jest całe w rękach arteli. Poza temi organizacjami trwałemi istnieją niezliczone artele doraźne, tworzone dla celów najrozmaitszych. Gdy kilkunastu robotników udaję się ze wsi do miasta, aby pracować jako tkacze, cieśle, lub murarze, zawsze tworzą artel. Spólnie wynajmują mieszkanie, angażują kucharkę (którą często bywa żona jednego z nich), wybierają „starostę" i spólnie odżywiają się, płacąc składkę do arteli na jadło i mieszkanie. To samo czynią ludzie, udający się na Syberję i wybrany przez nich „starosta" uzna-

wany jest przez władzę za pośrednika. Taką samą organizację znajdujemy w zakładach robót ciężkich dla skazańców.

W łączności ze spółdzielczością wspomnę także o stowarzyszeniach przyjacielskich, o tak licznych w Anglji klubach wiejskich, organizowanych w celu opłacania pomocy lekarskiej, o stowarzyszeniach pogrzebowych, posagowych i najrozmaitszych innych. We wszystkich tego rodzaju zrzeszeniach, pomimo panującej w nich ścisłej rachunkowości i rozróżniania pomiędzy „winien“ i „ma“ każdego członka, działa potężnie duch solidarności i pomocy wzajemnej. Poza tem jednak istnieją bardzo liczne zrzeszenia, oparte wprost na gotowości poświęcania dla dobra ogólnego — czasu, zdrowia, a niekiedy nawet i życia.

Doskonałym tego przykładem jest tak silnie rozwinięte w Anglji towarzystwo ratowania tonących, mające swe odpowiedniki również na kontynencie. Towarzystwo angielskie posiada obecnie wzdłuż brzegów angielskich przeszło 300 łódek ratowniczych, a posiadałoby ich dwa razy tyle, gdyby nie bieda rybaków, nie mogących zdobyć się na zakup łódek specjalnych. Członkami są ochotnicy, gotowi narażać się w celu ratowania ludzi zupełnie obcych; nie upływa ani jedna zima bez zanotowania straty kilku z nich. I jeślibyśmy spytali którego bądź z tych ludzi, co pobudza ich do narażania życia nawet w tych wypadkach, kiedy prawie niema nadziei na uratowanie tonącego, ich odpowiedź niemal zawsze przypomina wypadek następujący.

— Straszliwa burza śnieżna rozhulała się nad kanałem i nad piaszczystem wybrzeżem z blizkości małej wioski Kent; fale wyrzuciły łódkę naładowaną pomarańczami. W tych płytkich wodach można było udać się na ratunek tylko w bardzo niewielkiej specjalnie zbudowanej łódce, wyjeżdżanie zaś taką łódką podczas wichru na morze było równoznaczne z narażeniem się na śmierć pewną. A jednak znaleźli się ochotnicy, którzy walczyli z wichrem w ciągu czterech godzin, pomimo tego, że łódka ich w tym czasie dwa razy przewróciła się. Jeden utonął, a dwaj drudzy zostali wyrzuceni na brzeg. Jednego z tych wyrzuconych, inteligentnego strażnika celnego, znaleziono nazajutrz w śniegu półmartwego. Kiedym go zapytał, co spowodowało ich do przedsięwzięcia kroku tak rozpaczliwego, odpowiedział: sam nie wiem, jak się to stało.

Pod działaniem czynników podobnych występowali również górnicy Rhonda Valley, gdy pracowali nad wyratowaniem towarzyszy, zatopionych w kopalni. Przebili 32 jardy węgla w celu dostania się do pogrzebanych towarzyszy; gdy jednak oddzielało ich od ofiar wypadku tylko 3 jardy, ukazały się gazy ziemne, lampy zgasły i trzeba było corychlej uciekać. Praca w takich warunkach była równoznaczna z narażaniem się na śmierć pewną. Lecz odgłosy stukań, dochodzące od zagrzebanych, słychać było nieustannie, ludzie ci żyli pod ziemią i wzywali pomocy; znalazło się więc kilku górników, gotowych narazić się na niebezpieczeństwo. Gdy schodzili do kopalni, ich żony miały tylko milczące łzy w oczach: — ani jednem słowem nie usiłowały powstrzymać ich.

Oto istota psychologji ludzkiej. Póki człowiek nie oszaleje na polu bitwy, nie może znieść obojętnie wołania o pomoc. Na taki zew idzie bohater i działa, w s z y s c y zaś czują, że mogliby zrobić to samo. Rozumowania nie są tu w stanie oprzeć się dążnościom do pomocy wzajemnej, ponieważ leżące u podstawy uczucie społeczne zostało wyhodowane przez tysiącolecia życia w społeczeństwie ludzkiem i przez setki tysięcy lat społeczeństw przedludzkich.

Można tu jednak postawić zarzut :— „A cóż powiedzieć o tych ludziach, którzy utonęli w londyńskim Hyde Parku wobec ogromnego tłumu, z którego nikt nie ruszył się na pomoc?“ — „Co powiedzieć o tem dziecku, które wpadło w wodę w jednym z kanałów londyńskich, również wobec tłumu niedzielnego i zostało uratowane jedynie dzięki przytomności umysłu jakiejś dziewczyny, która wysłała na pomoc psa newfounlandzkiego?“ — Odpowiedź jest łatwa. — Człowiek jest wynikiem zarówno instynktów odziedziczonych, jak wychowania. Prace codzienne i nieustanne stykanie się wzajemne górników lub rybaków wytwarza w nich silne poczucie solidarności wzajemnej; gdy jednocześnie otaczające ich stale niebezpieczeństwa rozwijają odwagę i śmiałość. W miastach przeciwnie — brak interesów spólnych hoduje obojętność, gdy jednocześnie odwaga i śmiałość rzadko kiedy mają możność przejawić się. Dodać do tego należy, że bohaterska tradycja pomiędzy górnikami lub rybakami wciąż żyje, otaczając ich czyny blaskiem szczególnym. Jakąż jednak tradycję posiada

tłum londyński? Jedyna tradycja, którą tłum ten mógłby posiadać, pochodziłaby od literatury; w miastach jednak niema nic, co odpowiadałoby bohaterskim epopejom wiejskim.

Co się zaś tyczy powieściopisarzy, cała ich uwaga zwrócona jest tylko ku jednemu rodzajowi bohaterstwa, mianowicie ku bohaterstwu, wywoływanemu przez ideę państwa. To też podziwiają oni bohatera rzymskiego lub żołnierza w bitwie, lecz przechodzą obojętnie obok bohaterstwa rybaka lub górnika. Poeta lub malarz mógłby oczywiście dać się unieść samem pięknem serca ludzkiego; rzadko jednak zna on życie klas ubogich i o ile łatwo przychodzi mu opiewać bohatera rzymskiego lub wojskowego, postawionego w środowisku konwencjonalnem, o tyle trudno mu wydobyć piękno, tkwiące w warunkach życia ludzi biednych, w warunkach zgoła artyście nieznanych.

Do instytucji pomocy wzajemnej zaliczyć możemy nieprzeliczone towarzystwa, kluby i związki, mające na celu uprzyjemnienie życia, badania naukowe, samokształcenie i t. d. Związki takie w ilości nieprzeliczonej powstają rok rocznie i samo wyliczanie ich zabrałoby nam niezmiernie dużo czasu.

Do tego samego rodzaju organizacj należą również dobroczynne zrzeszenia religijne, których członkowie — przynajmniej w znakomitej większości — zupełnie niewątpliwie pobudzani są przez poczucie solidarności z całą cierpiącą ludzkością. Niestety, wykładacze religji przypisują te uczucia działaniu czynników nadprzyrodzonych.

Wszystkie takie i t. p. fakty dowodzą niezbicie, że bezustanna pogoń wyłącznie za interesem osobistym, bez względu na bliźnich, bynajmniej nie jest znamieniem panującem życia spółczesnego. Gdy przejdziemy od życia publicznego do osobistych stosunków pomiędzy ludźmi spółczesnymi, znajdziemy się wobec całej sieci zwyczajów i czynów pomocy wzajemnej, pomijanych zwykle przez socjologów, ponieważ zjawiska te ograniczone są ciasnem kołem stosunków rodzinnych lub przyjacielskich.

W panujących obecnie warunkach społecznych wszelka łączność pomiędzy mieszkańcami jednej ulicy lub jednego domu została potargana. W zamożnych dzielnicach wielkich miast ludzie latami całymi mieszkają obok siebie — przez schody — zgoła nie znając się nawzajem. W dzielnicach uboższych jednak mieszkań=

cy każdego domu znają się pomiędzy sobą i pomagają jedni drugim. Oczywiście mniejsze lub większe kłótnie bywają w dzielnicach ubogich, jak wszędzie; ludzie jednak łatwiej tam gromadzą się podług sympatji osobistych, i pomoc wzajemna znajduje zastosowanie znacznie szersze, niż w klasach zamożnych. Jeśli spojrzymy np. na dzieci, bawiące się na chodniku lub podwórku, odrazu będziemy musieli stwierdzić, że — pomimo chwilowych bójek — działa pomiędzy niemi poczucie salidarności, chroniące je nieustannie od najrozmaitszego rodzaju nieszczęść. Gdy tylko który z malców nachyli się nad otworem kanału, drugi natychmiast ostrzega go: „nie zaglądaj tam, tam siedzi febra". — „Nie właź na ten mur, bo pociąg zabije cię, jeśli spadniesz! Nie podchodź blizko do studni! Nie jedz tych jagód — to trucizna, umrzesz!" — Oto pierwsze nauki, które słyszy dziecko, gdy znajdzie się poza progiem mieszkania. O ileż liczniejsze byłyby wypadki nieszczęśliwe pomiędzy dziećmi, ileż więcej byłoby przejechanych utopionych i t. p., gdyby nie działała nieustannie tego rodzaju pomoc wzajemna. — Jeśli zaś pomimo wszystko jakiś Jaś lub Zosia wpadnie do kanału, cała gromada dzieci podnosi natychmiast taki krzyk, że wszyscy zbiegają się na ratunek.

Do tego rodzaju pomocy wzajemnej przyłącza się pomoc pomiędzy matkami. „Nie może pan sobie wyobrazić — mówiła mi pewna lekarka, pracująca w dzielnicach ubogich — jak bardzo kobiety pomagają tam sobie nawzajem. Jeśli która kobieta nie może przygotować nic na przyjęcie dziecka, którego się spodziewa— a jakże często zdarza się to — wszystkie sąsiadki przynoszą cośkolwiek dla nowego przybysza. Jedna z sąsiadek bierze zawsze w opiekę dziecko, gdy inne tymczasem krzątają się koło gospodarstwa póty, póki matka nie może wstać z łóżka". — Jest to zwyczaj bardzo rozpowszechniony. Mówią o nim wszyscy, którzy żyli pomiędzy ludźmi biednymi. Matki na tysiąc sposobów pomagają sobie nazwajem i roztaczają opiekę nad dziećmi.

WNIOSKI.

Jeśli teraz oprzemy się na wszystkich przykładach przytoczonych, a zaczerpniętych zarówno z życia spółczesnego jak z dziejów ludzkich i ze świata zwierzęcego, dojść będziemy musieli do wniosków następujących:

Przeglądając świat zwierzęcy, widzieliśmy, że znakomita większość gatunków pędzi życie społeczne i że uspołecznienie jest najlepszą bronią w walce o byt — pojmowaną oczywiście w szerszem znaczeniu darwinowskiem, t. j. nietylko jako walka o same środki do bytu, lecz jako walka ze wszystkimi warunkami niesprzyjającymi rozwojowi gatunku. Te gatunki zwierzęce, w których walka pomiędzy jednostkami została jak najbardziej ograniczona i gdzie przeciwnie pomoc wzajemna rozwinęła się najsilniej, zawsze i wszędzie są najliczniejsze, najzdrowsze i najzdolniejsze do dalszego rowoju. Gatunki te dzięki pomocy wzajemnej żyją najdłużej, dosięgają najwyższego poziomu umysłowego i nieustanny rozwój nawyków społecznych zapewnia im wciąż dalszy postęp. Przeciwnie — gatunki niespołeczne skazane są nieuniknienie na upadek.

Gdyśmy potem przeszli do człowieka, przekonaliśmy się, że już w epoce kamiennej, w samem zaraniu ludzkości, żył on w klanach i plemionach; spotkaliśmy długi szereg instytucji społecznych, rozwiniętych już w najniższych okresach życia ludzkiego, w okresie klanowym i plemiennym; przekonaliśmy się także, że zwyczaje pochodzące z najwcześniejszych okresów życia plemiennego, były zarodkiem tych instytucji, które zapewniły ludzkości cały rozwój przyszły. Z plemienia dzikiego wyrosła potem barbarzyńska spólnota wiejska; i oto widzimy nowe znacznie szersze koło instytucji i zwyczajów społecznych. Wiele z tych instytucji i zwyczajów wciąż żyje jeszcze pomiędzy nami. Gdy wreszcie nowe warunki doprowadziły ludzi do nowych urządzeń, ta

sama dążność wyraziła się w mieście średniowiecznem, będącem podwójną siecią związków terytorjalnych (spólnoty wiejskiej) i gildyjnych, opierających się na spólnej pracy w jakiemś rzemiośle lub na potrzebie pomocy wzajemnej i obrony.

Wreszcie w ostatnich dwóch rozdziałach wykazaliśmy, że jakkolwiek rozwój państw, wzorowanych na Rzymie cesarskim, położył koniec średniowiecznym instytucjom pomocy wzajemnej, ta nowa forma cywilizacji nie zdołała zapanować wyłącznie. Państwo oparte na luźnem zbiorowisku niczem nie powiązanych nawzajem jednostek i uważające się za jedyny łącznik pomiędzy nimi, nie było w stanie odpowiedzieć swojemu zadaniu. Dążność do pomocy wzajemnej ostatecznie przełamała żelazne prawa państwa. Znowu ujawniła się ona w niezliczonem mnóstwie najrozmaitszych zrzeszeń, dążących dzisiaj do objęcia wszystkich stron życia, do zaspokojenia wszystkich potrzeb ludzkich i wynagradzania szkód, przez życie powodowanych.

Zapewne niejeden z czytelników zrobi tu uwagę, że jakkolwiek dążność do pomocy wzajemnej jest jednym z czynników rozwoju, nie jest czynnikiem jedynym; powiedzą, że obok tego prądu, choćby był on najpotężniejszym, jest i zawsze był drugi prąd — samopotwierdzania się jednostkowego: dążenia do zdobycia osobistej lub klasowej wyższości, do zwycięstwa gospodarczego, politycznego lub umysłowego. Ten prąd drugi jest niemniej poważnym czynnikiem wówczas, gdy chodzi o łamanie więzów, o łamanie tych form skamieniałych w które życie plemienia spólnoty wiejskiej, miasta lub państwa, usiłuje wtłoczyć wolną jednostkę. Słowem — samopotwierdzanie się jednostkowe możemy również uważać za czynnik postępu.

Zrozumiałe jest teraz że aby dać pełny obraz rozwoju, należałoby rozpatrzeć i uwzględnić oba te czynniki. Atoli dążność do jednostkowego samopotwierdzania się, walki o wyższość i powstające tutaj starcia pomiędzy jednostkami od czasów niepamiętnych były już rozpatrywane, opisywane i wychwalane. I rzeczywiście — aż do czasów ostatnich tylko ten drugi czynnik zwracał na siebie uwagę poety epicznego, historyka i socjologa. Historja taka, jaką znamy dotychczas, jest niemal wyłącznie opisem tych dróg i środków, przy pomocy których teokracja, potęgi militarne, autokracja — a w czasach ostatnich — klasy bogate wysuwały się

na czoło życia i utrwalały się. Walki pomiędzy temi siłami społecznemi stanowią treść historji. Możemy też przyjąć, że w dziejach uwzględniono obszernie jednostkowy czynnik rozwoju; natomiast czynnik pomocy wzajemej był dotychczas całkowicie zapomniany, a w ostatnich czasach wprost zaprzeczano go lub nawet wyśmiewano. To też uważaliśmy za konieczne wykazać przedewszystkiem wielkie zadanie spełniane przez ten czynnik zarówno w rozwoju świata zwierzęcego, jak społeczeństw ludzkich. Dopiero po dokonaniu tego można przystąpić do porównania obu czynników.

Oczywiście nie może tu być mowy o jakiem bądź ocenieniu obu tych czynników przy zastosowaniu jakichś mniej lub więcej wyraźnych metod statystycznych. Wiemy dobrze, że dość jednej wojny, aby sprowadzić więcej zła bezpośredniego i obciążającego pokolenia przyszłe, niż całe wieki wysiłków społecznych zdolne są zrodzić dobra. Widzimy jednak że w świecie zwierzęcym czynniki pomocy wzajemnej wyraźnie spółdziałają pomyślnemu rozwojowi gatunku, gdy przeciwnie walka wewnętrzna zawsze występuje spółrzednie z uwstęcznianiem się gatunku. I jeśli dalej zaznaczymy, że w społeczeństwie ludzkiem nawet zwycięstwo wojenne uwarunkowane jest rozwojem uspołecznienia w każdym z dwu walczących narodów, miast, partji politycznych lub plemion — i nadto, że w sprawie ewolucji nawet sama wojna (ile to tylko możliwe) została podporządkowana dążeniu postępowemu, opartemu na pomocy wzajemnej wewnątrz narodu, miasta lub klanu — zdamy sobie sprawę z przeważającego wpływu czynnika pomocy wzajemnej. Widzieliśmy także, że praktyczne zastosowanie pomocy wzajemnej wytwarza te warunki społeczne, w których rozwijać się mogą sztuki, wiedza i inteligencja; a także, że te okresy dziejowe, w których instytucje pomocy wzajemnej rozwinęły się najbujniej, były jednocześnie okresami najsilniejszego postępu w sztukach, przemyśle i nauce. Badania nad wewnętrznem życiem miasta średniowiecznego i miast greckich ujawniają, że szerokie zastosowanie pomocy wzajemnej w gildji lub w klanie greckim łączyło się z szerokim rozwojem inicjatywy indywidualnej, a także inicjatywy całych grup. Urządzenia te łączą się z dwoma najbogatszymi okresami w dziejach ludzkich — z okresem miasta średniowiecznego i miasta greckiego. Przeciwnie—

upadek instytucji pomocy wzajemnej w okresie wzmagania się i panowania państwa w obu wypadkach jest spółrzędny z szybkim rozkładem społecznym.

Co się tyczy szybkiego postępu przemysłowego, dokonanego w ciągu wieku XIX-go i przypisywanego zwykle panowaniu czynnika indywidualizmu i spółzawodnictwa, to rozwój ten ma przyczyny dużo głębsze. Skoro dokonano w wieku XV-ym wielkich odkryć, za któremi poszedł nieznany przedtem rozwój myśli i filozofji przyrody — a dokonane to zostało w mieście średniowiecznem — skoro powiadam odkrycia te raz już istniały, wynalezienie maszyny parowej i wszystkie te następstwa, które pociągnęła ona za sobą, były już tylko nieuniknionym wynikiem tamtego. Gdyby miasta średniowieczne dożyły maszyny parowej, etyczne następstwa przewrotu wywołanego przez wprowadzenie nowych sił, byłyby zupełnie odmienne; wynalazki techniczne jednak byłyby napewno te same. Pozostaje więc otwartem pytanie, czy ogólny upadek przymysłu, który nastąpił po ruinie miast wolnych i szczególnie wyraźny był w pierwszej części wieku XVIII-go nie opóźnił znakomicie chwili pojawienia się maszyny parowej i wszystkich tych następstw, które pociągnęła ona za sobą? Gdy spojrzymy na ten zadziwiająco szybki rozwój przemysłu od XII-go do XV-go wieku — gdy przyjrzymy się postępom w tkactwie, obrabianiu metali, w budownictwie i w marynarce i zważymy te odkrycia naukowe, które ten postęp przemysłowy przekazał końcowi wieku XV-go, musimy zapytać się, czy ludzkość nie została powstrzymana w rozwoju wówczas, gdy zamarło życie miast średniowiecznych? Oczywiście zniknięcie rzemieślnika artysty, ruina miast wielkich i zamarcie stosunków pomiędzy niemi nie mogło sprzyjać rozwojowi przemysłu. I wiemy dzisiaj, że James Watt stracił z górą 20 lat, zanim udało mu się urzeczywistnić w praktyce swój wynalazek, ponieważ pod koniec wieku XVIII-go nie mógł znaleźć w Europie rzemieślnika, któryby zdolny był wykonać dość dokładnie w metalu polecenia wynalazcy: rzemieślników zaś takich byłby on z łatwością znalazł we Florencji lub w Brugge.

To też przypisywanie spółczesnego postępu przemysłowego walce wszystkich przeciw wszystkim jest rozumowaniem podobnem do tego, jak gdyby ktoś, nie znając rzeczywistych przyczyn deszczu, przypisywał go ofiarom złożonym przed posągiem bożka.

Niewątpliwe bowiem jest, że dla postępu przemysłowego, jak dla każdej zdobyczy ludzkiej nad przyrodą, dużo korzystniejsza jest pomoc wzajemna i społdziałanie, niż walka pomiędzy ludźmi.

Atoli działanie czynnika pomocy wzajemnej z siłą szczególną występuje w dziedzinie etyki. — Pomoc wzajemna jest rzeczywiście podstawą wszystkich naszych pojęć etycznych. Bez względu na to, jakie pochodzenie przypisywać będziemy poczuciu lub instynktowi pomocy wzajemnej — bez względu na to, czy zgodzimy się na jego pochodzenie biologiczne czy też przypiszemy mu źródło nadprzyrodzone — podstaw jego szukać musimy aż w najwcześniejszych okresach świata zwierzęcego. Od owych czasów począwszy, śledzić możemy nieprzerwany rozwój tego czynnika, ciągnący się poprzez szereg przeciwieństw, poprzez wszystkie gatunki i cały rozwój ludzkości aż do czasów obecnych. Nawet budzące się od czasu do czasu nowe prądy religijne — a powstają one zawsze w tych okresach, kiedy czynnik pomocy wzajemnej słabnie i wysuwają się na czoło teokracje lub państwa despotyczne — nawet nowe prądy religijne, powiadam, potwierdzają działanie tego samego czynnika. Prądy te znajdują swoich wyznawców przedewszystkiem w warstwach najbiedniejszych, najniższych, tam bowiem pomoc wzajemna jest czynnikiem życia powszedniego. Te nowe formy jednoczenia się ludzi, które wprowadzone zostały w gminach pierwszych buddystów lub chrześcijan, w związkach braci Morawskich i w innych t. p. organizacjach, nosiły na sobie wyraźne znamię powrotu do najwcześniejszych okresów życia plemiennego.

Za każdym jednak razem, gdy usiłowano powrócić do tej starej zasady życia, samo jej założenie ulegało znacznemu rozszerzeniu. Od klanu pomoc wzajemna rozciągnęła się na cały szczep, potem na związek szczepów, dalej na naród i wreszcie — przynajmniej w ideale — na całą ludzkość. Jednocześnie czynnik ten ulegał wysubtelnieniu. W buddyzmie chrystjaniźmie pierwotnym, u niektórych pisarzy muzułmańskich, w pierwszym okresie ruchu reformacyjnego, a szczególnie w etycznych i filozoficznych ruchach stulecia ubiegłego i wreszcie w dążeniach nam spółczesnych, coraz silniej i coraz wyraźniej podkreśla się dążenie do zaniechania dawnej zasady odwetu i płacenia dobrem za dobre, a nie złem za złe. Na miejsce tych pojęć wchodzi zasada nieszukania zemsty

za krzywdę doznaną, zasada dawania więcej, niż spodziewamy się otrzymać; zasada ta uznawana jest za prawdziwą podstawę moralności, uważamy, że jest ona wyższa niż nagie pojęcie równowagi, lub sprawiedliwości i że skutecznie wiedzie ku szczęściu. Uważamy dzisiaj, że pobudką do czynów dodatnich winna być nietylko miłość, posiadająca zawsze mniej lub więcej piętno osobiste lub w najlepszym razie zamykająca się do jakiejś miłości plemiennej, lecz że pobudką tą winno być uświadomienie sobie własnej jedni z każdą istotą ludzką. Idąc w ten sposób po śladach praktycznego zastosowania pomocy wzajemnej, sięgniemy aż do zaczątków rozwoju ludzkiego i odkryjemy rzeczywiste i niewątpliwe źródła naszych pojęć etycznych. Dojdziemy też do wniosku, że w etycznym rozwoju człowieka czynnikiem decydującym jest pomoc wzajemna, a nie walka. W dalszym rozwoju tego czynnika po przez czasy obecne widzimy najlepszą gwarancję coraz wyżej wstępującego rozwoju rasy ludzkiej.

SPIS RZECZY.


BIBLIOTEKA NARODOWA

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU:

	zamiast	powinno być
str. 5 wiersz 14 od góry	entuzjastyczne ze strony	entuzjastyczne przyjęcie ze strony
„ 53 „ 4 od dołu	widzieć w Amurze	widzieć na Amurze
„ 63 „ 14 „	odmian częściowych	odmian przejściowych
„ 100 „ 3 „	cały wiersz zbędny	
„ 110 „ 15 „	stawiać	stawać
„ 116 „ 15 „	panowania	polowania
„ 123 „ 6 „	przed mniejszościami, których potęga wzrastała równolegle do	przez ludzkość w tej nowej formie życia społecznego, był tak
„ 128 „ 14-15 od góry	że nawet odwet bynajmniej nie jest niesprawiedliwością	że odwet bynajmniej nie jest sprawiedliwością
„ 132 „ 2 od dołu	Rotlebony	Ratisbony
„ 133 „ 5 od góry	druga	długa
„ 146 pomiędzy wierszem 13 i 14 brak wiersza:		spojrzymy zgóry na wszystkie miasta europejskie, nikną różnice

1



2015581

Biblioteka Narodowa
Warszawa

30001018279267